FANTASY & SF

URSULA K. Le GUIN

TEHANU

PHANTOM PRESS

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Czwarta część cyklu Ziemiomorze, w któej Ged nie jest już Arcymagiem ani nawet czarnoksiężnikiem. Dopiero wtedy, kiedy traci Moc, może odnaleźć szczęście. Staje się zwyczajnym mężczyzną i rozpoczyna nowe życie.

Ale tuż obok niego dorasta następne pokolenie przepełnione potężną Mocą.

- Ursula K. Le Guin
  - 1. COŚ ZŁEGO
  - 2. W DRODZE DO GNIAZDA SOKOŁA
  - 3. OGION
  - 4. KALESSIN
  - 5. POPRAWA
  - 6. POGORSZENIE
  - 7. MYSZY
  - 8. SOKOŁY
  - 9. ODNAJDYWANIE SŁÓW
  - 10. DELFIN
  -
  - 11. DOM
  - 12. ZIMA
  - 13. GOSPODARZ
  - 14. TEHANU

Ursula K. Le Guin
Tehanu

Tylko w milczeniu słowo,
tylko w ciemności światło,
tylko w umieraniu życie:
na pustym niebie
jasny lot sokoła.

Pieśń o Stworzeniu Ea

(przełożył Stanisław Barańczak)

1. COŚ ZŁEGO

Po śmierci Rolnika Flinta z Doliny Środkowej, wdowa po nim pozostała sama na gospodarstwie. Jej syn wyruszył na morze, a córka poślubiła kupca z Yalmouth i oboje rzadko bywali na Dębowej Farmie.

Mówiono o tej kobiecie, że była kimś ważnym w dalekim kraju, z którego pochodziła. Mag Ogion odwiedzał ją często, ale to akurat nie dowodziło niczego, ponieważ Ogion odwiedzał niemal wszystkich.

Nosiła obco brzmiące imię, ale Flint mówił do niej Goha — tak na wyspie Gont nazywają niewielkiego, białego pająka. Imię to pasowało do niej, ponieważ była drobnej budowy, miała białą skórę i doskonale przędła kozią wełnę i owcze runo.

Po mężu odziedziczyła stado owiec, ziemię, na której się pasły, cztery pola, sad grusz, dwie chaty dzierżawców i stary kamienny dom pod dębami. Na terenie jej niewielkiej posiadłości znajdował się też cmentarz, gdzie pochowano Flinta.

— Zawsze mieszkałam wśród grobów — mówiła do swojej córki.

— Matko, proszę, zamieszkaj z nami w mieście! — nalegała Apple.

— Może później, kiedy przyjdą na świat dzieci i będziecie potrzebowali kogoś do pomocy — odpowiedziała, przyglądając się z przyjemnością szarookiej córce. — Ale nie teraz. Dobrze wam beze mnie, a ja nie chcę stąd odchodzić.

Zamknęła drzwi i stanęła pośrodku kuchni. Zapadał zmierzch, a ona przypominała sobie męża, jak stąpając po kamiennych płytach posadzki podchodził do lampy, krzesał iskrę i po chwili krąg światła roztaczał się powoli, coraz szerzej i szerzej.

— Przywykłam już do mieszkania w cichym domu — pomyślała zapalając lampę.

Pewnego upalnego popołudnia stara przyjaciółka wdowy, Lark — co znaczy skowronek — przybiegła z wioski zakurzoną drogą.

— Goha — zawołała z daleka, widząc kobietę pielącą grządkę fasoli. — Goha, zdarzyło się coś złego. Coś bardzo złego. Czy możesz przyjść?

— Tak — odrzekła wdowa. — A cóż takiego się stało?

Lark nie mogła złapać tchu. Była niemłodą i tęgawą kobietą, do której dawne imię zupełnie już nie pasowało. Kiedyś, w młodości — wbrew opinii wszystkich wieśniaków — okazała swoją przyjaźń białej kargijskiej wiedźmie, którą Flint sprowadził do domu. Odtąd już zawsze były przyjaciółkami.

— Poparzone (kiecko — oznajmiła w końcu Lark.

— Czyje?

— Włóczęgów.

Goha poszła zamknąć bramę zagrody i obie kobiety ruszyły w stronę wsi. Lark całą drogę mówiła. Posapywała ciężko i co chwilę ocierała twarz, do której przylepiały się wirujące w powietrzu pyłki traw, obficie porastających pobocze drogi.

— Obozowali na łąkach nad rzeką, przez cały miesiąc. Mężczyzna, który podawał się za druciarza, jakaś kobieta i jeszcze jeden mężczyzna, młodszy. Wiesz, pełno się teraz włóczy takich band, mniejszych lub większych. Trzeba dobrze zamykać drzwi i radzę ci, żebyś to robiła. Ci tutaj też wyglądali nieszczególnie. Żadne z nich nie pracowało. Kradną, żebrzą albo żyją kosztem tej kobiety. Chłopcy znad rzeki płacili jej żywnością. Byłam właśnie na podwórzu, kiedy przyszedł ten młody mężczyzna. Powiedział, że dziecko jest chore. Właściwie wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że jest jeszcze z nimi dziecko. Zawsze jakoś wymykało się z pola widzenia. No, więc pytam, czy ono ma gorączkę, a ten typ mówi: „Poparzyła się rozpalając ogień". Zanim zdążyłem przygotować się do wyjścia, on zniknął. Poszłam nad rzekę, ale tam też już nikogo nie było. Ani tych ludzi, ani ich rzeczy. Tliło się jeszcze ognisko, a tuż przy nim leżała…

Lark zamilkła na chwilę. Patrzyła wprost przed siebie, nie na Gohę.

— Nie przykryli jej nawet kocem — powiedziała w końcu. Ruszyła wielkimi krokami.

— Została wepchnięta do płonącego ogniska — dodała. Przełykała łzy i ścierała lepkie nasiona ze swej rozgrzanej twarzy. — Można by pomyśleć, że sama wpadła, ale gdyby była przytomna, próbowałaby się ratować. Pewnie ją bili, pomyśleli, że umarła i chcieli ukryć to, co zrobili, więc…

Znów się zatrzymała, a po chwili ruszyła.

— Może to nie on. Może on ją wyciągnął. Ostatecznie przyszedł po pomoc dla niej. Musiał być ojcem. Nie wiem. To nie ma znaczenia. Kto ma wiedzieć? Kto ma się troszczyć o to dziecko? Dlaczego robimy to, co robimy?

— Czy będzie żyła? — zapytała Goha niskim głosem.

— Mogłaby — odrzekła Lark. — Mogłaby śmiało żyć. Po chwili dodała: — Nie wiem, dlaczego musiałam przyjść do ciebie. Jest tam Ivy. Nic już nie można zrobić.

— Mogłabym pojechać do Yalmouth, po Beecha.

— On też nic nie poradzi. To jest poza… poza zasięgiem naszej pomocy. Ogrzałam ją. Ivy podała jej wywar leczniczy i uśpiła ją zaklęciem snu. Zaniosłam ją do domu. Musi mieć sześć czy siedem lat, a nie waży nawet tyle, co dwuletnie dziecko. Cały czas jest nieprzytomna. I tak dziwnie oddycha. Wiem, że nie możesz w niczym pomóc, ale potrzebowałam cię.

— Chcę tam pójść — rzekła Goha. Ale przed wejściem do chaty

na chwilę wstrzymała oddech.

Dzieci wysłano na dwór, w domu panowała cisza. Dziewczynka leżała nieprzytomna w łóżku Lark. Wiejska czarownica, Ivy posmarowała mniejsze oparzenia maścią z liści oczaru i „lekarstwa — na-wszystko". Nie dotykała prawej strony twarzy i głowy oraz prawej ręki, które były zwęglone do kości. Nakreśliła nad łóżkiem run Pirr i na tym poprzestała.

— Czy możesz coś zrobić? — zapytała szeptem Lark.

Goha stała patrząc na poparzone dziecko. Potrząsnęła głową.

— Nauczyłaś się sztuki uzdrawiania na szczycie góry, prawda? — Ból, wstyd i wściekłość przemawiały przez Lark, żebrzącą o pomoc.

— Nawet Ogion nie potrafiłby jej uzdrowić — rzekła wdowa.

Lark odwróciła się i zapłakała. Goha objęła ją i pogłaskała po siwych włosach.

Czarownica Ivy nadeszła z kuchni, posyłając w stronę Gohy gniewne spojrzenie. Mimo, że wdowa nie rzucała uroków i nie używała zaklęć, mówiono, że kiedy po raz pierwszy przybyła na wyspę Gont, mieszkała w Re Albi jako wychowanka maga i że znała Arcymaga z Roke. Bez wątpienia władała obcymi i tajemniczymi mocami. Zazdrosna ojej przywileje czarownica podeszła do łóżka i zaczęła się przy nim krzątać. W małej miseczce uformowała kopczyk z ziół i wstawiła to do ognia. Cuchnący dym zmusił dziewczynkę do kaszlu. Przebudziła się. Leżała teraz oddychając z trudem, a jej zmaltretowanym ciałkiem wstrząsały konwulsje.

Zdrowym okiem spojrzała na Gohę. Ta podeszła, ujęła lewą dłoń dziecka i powiedziała w swojej rodzimej mowie:

— Służyłam im i odeszłam od nich. Ale nie pozwolę, by zabrali ciebie.

Dziecko patrzyło przed siebie i z trudem próbowało oddychać.

2. W DRODZE DO GNIAZDA SOKOŁA

Ponad rok później, kiedy po Długim Tańcu noce stały się krótkie, a dni upalne, drogą wiodącą do Doliny Środkowej nadszedł posłaniec, rozpytujący o wdowę imieniem Goha. Ludzie z wioski wskazali mu ścieżkę i późnym popołudniem dotarł na Dębową Farmę. Był to mężczyzna o ostrych rysach i bystrych oczach. Spojrzał na Gohę, potem na owce w zagrodzie i powiedział:

— Ładne jagnięta. Mag z Re Albi posyła po ciebie.

— Wysłał ciebie? — zapytała Goha tonem pełnym niedowierzania i rozbawienia. Kiedy Ogion jej potrzebował, potrafił znaleźć lepszych posłańców — orła lub tylko głos wymawiający jej imię.

Mężczyzna skinął głową.

— Jest chory — oznajmił. — Czy chciałabyś sprzedać któreś z jagniąt?

— Mogłabym. Porozmawiaj z pasterzem, jeśli chcesz. Jest tam, przy płocie. Czy masz ochotę na kolację? Możesz zostać tu na noc, ale ja ruszam w drogę.

— Dziś wieczorem?

Tym razem w jej lekko pogardliwym spojrzeniu nie było rozbawienia.

— Nie będę czekać z założonymi rękami — odparła. Przez chwilę rozmawiała ze starym pasterzem imieniem Clearbrook, a potem odwróciła się i poszła w stronę domu. Posłaniec podążył za nią.

Weszli do kuchni. Na widok gościa dziewczynka, której się przyglądał, szybko odwróciła wzrok od podawanego jej mleka, chleba, sera i zielonej cebuli. Odeszła nie mówiąc ani słowa.

Wkrótce przygotowały się do podróży, zabierając jedynie lekkie skórzane tobołki. Posłaniec wyszedł za nimi i wdowa zamknęła dokładnie drzwi.

Wyruszyli razem, on — w interesach, gdyż rolę posłańca pełnił przy okazji. Właściwym celem jego podróży był zakup hodowlanego tryka dla władcy Re Albi. Kobieta i dziewczynka pożegnały mężczyznę na rozwidleniu dróg. On poszedł w stronę wioski, a one na północ i potem na zachód podnóżem Góry Gont.

Szły, dopóki nie zapadł długi letni zmierzch. Opuściły wtedy wąski trakt i rozbiły obóz w dolinie nad potokiem, który płynął bystro i cicho, odbijając blade wieczorne niebo pomiędzy zaroślami karłowatych wierzb. Goha urządziła legowisko z suchej trawy i liści wierzby, umieściła na nim dziecko i owinęła je kocem.

— Teraz — rzekła — jesteś kokonem. Rankiem wyjdziesz z niego i będziesz motylem.

Nie rozpalała ognia. Leżała w swoim schronieniu obok dziecka,

przyglądała się gwiazdom i słuchała tego, co szeptał strumień. Wkrótce zasnęła.

Kiedy obudziły się w porannym chłodzie przed świtem, Goha rozpaliła niewielkie ognisko i podgrzała miskę wody, aby przygotować owsiany kleik dla dziecka i siebie. Mały, drżący motylek wyszedł ze swego kokonu. Goha ochłodziła miskę w pokrytej rosą trawie tak, aby dziecko mogło ją utrzymać i pić z niej. Wschód jaśniał ponad wysoką, ciemną krawędzią góry, kiedy wyruszyły w dalszą drogę.

Przez cały dzień szły wolno, bowiem dziecko było bardzo słabe. Kobieta nie była w stanie nieść dziewczynki, ale uprzyjemniała jej drogę opowiadając historie.

— Odwiedzimy pewnego człowieka, starca zwanego Ogionem — zaczęła. Z trudem pokonywały wąską ścieżkę, wijącą się w górę poprzez lasy. — Jest mędrcem i czarodziejem. Czy wiesz, kto to jest czarodziej, Therru?

Jeśli dziewczynka miała kiedyś inne imię, nie znała go albo nie chciała go zdradzić. Goha nazywała ją Therru.

Dziecko potrząsnęło głową.

— No cóż, właściwie ja też nie wiem — powiedziała kobieta. — Ale wiem, co oni potrafią zrobić. Kiedy byłam młoda, starsza od ciebie, ale młoda, Ogion był moim ojcem tak samo, jak teraz ja jestem twoją matką. Opiekował się mną i starał się nauczyć mnie tego, co powinnam wiedzieć. Zostawał ze mną nawet wtedy, kiedy wolał być sam. Lubił wędrować po drogach, po lasach i dzikich zakątkach. Przemierzył tę górę wzdłuż i wszerz, przyglądając się, słuchając. Zawsze słuchał, więc zwano go Milczącym. Ze mną jednak rozmawiał. Opowiadał mi historie. Nie tylko te wspaniałe opowieści, które poznaje każdy, o bohaterach, królach i rzeczach, jakie zdarzyły się dawno temu i daleko stąd, lecz historie, które znał tylko on. — Przez chwilę szła w milczeniu. — Opowiem ci teraz jedną z tych historii:

Jedną z rzeczy, które potrafią czynić czarnoksiężnicy, jest przeobrażenie się w coś innego, przybieranie innej formy. Nazywają to Przemianą. Zwyczajny czarodziej potrafi sprawić, że wygląda jak ktoś inny albo jak zwierzę. Po prostu nie jesteś pewna, co widzisz. Jak gdyby założył maskę. Ale czarnoksiężnicy i magowie mogą uczynić więcej. Potrafią stać się maską, potrafią naprawdę zmienić się w inną istotę. Tak więc czarnoksiężnik, gdyby chciał przepłynąć morze, a nie miał łodzi, mógłby przemienić się w mewę i przelecieć na drugi brzeg. Musi jednak uważać. Kiedy zostaje ptakiem, zaczyna myśleć jak ptak i zapomina, jak myśli człowiek. Mógłby więc pozostać mewą i nigdy już nie być człowiekiem. Ludzie mówią, że żył kiedyś pewien wielki czarnoksiężnik, który lubił zmieniać się w niedźwiedzia. Czynił to zbyt często i w końcu stał się niedźwiedziem. Zabił swojego synka. Trzeba było schwytać go i uśmiercić.

Ogion miał też zwyczaj żartować na ten temat. Pewnego razu, gdy myszy dostały się do jego spiżarnii i zrujnowały zapasy sera, schwytał jedną z nich za pomocą maleńkiego zaklęcia, podniósł zwierzątko w górę — w ten sposób — i patrząc mu w oczy, rzekł:

— Mówiłem ci, żebyś nie udawał myszy!

Przez chwilę myślałam, że mówi poważnie…

Otóż historia, którą ci opowiem, mówi o czymś w rodzaju zmiany kształtu, choć Ogion twierdził, że to przekracza znane mu pojęcie przemiany, gdyż polega na wcieleniu się w dwie istoty równocześnie i w tej samej postaci. Mówił, że to przekracza możliwości czarnoksiężników. Jednak spotkał się z tym w małej wiosce na północno-zachodnim wybrzeżu Gontu, w miejscu zwanym Kemay. Żyła tam kobieta, stara rybaczka, która, choć nie była wiedźmą, układała pieśni. Oto, w jaki sposób Ogion usłyszał o niej. Wędrował kiedyś brzegiem morza w tamtej okolicy i usłyszał, że ktoś śpiewa w czasie pracy:

Na zachodzie dalszym niż zachód
Poza lądem
Mój lud tańczy
Na innym metrze

Ogion nigdy przedtem nie słyszał tej pieśni, zaczął, więc wypytywać, skąd ona pochodzi. W końcu dotarł do kogoś, kto wyjaśnił mu:

— Och, to jedna z pieśni Kobiety z Kemay.

Powędrował, więc dalej do Kemay, małego portu rybackiego. Odnalazł dom tej kobiety i zapukał do drzwi swoją laską.

Pamiętasz, co mówiłam ci o imionach? Teraz jesteś moją Therru, ale kiedy będziesz starsza, otrzymasz inne imię, które wszyscy będą znali i którego będą używali. Jednak, kiedy wkroczysz w wiek dojrzały, zostanie ci nadane twoje imię prawdziwe. Uczyni to ktoś obdarzony prawdziwą mocą, czarnoksiężnik lub mag, gdyż tylko oni mają moc nazywania. Będzie to imię, którego być może nigdy nie wyjawisz innej osobie, ponieważ zawarta jest w nim twoja istota. Stanowi ono twoją siłę i moc. Możesz je zdradzić tylko komuś, kogo darzysz absolutnym zaufaniem, bowiem ten, kto zna twoje imię, ma nad tobą władzę. Bez twojej wiedzy może je poznać tylko czarnoksiężnik. On zna wszystkie imiona.

A więc Ogion, który jest wielkim magiem, stanął u drzwi małego domku nie opodal przystani. Kiedy kobieta otworzyła drzwi, Ogion cofnął się, uniósł rękę ze swoją dębową laską, jakby próbował osłonić się przed żarem ognia i ze zdumieniem i strachem wypowiedział głośno prawdziwe imię tej kobiety — „Smok!”

Opowiadał mi, że w pierwszej chwili ujrzał jedynie blask ognia, połysk złotych łusek i pazurów oraz olbrzymie smocze oczy. Ludzie mówią, że nie wolno patrzeć w smocze źrenice. Potem obraz zniknął i Ogion nie widział już smoka, tylko starą, przygarbioną rybaczkę o wielkich dłoniach. Spojrzała na niego tak, jak on patrzył na nią i rzekła:

— Wejdź, panie Ogionie.

Wszedł więc do środka, a kobieta podała mu zupę rybną. Zjedli, a potem rozmawiali przy ogniu. Pomyślał, że staruszka musi być mistrzynią przemian, ale nie wiedział, czy jest kobietą, która umie zmieniać się w smoka, czy smokiem potrafiącym przemieniać się w kobietę.

— Jesteś kobietą czy smokiem? — zapytał wreszcie.

— Znam pewną opowieść. Zaśpiewam ci ją — zaproponowała, ignorując jego pytanie.

Goha i Therru zatrzymały się na chwilę, aby odpocząć, po czym ruszyły dalej. Szły bardzo wolno, gdyż droga wznosiła się stromo między ściętymi brzegami kamiennego nawisu, poprzez zarośla, w których śpiewały cykady ogarnięte letnią gorączką.

Oto, więc historia, którą rybaczka zaśpiewała Ogionowi.

Kiedy Segoy wydźwignął z morza wyspy świata, smoki były pierworodnymi dziećmi ziemi i wiatru wiejącego ponad lądem. Tak mówi Pieśń Stworzenia. Ale pieśń kobiety opowiadała również o tym, że smok i człowiek byli wtedy jednym. Stanowili jedną rasę, skrzydlatych ludzi, mówiących Prawdziwą Mową.

Byli piękni, silni, mądrzy i wolni.

Jednakże z czasem wszystko się zmienia. Niektórzy spośród ludzi-smoków stawali się coraz większymi miłośnikami lotu i dzikości. Coraz mniej interesowali się tworzeniem, nauką i wiedzą. Pragnęli jedynie latać — wciąż dalej i dalej, beztroscy w poszukiwaniu coraz większej wolności.

Inni ludzie-smoki niewiele dbali o latanie, natomiast gromadzili skarby. Wznosili domy i twierdze i wszystko to przekazywali swoim dzieciom. Im więcej posiadali, tym bardziej obawiali się dzikich, którzy mogli przybyć i zniszczyć ich dobra.

Dzicy nie lękali się niczego, ale niczego też się nie uczyli. Ponieważ byli nieustraszeni i ciemni, ginęli w sidłach zastawionych przez Bezskrzydłych. Przylatywali jednak inni dzicy, aby podpalać wspaniałe budowle, siać zniszczenie i śmierć.

Przerażeni Bezskrzydli starali się ukryć przed napastnikami, a kiedy zabrakło już bezpiecznych kryjówek, postanowili uciec. Zbudowali łodzie i pożeglowali na wschód, jak najdalej od zachodnich wysp, gdzie potężni Skrzydlaci toczyli wojnę pomiędzy zrujnowanymi wieżami miast.

Tak więc ci, którzy byli jednocześnie smokami i ludźmi, dali początek dwóm rodzajom. Jeden — dziki, zachłanny i gniewny — żyje rozproszony na wyspach Rubieży Zachodnich. Drugi zamieszkuje miasta i osady na Wyspach Wewnętrznych oraz całe południe i wschód. Wśród tego rodzaju znaleźli się tacy, którzy ocalili wiedzę ludzi-smoków — Prawdziwą Mowę Tworzenia. I to są właśnie czarnoksiężnicy. Niektórzy z nich wiedzą, że byli niegdyś także smokami. Opowiadają oni, że kiedy pierwotna rasa zaczynała się dzielić, niektórzy posiadający jeszcze dawną postać udali się nie na wschód, lecz na zachód i przez Morze Otwarte dotarli aż na drugą stronę świata. Żyją tam w pokoju — potężne skrzydlate istoty, zarówno dzikie, jak i mądre, o ludzkim umyśle i smoczym sercu. I rybaczka zaśpiewała tak:

Na zachodzie dalszym niż zachód
Poza lądem
Mój lud tańczy
Na innym wietrze.

Taka była historia opowiedziana w pieśni Kobiety z Kemay.

Wówczas Ogion zwrócił się do niej:

— Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, ujrzałem twoją prawdziwą naturę. Ta kobieta, która siedzi po drugiej stronie paleniska, nie jest niczym więcej niż suknią, którą nosi.

Lecz ona potrząsnęła głową, zaśmiała się i odrzekła:

— Gdybyż to było takie proste!

Niebawem Ogion powrócił do Re Albi, a kiedy opowiadał mi tę historię, dodał:

— Od tamtego dnia zastanawiam się, czy rzeczywiście ktokolwiek, człowiek albo smok, dotarł na zachód dalszy niż zachód; kim jesteśmy i gdzie leży nasza jedność…

— Zgłodniałaś, Therru? Tam w górze, na zakręcie, jest chyba dobre miejsce na postój. Może uda się nam zobaczyć stamtąd Port Gont. To wielkie miasto, większe nawet niż Yalmouth. Kiedy dojdziemy do tego zakrętu, usiądziemy i odpoczniemy troszeczkę.

Rzeczywiście mogły stamtąd zobaczyć rozległe lesiste zbocza i łąkę dochodzącą do miasta. Widziały też strome skały, które strzegły wejścia do zatoki i, maleńkie z tej odległości, łodzie kołyszące się na ciemnej tafli wody. Daleko przed nimi widniało urwisko Overfell, na którym leżało Sokole Gniazdo.

Therru nie skarżyła się, że jest zmęczona, ale potrząsnęła głową, kiedy Goha zapytała, czy mogą ruszać dalej. Od czasu śniadania w dolinie przebyły długą drogę i to w doskwierającym upale.

Napiły się wody i Goha podała dziecku woreczek z rodzynkami i

orzechami.

— Jesteśmy już blisko miejsca, do którego zmierzamy — powiedziała — i chciałabym dotrzeć tam przed zmrokiem. Pragnę zobaczyć Ogiona. Wiem, że jesteś zmęczona, ale pójdziemy wolno. Tam będziemy bezpieczne, no i będzie ciepło. Weź ten woreczek, wetknij go za pasek. Rodzynki dodadzą siły twoim nogom. Czy chciałabyś mieć laskę — jak czarnoksiężnik — która pomogłaby ci w marszu?

Therru skinęła głową. Goha wyjęła nóż i odcięła silny pęd leszczyny dla dziecka, a od leżącej przy drodze olchy oderwała gałąź, aby zrobić kij dla siebie.

Ruszyły wolno w dalszą drogę. Themi jadła rodzynki, a Goha śpiewała pieśni miłosne, pasterskie i ballady, których nauczyła się w Dolinie Środkowej. Nagle urwała, podnosząc rękę w ostrzegawczym geście.

Czterej mężczyźni na drodze już je zauważyli. Goha wiedziała, że jedyne, co ona i Therru mogą teraz zrobić, to przejść obok tych ludzi nie zwracając na nich uwagi.

— Podróżni — powiedziała cicho do Therru, nie przerywając marszu. Palce zacisnęła mocno na olchowym kiju.

To, co mówiła Lark o bandach i złodziejach, nie było tylko skargą, jaką podnosi każde pokolenie na to, że nic nie jest już takie jak dawniej i że świat zmienia się na niekorzyść. W ciągu kilku ostatnich lat w miastach i na prowincji Gontu zrobiło się niebezpiecznie. Młodzi mężczyźni nadużywali gościnności własnego ludu — kradli i sprzedawali to, co ukradli. Nędza stała się powszechna tam, gdzie wcześniej była rzadkością, a zrozpaczeni żebracy nierzadko uciekali się do przemocy. Kobiety bały się chodzić samotnie ulicami i gościńcami. Wiele dziewcząt uciekło, aby przyłączyć się do band złodziei i kłusowników. Po jakimś czasie wracały do domów — ponure, posiniaczone i brzemienne. Wśród wiejskich czarodziei i czarownic krążyły wieści, że i w ich fachu źle się dzieje: czary, które zawsze uzdrawiały, przestały leczyć; zaklęcia odnajdujące nie znajdowały niczego lub rzecz niewłaściwą; napoje miłosne doprowadzały mężczyzn do szału — nie wywoływały pożądania, lecz morderczą zazdrość. Pojawiło się wielu oszustów, którzy nie znając sztuki magii, nieświadomi jej praw i niebezpieczeństw wynikających z ich łamania, obiecywali ludziom cudowne bogactwa zdrowie, a nawet nieśmiertelność.

Ivy, czarownica z wioski, z której pochodziła Goha, wspominała o tajemniczym osłabieniu magii, a potwierdzał to Beech, czarodziej z Yalmouth. Był to przenikliwy i skromny mężczyzna, który pomógł Ivy złagodzić ból i wyleczyć oparzenia Therru. Powiedział wtedy do Gony:

— Myślę, że czas, w którym zdarzają się takie rzeczy jak te, musi

być czasem upadku. Ileż stuleci minęło, odkąd w Havnorze był król? To nie może tak trwać. Musimy się zjednoczyć albo będziemy zgubieni, bo wystąpimy przeciwko sobie — wyspa przeciwko wyspie, człowiek przeciwko człowiekowi, ojciec przeciwko dziecku… — Popatrzył na nią nieco nieśmiało bystrym, przenikliwym wzrokiem. — Pierścień Erreth-Akbego został zwrócony Wieży Havnor — rzekł. — Wiem, kto go tam przywiózł… To był niewątpliwie znak nadejścia nowej ery! Lecz nie wykorzystaliśmy tego. Nie mamy króla. Nie jesteśmy razem. Musimy odnaleźć nasze serce, naszą siłę. Może Arcymag zacznie wreszcie działać… — I po chwili dodał tonem wyjaśnienia: — Ostatecznie, pochodzi z Gontu. Nie nadeszła jednak wieść o żadnym czynie Arcymaga ani o jakimkolwiek następcy Tronu w Havnorze, a sprawy szły coraz gorzej. Dlatego więc Goha odczuła strach, a zarazem wściekłość, gdy zobaczyła, jak czterej mężczyźni ustawiają się po obu stronach drogi. Z pochyloną głową, Therru szła blisko Gony, nie chwyciła jej jednak za rękę.

Jeden mężczyzna, z czarnymi wąsami opadającymi na usta, wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu.

— Hej, tam! — zaczął, ale Goha mu przerwała.

— Precz z mojej drogi! — krzyknęła, unosząc swój olchowy kij, jakby była to laska czarodzieja. — Idę do Ogiona! — Zdecydowanym krokiem przeszła między mężczyznami, a Therru truchtem biegła obok niej. Mężczyźni stanęli bez ruchu. Być może imię Ogiona wciąż jeszcze miało w sobie moc, czy też miała ją Goha albo dziewczynka. Kiedy minęły mężczyzn, jeden z nich powiedział: „Widzieliście to?" — splunął i uczynił znak odwracający urok.

— Wiedźma i jej potworny dzieciak — powiedział drugi. — Niech idą!

Mężczyzna w skórzanej czapce i kaftanie przez chwilę stał, patrząc za nimi. Widać było, że ma ochotę pójść ich śladem. Pozostali jednak zbierali się do drogi, któryś krzyknął: „Chodź, Handy" i ruszyli przed siebie.

Kiedy Goha i Therru zniknęły za zakrętem drogi, przyśpieszyły kroku. Kobieta wzięła dziewczynkę na ręce i niosła ją przez jakiś czas. Zmęczyła się jednak szybko, postawiła dziecko na ziemi i znowu szły trzymając się za ręce, najszybciej jak mogły.

— Jesteś czerwona — powiedziała Therru. — Jak ogień. Mówiła rzadko i niewyraźnie, bardzo chrapliwym głosem, ale Goha potrafiła ją zrozumieć.

— Jestem zła — odrzekła Goha z pewnym rozbawieniem. — Kiedy jestem zła, robię się czerwona. Jak wy, czerwoni ludzie, wy barbarzyńcy z zachodnich krain… Spójrz, przed nami jest miasteczko, to będzie Oak Springs. To jedyna miejscowość przy tej drodze. Zatrzymamy się tam i odpoczniemy chwilę. Może dostaniemy trochę

mleka. A potem, jeśli będziemy mogły iść dalej, jeżeli będziesz pewna, że możesz iść dalej aż do Sokolego Gniazda, to pójdziemy i znajdziemy się tam przed zmrokiem.

Dziewczynka skinęła głową. Zjadła trochę rodzynek i orzechów i podjęły mozolną wędrówkę.

Słońce dawno już zaszło, kiedy dotarły do miasteczka i do domu Ogiona na szczycie urwiska. Nad morzem migotały już pierwsze gwiazdy. Chłodny wiatr kołysał niskimi trawami. W oknie małego domu drżało nieśmiałe światełko. Gdzieś na pastwisku zabeczała koza.

Goha postawiła oba kije przed wejściem i zapukała. Nikt nie odpowiedział.

Pchnęła drzwi. Ogień w palenisku wygasł, ale lampka oliwna stojąca na stole rozsiewała dookoła nikły blask. Z siennika w kącie izby dobiegł zmęczony głos Ogiona:

— Wejdź, Tenar.

3. OGION

Kobieta przygotowywała dziecku posłanie, dorzuciła drew do ognia i w końcu usiadła na podłodze obok siennika Ogiona.

— Nikt się tobą nie opiekuje — powiedziała.

— Odesłałem ich — wyszeptał.

Jego twarz była ciemna i surowa jak zawsze, lecz teraz okolona białymi i wiotkimi włosami. Patrzył na Tenar oczyma pozbawionymi blasku.

— Mogłeś tu umrzeć, sam jeden — powiedziała gwałtownie.

— Pomóż mi to zrobić — odrzekł starzec.

— Jeszcze nie — poprosiła, pochylając się i przyciskając czoło do jego dłoni.

— Nie dziś — zgodził się. — Jutro.

Znalazł dość siły, aby podnieść rękę i pogładzić kobietę po włosach.

Wyprostowała się. Ogień już się rozpalił i jego blask igrał z cieniami na ścianach i niskim suficie.

— Gdyby przyszedł Ged… — mruknął starzec.

— Czy posłałeś po niego?

— On jest zgubiony — rzekł Ogion. — Chmura. Mgła ponad lądami. Powędrował na zachód. Niesie gałązkę jarzębiny. Do wnętrza mrocznej mgły. Nie ma mojego Geda.

— Nie, nie — szepnęła. — On wróci.

Milczeli. Powoli przenikało ich ciepło ognia. Tenar rozmasowa-ła sobie obolałe stopy i ramiona — nareszcie mogła odpocząć po całodziennej wędrówce. Stary czarnoksiężnik osunął się w drżący półsen.

Tenar wstała, nagrzała wody i zmyła z siebie pył drogi. Napiła się mleka, zjadła kawałek chleba, który znalazła w spiżami Ogiona, po czym usiadła przy posłaniu czarnoksiężnika. Przyglądała się jego twarzy. Siedziała tak, zamyślona, jak przed laty pewna dziewczyna, która żyjąc wśród ponurych murów świątyni wiedziała o sobie jedynie tyle, że jest Pożartą — kapłanką i sługą Mocy Ciemności. Pamiętała też kobietę z farmy, która wśród ciszy nocy, słuchając spokojnych oddechów męża i dzieci, cieszyła się krótkimi chwilami samotności. I była też wdowa, która przyprowadziła tu poparzone dziecko, a teraz siedziała przy umierającym starcu. Czekała na powrót mężczyzny, tak jak od zarania dziejów czekają wszystkie kobiety.

Ogion nie nazwał jej ani sługą, ani żoną, ani wdową. I nie zrobił tego Ged, kiedyś, w mroku Grobowców. Ani — jeszcze dawniej — matka. Matka, która była jedynie wspomnieniem ciepła ognia płonącego w kominie. Matka, która nadała jej imię.

— Jestem Tenar — szepnęła. Płomień, obejmujący suchą gałązkę sosny, wystrzelił w górę jaskrawożółtym językiem ognia.

Ogion oddychał z trudem, spał niespokojnie. Tenar też w końcu zasnęła, ale przebudziła się, kiedy usłyszała głos starca.

— A zatem jesteś tutaj? Widziałeś go?

Kiedy Tenar wstała, żeby podsycić ogień, Ogion znowu zaczął mówić. Sprawiało to wrażenie, jakby spotkał przyjaciela z lat dziecinnych — mówił głosem chłopca.

— Próbowałem jej pomóc, ale runął dach. Spadł na nich. To było straszne trzęsienie ziemi.

Tenar słuchała — ona również widziała trzęsienie ziemi.

— Próbowałem pomóc! — krzyknął chłopiec głosem cierpiącego starca.

Ogion westchnął głęboko i uspokoił się.

O świcie Tenar usłyszała narastający szum. Był to łopot skrzydeł. Olbrzymie stada ptaków przelatywały nad domem. Przez jakiś czas krążyły nad nim, a potem odleciały. Tego ranka nadeszli ludzie z Re Albi. Dziewczyna od kóz, kobieta po mleko i inni — przyszli, żeby zapytać, czy mogą w czymś pomóc. Moss, wiejska czarownica, dotknęła palcami olchowego kija i leszczynowej witki, stojących przed wejściem i zajrzała do środka przez lekko uchylone drzwi. Ogion krzyknął ze swojego siennika:

— Odpraw ich! Odpraw ich wszystkich!

Sprawiał wrażenie silniejszego niż poprzedniego dnia. Kiedy obudziła się mała Therru, powiedział coś do niej głosem oschłym, ale zarazem łagodnym. Dziecko wyszło, żeby pobawić się w słońcu, a starzec zwrócił się wtedy do Tenar:

— Co oznacza imię, którym ją nazywasz? Znał Prawdziwą Mowę Tworzenia, ale nigdy nie nauczył się języka kargijskiego.

— Therru oznacza spalanie, żar ognia — wyjaśniła.

— Ach, tak — powiedział, oczy mu zabłysły i zmarszczył brwi. Zdawało się, że przez chwile szukał właściwych słów.

— Oni… — zaczaj. — Oni… będą się jej lękać.

— Już teraz się jej boją — odrzekła gorzko. Mag pokiwał głową.

— Naucz ją, Tenar — wyszeptał. — Naucz ją wszystkiego! Nie na Roke. Oni się boją. Dlaczego pozwoliłem ci odejść? Dlaczego odeszłaś? Żeby ją tu sprowadzić? Zbyt późno.

— Cicho już, cicho — powiedziała czule, kiedy starzec znowu zaczął ciężko oddychać. Potrząsnął głową, resztką sił krzyknął: „Naucz ją! „i zamilkł.

Nie chciał jeść, wypił tylko trochę wody. Zasnął w południe. Obudziwszy się kilka godzin później, powiedział: „No, córko” i uniósł się na posłaniu. Tenar uśmiechając się wzięła go za rękę.

— Pomóż mi wstać — poprosił.

— Nie, nie możesz.

— Chce — powiedział. — Przed dom. Nie mogę umrzeć pod dachem.

— Dokąd chciałbyś iść?

— Dokądkolwiek. Ale gdybym mógł, to na leśną ścieżkę. Ten buk ponad łąką.

Tenar pomogła wstać starcowi, podeszli do drzwi. Ogion odwrócił się i rozejrzał po jedynej izbie swego domu. W ciemnym kącie, na prawo od drzwi, jego długa laska stała oparta o ścianę. Tenar sięgnęła po nią, aby podać Ogionowi, ale on potrząsnął głową.

— Nie — powiedział. — Nie te.

Znowu rozejrzał się dokoła, jak gdyby czegoś szukał.

— Chodź — odezwał się wreszcie.

Na zewnątrz uderzył w nich ostry, zachodni wiatr. Ogion spojrzał na horyzont i rzekł:

— Tak jest dobrze.

— Pozwól mi poprosić kilku ludzi z miasteczka, aby zrobili nosze i zanieśli cię — prosiła Tenar. — Wszyscy czekają, żeby coś dla ciebie zrobić.

— Chce pójść sam — odparł starzec.

Therru okrążyła dom i przyglądała się, jak Ogion i Tenar idą powoli, zatrzymując się co kilka kroków. Szli przez gąszcz łąki, ku lasom wznoszącym się stromo na stoku góry. Twarz Ogiona była szara, a nogi mu drżały, kiedy w końcu znaleźli się u stóp wielkiego buka, na samym skraju lasu, kilka jardów powyżej górskiej ścieżki. Starzec oparł się o pień drzewa. Przez długi czas nie mógł się poruszyć ani mówić, a serce łomotało mu w piersi jak oszalałe. W końcu kiwnął głową i szepnął:

— W porządku.

Therru szła za nimi w pewnej odległości. Tenar podeszła do niej, powiedziała coś i wróciła do Ogiona.

— Zaraz przyniesie pled — rzekła.

— Nie jest zimno.

— Ale mi jest zimno. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Dziewczynka przybiegła niosąc koc z koziej wełny. Powiedziała coś szeptem do Tenar i odeszła.

— Heather pozwoli jej pomagać przy dojeniu kóz i będzie jej pilnować — zwróciła się do Ogiona. — Więc mogę zostać tu z tobą.

— Zawsze robisz kilka rzeczy naraz — wyszeptał z trudem.

— Owszem — odparła. — Ale teraz jestem tutaj.

Skinął głową. Długo nic nie mówił, stał z zamkniętymi oczyma, oparty o pień drzewa. Obserwując jego twarz, Tenar spostrzegła, że zmienia się ona powoli, jak światło na zachodzie.

Starzec otworzył oczy i przez lukę w konarach drzew przyglądał

się niebu. Zdawał się czekać na jakiś znak z tej dalekiej, złocistej przestrzeni. Nagle szepnął z wahaniem:

— Smok…

Słońce stało już nisko nad horyzontem, wiatr ucichł. Ogion spojrzał na Tenar.

— Skończone — szepnął z triumfem. — Wszystko się zmieniło! Zmieniło się, Tenar! Czekaj… czekaj tutaj, na…

Drżał cały. Oddychał z coraz większym trudem. Położył rękę na dłoni Tenar, a kiedy pochyliła się nad nim, wyjawił jej swoje imię, by po śmierci być prawdziwie poznanym. Zacisnął palce na jej dłoni, zamknął oczy i wydał ostatnie tchnienie. Tenar czuwała przy zmarłym do zmroku i później, kiedy na niebie zamigotały gwiazdy. Okryła siebie i starca wełnianym kocem, ale mimo to czuła przenikliwe zimno. W końcu wypuściła ze swojej dłoni zesztywniałą rękę Ogiona, wstała i wyruszyła na spotkanie ludzi, którzy nadchodzili ze światłem.

Dwór władcy Re Albi wznosił się na skalistej powierzchni stoku, poniżej Overfell. Wczesnym rankiem, na długo zanim słońce rozświetliło zbocza góry, czarodziej będący w służbie u tegoż władcy schodził drogą prowadzącą przez miasteczko. Inny czarodziej, który wyruszył jeszcze przed świtem, wspinał się mozolnie stromym traktem wiodącym z Portu Gont. Widocznie dotarła do nich wieść, że Ogion jest umierający. A może ich moc była tak wielka, że nikt nie musiał im tej wieści przynosić?

Miasteczko Re Albi nie miało czarodzieja, jedynie maga i czarownicę, która wykonywała skromne prace — jak odnajdywanie, naprawy czy nastawianie złamanych kości, czyli drobiazgi, którymi ludzie nie chcieli niepokoić maga. Cioteczka Moss była kobietą o ponurym wyglądzie, niezamężną — jak większość wiedźm — zawsze brudna, z siwiejącymi włosami związanymi w osobliwe czarodziejskie węzły i oczami zaczerwienionymi od dymu ziół. To właśnie ona przyszła do Tenar, aby razem z nią czuwać nocą przy ciele Ogiona. Umieściła woskową świecę w szklanym kloszu, przy zwłokach spaliła wonne olejki w glinianej misce, wypowiedziała słowa, które powinny być powiedziane i zrobiła wszystko to, co powinno być zrobione. Kiedy nadszedł czas przygotowania ciała do pogrzebu, spojrzała na Tenar, jakby czekała na pozwolenie, a potem dalej wypełniała swoje obowiązki. Wiejskie czarownice zwykle zajmowały się — jak to nazywały — przyhołubianiem zmarłych, a częstokroć — pogrzebem.

Kiedy nadszedł pierwszy czarodziej — wysoki młodzieniec ze srebrzystą laską z sosnowego drewna, a potem drugi — tęgi mężczyzna w średnim wieku z krótką laską cisową, Cioteczka Moss nie przyglądała się im swoimi przekrwionymi oczami, lecz przygarbiwszy się uciekła wraz ze swymi lichymi czarami i zaklęciami. Zwłoki były już przygotowane do pogrzebu — leżały na lewym boku, z ugiętymi

kolanami, w lewej dłoni widniało maleńkie czarodziejskie zawiniątko z każdej strony przywiązane sznurkiem. Czarnoksiężnik z Re Albi dotknął tego końcem laski.

— Czy grób został wykopany? — zapytał drugi przybysz, z Portu Gont.

— Tak — odrzekł czarodziej z Re Albi, wskazując na dwór na szczycie góry. — Został wykopany na cmentarzu mojego pana.

— Rozumiem. Myślałem, że nasz mag zostanie pochowany ze wszystkimi honorami w mieście, które uratował od trzęsienia ziemi.

— Mój pan pragnie tego zaszczytu — odparł mag z Re Albi.

— Ale to wyglądałoby… — zaczął ten z Portu Gont i przerwał. Nie chciał się spierać, jednak gotów był trwać na swoim stanowisku. Spojrzał na zmarłego. — Z pewnością zostanie pochowany bez imienia — powiedział z żalem i goryczą. — Szedłem całą noc, lecz przybyłem za późno. Nasza strata jest tym większa.

Młody czarodziej nic nie odpowiedział.

— Miał na imię Aihal — odezwała sięTenar. — Jego życzeniem było pozostać tu, gdzie leży teraz.

Obaj mężczyźni popatrzyli na nią. Młodzieniec, widząc wieśniaczkę w średnim wieku, odwrócił się po prostu. Człowiek z Portu Gont przez chwilę patrzył na nią, po czym spytał:

— Kim jesteś?

— Nazywam się Goha, wdowa po Flincie — odrzekła. — Myślę, że twoją sprawą jest wiedzieć, kim jestem, a nie moją — powiedzieć.

Wówczas czarodziej z Re Albi uznał ją za godną krótkiego spojrzenia.

— Uważaj, kobieto, jak przemawiasz do ludzi posiadających moc!

— Zaczekaj, zaczekaj — wtrącił ten z Portu Gont z uspakajającym gestem, starając się uciszyć jego oburzenie i wciąż przypatrując się Tenar. — Ty byłaś… Byłaś kiedyś jego wychowanką?

— I przyjaciółką — dodała Tenar. Potem odwróciła głowę i stała w milczeniu. Kiedy wymawiała słowo „przyjaciółka”, w jej głosie zabrzmiał gniew. Popatrzyła na swego przyjaciela — zwłoki przygotowane do pogrzebania, utracone i nieruchome. Stali nad nim, żywi i pełni mocy, nie ofiarując przyjaźni, a jedynie wzgardę, rywalizację i gniew.

— Przepraszam — powiedziała. — To była długa noc. Byłam z nim, kiedy umierał.

— To nie jest… — zaczął młody czarodziej, lecz nieoczekiwanie przerwała mu Cioteczka Moss, wykrzykując na całe gardło:

— Była. Tak, była. Nikt inny, tylko ona. Posłał po nią. Wysłał młodego Townsenda, handlarza owiec, żeby kazał jej przyjść i powstrzymał swoją śmierć, dopóki nie przybyła i nie była przy nim, a potem umarł, umarł tam, gdzie chciał być pochowany, tutaj.

— I — wtrącił starszy mężczyzna — i wyjawił ci… ?

— Swoje imię. — Tenar przyjrzała się im. Niedowierzanie na twarzy starszego mężczyzny, pogarda na twarzy drugiego — to zabiło w niej resztki szacunku dla nich. — Wymówiłam to imię — dodała. — Czy muszę je powtarzać?

Z ich słów zrozumiała, że istotnie nie usłyszeli tego imienia, prawdziwego imienia Ogiona; nie zwrócili uwagi na to, co powiedziała.

— Och! — westchnęła. — Nastały złe czasy. Czasy, w których nawet takie imię może przejść mimo uszu, przepaść jak kamień w wodę! Czy słuchanie nie jest mocą? Słuchajcie, więc: miał na imię Aihal. Jego pośmiertne imię brzmi Aihal. W pieśniach będzie znany jako Aihal z Gontu. Jeśli są jeszcze jakieś pieśni do napisania. Był milczącym człowiekiem. Teraz jest całkowitym milczeniem. Być może nie będzie już pieśni, tylko milczenie. Nie wiem. Jestem bardzo zmęczona. Straciłam ojca i drogiego przyjaciela. — Zamilkła, jej gardło ścisnął szloch. Odwróciła się, aby odejść. Uklękła jeszcze, by pocałować dłoń Ogiona. Znowu spojrzała na magów.

— Czy upewnicie się — zapytała — że jego grób został wykopany tam, gdzie on tego pragnął?

Najpierw starszy mężczyzna, potem młodszy skinęli głowami. Wstała, wygładziła fałdy spódnicy i w blasku poranka ruszyła przez łąkę.

4. KALESSIN

„Czekaj” — tak powiedział do niej Ogion, zanim wiatr śmierci wstrząsnął nim i oderwał go od życia. „Skończone… Wszystko się zmieniło…” A później: „Tenar… czekaj!”

Ale nie powiedział, na co powinna czekać. Na zmianę, którą ujrzał lub, o której wiedział? Być może, lecz, na jaką zmianę? Czy miał na myśli własną śmierć, własne życie, które było skończone? Przemawiał z radością, triumfem. Kazał jej czekać.

— Cóż innego mam do roboty — rzekła do siebie, zamiatając podłogę jego domu. — Cóż innego kiedykolwiek robiłam? „Czy mam czekać tutaj, w twoim domu?” — zwróciła się do tego, który odszedł.

— Tak — rzekł bezgłośnie milczący Aihal, uśmiechając się.

Pozamiatała, więc dom, oczyściła kominek i przewietrzyła materace. Wyrzuciła kilka wyszczerbionych glinianych naczyń i dziurawy rondel, lecz obchodziła się z nim delikatnie. Przytuliła policzek do pękniętego talerza, kiedy wynosiła go na śmietnik. Stanowił on dowód tego, jak bardzo chory był stary mag w ciągu ostatniego roku. Zawsze żył skromnie, jak ubogi rolnik, lecz kiedy jego wzrok był jasny i była w nim moc — nigdy nie używał połamanego talerza czy dziurawego rondla. Zasmuciły ją te oznaki jego słabości — żałowała, że nie było jej tu, kiedy Ogion potrzebował opieki.

— Lubiłabym to — powiedziała do swego wspomnienia o nim, lecz nie odezwał się ani słowem. Nigdy nie miał nikogo, kto by się nim opiekował, poza sobą samym. Czy odpowiedziałby jej: „Masz inne rzeczy do zrobienia”? Nie wiedziała. Starzec milczał. Lecz tego, że dobrze uczyniła zostając tu, w jego domu, była teraz pewna. Shan-dy i jej stary mąż Clearbrook, którzy byli na farmie w Dolinie Środkowej dłużej niż Tenar, zaopiekują się stadami i sadem, druga para na farmie — Tiff i Sis — zbierze plony. Reszta będzie musiała na razie sama zatroszczyć się o siebie. Krzew malinowy zostanie ogołocony przez dzieci z sąsiedztwa. Wielka szkoda, uwielbiała maliny. Tu, w górze, na Overfell, gdzie zawsze dął morski wiatr, było zbyt zimno, by uprawiać maliny. Jednakże małe stare drzewko brzoskwiniowe Ogiona, przytulone do południowej ściany domu, urodziło osiemnaście owoców i Therru przyglądała się im, jak kot polujący na myszy, aż do dnia, kiedy weszła do domu i oświadczyła swoim chrapliwym, stłumionym głosem:

— Dwie brzoskwinie są już dojrzałe.

Razem poszły do brzoskwiniowego drzewa, zerwały dwa pierwsze owoce i zjadły je tam, stojąc przy krzaku. Sok spływał im po brodach, oblizywały palce.

— Czy mogę ją zasadzić? — zapytała Therru, przyglądając się

pomarszczonej pestce.

— Tak. Tu, obok starego drzewa. Ale nie za blisko. Tak, żeby obydwa drzewa miały miejsce na swoje korzenie i gałęzie.

Dziecko wybrało miejsce i wykopało maleńki dołek. Ułożyło w nim pestkę i zasypało ją. Tenar obserwowała dziewczynkę. Pomyślała, że zmieniła się w ciągu tych kilku dni, które tu razem spędziły. Wciąż była jakby obojętna, bez gniewu, bez radości, lecz odkąd były tutaj, jej dziwna czujność i bezruch jak gdyby niedostrzegalnie osłabły. Pragnęła tych brzoskwiń. Pomyślała o zasadzeniu pestki, o powiększeniu liczby brzoskwiń na świecie. Na Dębowej Farmie nie bała się tylko dwóch osób: Tenar i Lark. Tutaj z łatwością polubiła Heather, pasterkę kóz z Re Albi, łagodną dwudziestoletnią upośledzoną kobietę o wrzaskliwym głosie, która traktowała dziecko jak jeszcze jedną kozę, okaleczała koźlę. Była dobra. I Cioteczka Moss też była dobra, bez względu na to, jak pachniała.

Kiedy Tenar po raz pierwszy zamieszkała w Re Albi, dwadzieścia pięć lat temu, Moss była młodą wiedźmą. Zginała się w pól i szczerzyła zęby do „Białej Pani", wychowanki i uczennicy Ogiona, nigdy nie odzywając się do niej bez najwyższego szacunku. Tenar wyczuwała, że szacunek ten był fałszywy, stanowił maskę dla zawiści, niechęci i nieufności. Tego, czego zaznała aż nazbyt wiele od kobiet, wobec których zajmowała pozycję wyższości, kobiet, które spostrzegały siebie jako zwyczajne, a ją jako niezwykłą, jako uprzywilejowaną. Kapłanka Grobowców Atuanu czy obca wychowanka Maga Gontu — była inna, lepsza. Mężczyźni dali jej moc, mężczyźni dzielili się z nią swoją mocą. Kobiety patrzyły na nią z zewnątrz, niekiedy z nią rywalizując, częstokroć z oznakami kpiny. Czuła się postawiona poza nawiasem, odgrodzona. Uciekała przed Mocami pustynnych grobowców, a później porzuciła potęgę wiedzy i umiejętności ofiarowaną jej przez Ogiona. Odwróciła się od tego wszystkiego, odeszła na drugą stronę, do innej izby, gdzie żyły kobiety, ażeby być jedną z nich. Mężatką, żoną rolnika, matką, gospodynią, przyjmującą moc, do której kobieta została stworzona, rolę wyznaczoną jej przez porządek świata. I tam, w Dolinie Środkowej, żona Flinta, Goha była mile widziana pomiędzy kobietami — cudzoziemka wprawdzie, białoskóra i mówiąca do nich z nieco obcym akcentem, lecz znakomita gospodyni, doskonała prządka z dobrze wychowanymi, mądrymi dziećmi i świetnie prosperującą farmą. Zasługiwała na szacunek. Pomiędzy mężczyznami zaś była kobietą Flinta, robiącą to, co powinna robić kobieta — łóżko, rodzenie, wypiekanie, gotowanie, przędzenie, szycie, podawanie do stołu. Dobra kobieta. Zaaprobowali ją. „Mimo wszystko Flint wyszedł na swoje" — mówili. „Ciekaw jestem, jaka jest biała kobieta. Czy cała biała?" — mówiły ich oczy, przypatrując się jej, aż zestarzała się i

przestali się nad tym zastanawiać.

Tutaj, teraz, wszystko się zmieniło, nie pozostało nic z tamtych lat. Odkąd ona i Moss czuwały razem przy Ogionie, czarownica dała jej do zrozumienia, że będzie jej przyjaciółką, stronniczką, sługą, czymkolwiek Tenar chce, żeby ona była. A Tenar nie była wcale pewna, czego wymagać od Cioteczki Moss. Uważała, że jest ona nieobliczalna, porywcza, ciemna, chytra i brudna. Ale Moss dobrze sobie radziła z poparzonym dzieckiem. Być może to właśnie ona wywołała w Therru tę zmianę, to nieznaczne odprężenie. Przy niej Therru zachowywała się jak przy każdym — obojętna, nie odpowiadająca na pytania, posłuszna w sposób, w jaki posłuszny jest martwy przedmiot. Jednak stara kobieta wytrwale nad nią pracowała, podsuwając jej słodycze i błyskotki, przekupując, przypo-chlebiając się i wdzięcząc.

— Chodź teraz z Cioteczką Moss, kochanie. Zbliż się, a Cioteczka Moss pokaże ci najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek widziałaś…

Nos Cioteczki wystawał solidnym garbem nad jej bezzębnymi szczękami i cienkimi wargami, na jej policzku rosła brodawka wielkości wiśni, włosy stanowiły siwo-czarną plątaninę czarodziejskich węzłów i kosmyków, a ciało wydzielało zapach tak silny i przenikliwy, jak woń lisiej nory. „Chodź ze mną do lasu, kochanie!” — mawiały stare wiedźmy w bajkach opowiadanych dzieciom z Gontu. „Chodź ze mną, a pokażę ci coś pięknego!” A potem czarownica zamykała dziecko w piecu, piekła i zjadała albo usypiała je na sto lat wewnątrz wielkiego kamienia, aż przybywał Królewski Syn, by roztrzaskać głaz mocą Słowa, obudzić dziewicę pocałunkiem i uśmiercić niegodziwą wiedźmę…

— Chodź ze mną, kochanie! — mówiła Moss i zabierała dziewczynkę na pola, gdzie pokazywała jej gniazdo skowronka w zielonym sianie, albo na bagna, gdzie zbierały dziką miętę i czarną borówkę. Nie musiała zamykać dziecka w piecu ani przemieniać go w potwora, ani też zaklinać go w kamień. To wszystko zostało już zrobione. Odnosiła się życzliwie do Therru, lecz była to bałamutna dobroć i wydawało się, że sporo rozmawiała z dziewczynką, kiedy były razem. Tenar nie wiedziała, co Moss jej mówiła lub też czego ją uczyła i czy powinna pozwolić czarownicy zapełniać głowę dziecka głupstwami. Słaby jak babskie czary, złośliwy jak babskie czary — słyszała setki razy. I rzeczywiście, przekonała się, że magia takich kobiet jak Moss czy Ivy była słaba z powodu ich braku rozsądku, a niekiedy złośliwa skutkiem złych intencji lub ciemnoty. Wiejskie czarownice — chociaż mogły znać wiele czarów, zaklęć i niektóre z wielkich pieśni — nie posiadały wcale wykształcenia w dziedzinie Wyższych Kunsztów czy zasad magii. Żadna kobieta nie była w ten sposób wyszkolona. Czamoksięstwo było męskim zajęciem, męską

umiejętnością — czary czynili mężczyźni. Nigdy nie było kobiety-maga. Mimo, że nieliczne spośród nich nazywały się czarodziejkami lub czarownicami, ich moc była niewprawna, siła pozbawiona kunsztu i wiedzy — na poły śmieszna, na poły niebezpieczna.

Zwykła wiejska wiedźma, taka jak Moss, żyła z kilku słów Prawdziwej Mowy, przekazanych jej przez starsze czarownice albo kupionych za wysoką cenę od czarodziejów, i z zapasów pospolitych zaklęć znajdowania i naprawiania, sporej ilości nic nie znaczącego rytuału, odprawiania misteriów, solidnej praktyki w zakresie położnictwa, nastawiania złamanych kości i leczenia dolegliwości zwierząt i ludzi, dobrej znajomości ziół — wszystko to oparte było na jakimkolwiek wrodzonym darze uzdrawiania, śpiewu, przemieniania lub rzucania uroków. Taka mieszanina mogła być dobra albo zła. Niektóre czarownice były zawziętymi, zgorzkniałymi kobietami, gotowymi wyrządzać szkodę i nie znającymi powodu, aby jej nie wyrządzać. Większość była akuszerkami i zna-chorkami, znającymi kilka napojów miłosnych, czarów płodności i zaklęć potencji, przy czym same miały spory dystans do tego wszystkiego. Nieliczne, posiadające mądrość pomimo braku wiedzy, używały swojego daru wyłącznie dla czynienia dobra, chociaż nie potrafiły zrobić tego, co potrafiłby każdy czarodziej-terminator — wskazać powodu, dla którego czyniły czary, ani mówić o Równowadze i Drodze Mocy, aby umotywować swoje działanie.

— Idę za głosem serca — powiedziała przed laty do Tenar jedna z tych kobiet. — Pan Ogion jest wielkim magiem. Dostępujesz wielkiego zaszczytu, skoro on cię uczy. Lecz zastanów się, dziecko, czy wszystkim, czego cię nauczył, nie jest ostatecznie podążanie za głosem serca?

Tenar wiedziała, że kobieta ma rację, ale jednak nie do końca się z nią zgadzała. Było coś jeszcze. Obserwując teraz Moss i Therru, Tenar pomyślała, że Cioteczka również podąża za głosem swego serca, lecz było to mroczne, dzikie serce, rządzące się swoimi prawami. Myślała też, że Moss może czuć sympatię do Therru nie tylko z dobroci, lecz z powodu ran, krzywdy, którą jej wyrządzono. Niemniej jednak nic, co Therru zrobiła lub powiedziała, nie wskazywało na to, że uczyła się od Cioteczki Moss czegokolwiek oprócz tego, gdzie wije gniazdo skowronek, gdzie rośnie czarna borówka i jak robić kocią kołyskę jedną ręką. Dłoń Therru została tak zżarta przez ogień, że pozostał po niej zabliźniony kikut, a jedynym palcem, którego dziewczynka mogła używać, był kciuk. Cioteczka Moss znała jednak zdumiewający układ kociej kołyski na cztery palce i kciuk i wierszyk towarzyszący figurom:

Bij. bij, poczerwień wszystko!

Spal, spal, pogrzeb wszystko!

Przybądź smoku, przybądź!

I sznurek formował cztery trójkąty, które błyskawicznie układały się w kwadrat. Therru nigdy nie śpiewała głośno, lecz Tenar słyszała, jak siedząc samotnie na progu domu maga, monotonnie śpiewała półszeptem, układając figury.

A jaka więź — myślała Tenar — łączyła ją samą z tym dzieckiem, poza litością, poza zwyczajnym poczuciem obowiązku wobec bezradnej istoty? Lark zatrzymałaby ją, gdyby nie wzięła jej Tenar. Lecz Tenar zabrała ją do siebie, nigdy nie zadając sobie pytania „Dlaczego?". Czy podążała za głosem serca? Ogion nie zadawał żadnych pytań na temat dziecka, powiedział tylko: „Będą się jej lękać". A Tenar odpowiedziała zgodnie z prawdą: „Już się jej boją".

Może ona sama bała się dziecka tak, jak obawiała się okrucieństwa, gwałtu i ognia. Czy to strach był więzią, która ją zatrzymywała?

— Goha — powiedziała Therru siadając pod brzoskwiniowym drzewem i przyglądając się miejscu w twardej letniej ziemi, gdzie zasadziła pestkę brzoskwini. — Co to są smoki?

— Potężne stworzenia — odrzekła Tenar — podobne do jaszczurek, ale dłuższe niż okręt i większe niż dom. Uskrzydlone jak ptaki. Wydychają ogień.

— Czy przylatują tutaj?

— Nie — rzekła Tenar. Dziewczynka nie pytała więcej.

— Czy Cioteczka Moss opowiadała ci o smokach? Therru potrząsnęła głową.

— Ty opowiadałaś — odparła.

— Aha — powiedziała Tenar. I zaraz dodała: — Brzoskwinia, którą zasadziłaś, będzie potrzebowała wody, żeby zakiełkować. Raz dziennie, dopóki nie przyjdą deszcze.

Therru wstała i truchtem pobiegła za róg domu, do studni. Jej nogi i stopy były zdrowe. Tenar lubiła patrzeć, jak szła lub biegła, stawiając na ziemi ciemne, zakurzone, śliczne, małe stopki. Dziewczynka wróciła z Ogionową konewką, z trudem posuwając się z nią naprzód, i cieniutkim strumykiem podlała małą sadzonkę.

— Pamiętasz, więc historię o tym, jak ludzie i smoki byli tym samym… Jak ludzie przybyli tutaj, na wschód, lecz wszystkie smoki pozostały na dalekich zachodnich wyspach. Daleko, daleko stąd.

Therru skinęła głową. Zdawała się nie zwracać uwagi, lecz kiedy Tenar, mówiąc „zachodnie wyspy", wskazała na morze, Therru zwróciła twarz w kierunku wysokiego, jasnego horyzontu.

Koza ukazała się na dachu obórki i ustawiła się do nich bokiem, dumnie podnosząc głowę — najwyraźniej uważała się za kozicę.

— Sippy znowu zerwała się z uwięzi — powiedziała Tenar.

— Hesssss! Hesssss! — Therru biegła imitując kozie zawołanie,

którego używała Heather, a po chwili sama Heather pojawiła się przy ogrodzeniu otaczającym grządki, krzycząc „Hesssss!” do kozy, która ignorowała ją, w zamyśleniu przyglądając się fasoli.

Tenar pozostawiła tej trójce zabawę w berka. Przeszła obok grządki fasoli i ruszyła w stronę krawędzi urwiska. Dom Ogiona stał poza miasteczkiem, bliżej urwiska niż jakikolwiek inny dom, na stromym, porosłym bujną trawą stoku, przecinanym gdzieniegdzie szarym występem skalnym. Kiedy szło się na północ, uskok stawał się jeszcze bardziej stromy, aż zaczynał opadać pionowo i w odległości jakiejś mili od miasteczka, Overfell zwężało się do rozmiarów półki z czerwonego piaskowca, zwisającej ponad morzem, które dwa tysiące stóp niżej podmywało jego podstawę.

Nic nie rosło na tym odległym krańcu Overfell oprócz porostów, skalnego ziela, i — tu i ówdzie — błękitnej stokrotki, skarłowaciałej od porywów wiatru, podobnej do koralika rzuconego na surową, pokruszoną skałę. Po wewnętrznej stronie grzbietu urwiska, na północy i wschodzie, ponad wąskim pasmem bagien, wznosiła się mroczna, olbrzymia ściana Góry Gont, zalesiona niemal po sam wierzchołek. Urwisko stało tak wysoko nad zatoką, że trzeba było spojrzeć w dół, aby zobaczyć jej wybrzeże i niewyraźne niziny Essary. Poza nimi, na całym południu i zachodzie, nie było nic oprócz nieba ponad morzem.

Tenar lubiła tam chodzić w czasach, kiedy mieszkała w Re Albi. Ogion kochał lasy, lecz ona, która żyła na pustyni, gdzie jedynymi drzewami w promieniu setek mil były rosnące w sadach sękate jabłonie i drzewa brzoskwiniowe, podlewane podczas niekończących się poi letnich, gdzie nie rosło nic zielonego, wilgotnego i swobodnego, gdzie nie było nic poza górą, wielką równiną i morzem — ona lubiła krawędź urwiska bardziej niż otaczające je lasy. Lubiła widzieć ponad głową jedynie bezkresne niebo. Porosty, szare skalne ziele i pozbawione łodyg stokrotki — je również lubiła, były znajome. Usiadła na skale, kilka stóp od krawędzi i — jak dawniej — spojrzała w dal na morze. Słońce przygrzewało, lecz wiejący nieustannie wiatr studził pot na twarzy i ramionach kobiety. Przechyliła się do tyłu, opierając się na rękach, i nie myślała o niczym, gdyż wypełniały ją słońce, wiatr, niebo i morze. Nagle jednak poczuła, że coś kłuje ją w lewy nadgarstek, rozejrzała się i zobaczyła maleńki oset kulący się w szczelinie piaskowca, ledwie podnoszący swe bezbarwne kolce do światła i wiatru. Sztywno poruszał się na wietrze, opierając się jego podmuchom. Przyglądała mu się długo.

Kiedy ponownie popatrzyła na morze, ujrzała błękitny, zamglony zarys wyspy. Była to Oranća, najdalej wysunięta na wschód spośród Wysp Wewnętrznych. Kobieta wpatrywała się w ten ledwo widoczny kształt, dopóki nie przyciągnął jej wzroku jakiś ptak nadlatujący z

zachodu. Nie mogła to być mewa, gdyż leciał jednostajnie, a zbyt wysoko, aby być pelikanem. Czy była to dzika gęś, czy albatros — wielki podróżnik otwartego morza, przelatujący pomiędzy wyspami? Obserwowała powolne uderzenia skrzydeł, daleko w górze, w oślepiającym bezkresie. Nagle zerwała się na nogi, odsuwając się nieco od skraju urwiska, i stanęła bez ruchu, z zapartym tchem i mocno bijącym sercem przyglądając się wijącemu się, żelaznemu cielsku, unoszonemu przez długie, błoniaste, czerwone jak ogień skrzydła, sięgającym daleko pazurom i kłębom dymu rozwiewającym się w powietrzu. Stwór leciał prosto na Gont, wprost na Overfell, wprost na nią. Ujrzała blask rdzawo-czarnych łusek i lśnienie długiego oka. Widziała czerwony język, który był językiem ognia. Wiatr napełnił się odorem spalenizny, kiedy smok z syczącym rykiem kierując się ku skalnej półce wydał ogniste westchnienie.Jego łapy uderzyły o ziemię. Kolczasty, wijący się ogon grzechotał przy każdym ruchu, a skrzydła — szkarłatne, gdy przeświecało przez nie stonce — huczały i szeleściły, składając się na bokach, pokrytych kolczugą łusek. Głowa odwróciła się powoli. Smok popatrzył na kobietę, która stała w zasięgu jego ostrych jak kosy szponów. Kobieta patrzyła na smoka. Czuła ciepło jego ciała.Słyszała, że ludziom nie wolno patrzeć w smocze źrenice, lecz w tej chwili nic to dla niej nie znaczyło. Stwór spoglądał wprost na nią spod zbrojnych pancerzy, żółtymi oczyma szeroko rozstawionymi ponad wąskim nosem i dymiącymi nozdrzami. A jej ciemne oczy na drobnej, delikatnej twarzy patrzyły prosto na niego.

Żadne z nich nie przemówiło. Smok odwrócił nieco głowę, dzięki czemu kobieta nie została spalona, kiedy się odezwał, a może roześmiał — potężne „Ha!" pomarańczowego płomienia. Potem przykucnął i pochylił swoje cielsko.

— Ahivaraihe, Ged — przemówił dość łagodnie, dymiąco, migocząc płonącym językiem. Pochylił głowę. Dopiero wtedy Tenar ujrzała człowieka, który siedział okrakiem na grzbiecie smoka, w szczerbie pomiędzy dwoma spośród kolców-mieczy, u nasady skrzydeł. Jego dłonie były zaciśnięte, na ciemnordzawej kolczudze pokrywającej szyję smoka, a głowa opierała się o kolec, jak gdyby spał.

— Ahi eheraihe, Ged! — powiedział smok trochę głośniej, a jego długa paszcza, trwająca w grymasie wiecznego uśmiechu, ukazała zęby tak długie jak przedramię Tenar, żółtawe, o białych, ostrych końcach. Mężczyzna nie poruszył się. Smok odwrócił długą głowę i ponownie spojrzał na Tenar.

— Sobriost — szepnął, a zabrzmiało to jak zgrzyt metalu.

To słowo Języka Tworzenia znała. Ogion nauczył ją wszystkiego, czego chciała dowiedzieć się o Dawnej Mowie. „Wejdź na górę" —

powiedział smok. Tenar ujrzała cztery stopnie: szponiastą łapę, zakrzywiony łokieć, przegub ramienia, nasadę skrzydła. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza, by opanować zawrót głowy. Potem ruszyła. Obok pazurów, długiej, pozbawionej warg paszczy i żółtego oka. Wspięła się na ramię smoka i chwyciła rękę mężczyzny. Nie poruszał się, lecz z pewnością nie był martwy, skoro smok przyniósł go tutaj i mówił do niego.

— Chodź — rzekła, a potem, kiedy rozluźniała zaciśnięty uchwyt jego lewej ręki i ujrzała jego twarz, dodała: — Chodź, Ged. Chodź…

Uniósł nieco głowę. Jego oczy były otwarte, lecz nie widziały. Musiała wspiąć się dookoła niego, kalecząc nogi na gorącej, opancerzonej skórze smoka, i rozewrzeć jego prawą dłoń, zaciśniętą na zrogowaciałym guzie u podstawy mieczowatego kolca. Zmusiła go, żeby uchwycił się jej ramion i dzięki temu mogła zwlec go na ziemię po czterech niezwykłych stopniach. Ocknął się już na tyle, by próbować się jej trzymać, lecz nie było w nim siły. Runął bezwładnie jak worek z grzbietu smoka na skały. Smok odwrócił swoją ogromną głowę i obwąchał ciało człowieka. Podniósł łeb, jego skrzydła uniosły się, wydając potężny, metaliczny odgłos. Odsunął łapy od Geda, bliżej krawędzi urwiska. Raz jeszcze utkwił wzrok w Tenar i przemówił głosem suchym jak trzask ognia.

— Thesse Kalessin.

Morski wiatr zagwizdał pomiędzy rozpostartymi skrzydłami smoka.

— Thesse Tenar — odrzekła kobieta wyraźnym, drżącym głosem.

Smok odwrócił wzrok i spojrzał na zachód, ponad morzem. Skurczył swoje długie cielsko z brzękiem żelaznych łusek, po czym nagle rozpostarł skrzydła, przykucnął i zeskoczył z urwiska wprost na wiatr. Ciągnący się za nim ogon zarysował powierzchnię piaskowca. Czerwone skrzydła opadły, uniosły się i znów opadły i już Kalessin znalazł się daleko od lądu, lecąc prosto na zachód.

Tenar obserwowała go, aż stał się nie większy od dzikiej gęsi albo mewy. Powietrze było chłodne. Jeszcze przed chwilą smok rozgrzewał je swoim ogniem. Tenar zadygotała. Usiadła na skale obok Geda i zaczęła płakać. Ukryła twarz w ramionach i głośno lamentowała.

— Co mam zrobić? — zawołała. — Co teraz mam zrobić?

Wkrótce wytarła rękawem oczy i nos, poprawiła włosy i odwróciła się do mężczyzny. Leżał na nagiej skale tak nieruchomy, tak spokojny, jak gdyby mógł tam leżeć zawsze. Tenar westchnęła. Musiała coś zrobić, chociaż nie wiedziała, co. Nie była w stanie go nieść. Musiała sprowadzić pomoc. Oznaczało to pozostawienie go samego. Wydało się jej, że leżał zbyt blisko krawędzi urwiska. Gdyby próbował wstać, mógłby stracić równowagę i spaść. W jaki sposób miała go przenieść? Nawet się nie przebudził, kiedy mówiła i dotykała

go. Chwyciła go pod ramiona i próbowała ciągnąć i — o dziwo — udało się jej. Ciało mężczyzny było lekkie, Tenar przeciągnęła go dziesięć czy piętnaście stóp, z nagiej skalnej półki na skrawek błota, gdzie suchy pęk trawy dawał złudzenie schronienia. Tam musiała go zostawić. Nie mogła biec — nogi jej drżały, oddech wciąż przechodził w szloch. Poszła, tak szybko jak tylko mogła, do Ogionowego domu, donośnym głosem wołając Heather, Moss i Therru. Dziecko pojawiło się w pobliżu obórki i stanęło, jak zwykle posłuszne wezwaniu Tenar, ale nie zbliżyło się, aby ją powitać.

— Therru, biegnij do miasta i poproś kogokolwiek, żeby przyszedł… Kogoś silnego… Na urwisku jest ranny człowiek.

Therru nie ruszała się z miejsca. Nigdy nie chodziła sama do miasteczka. Stała unieruchomiona między posłuszeństwem a lękiem. Tenar zauważyła to i rzekła:

— Czy jest tutaj Cioteczka Moss? A Heather? W trójkę możemy go przenieść. Tylko prędko, prędko, Therru! — Czuła, że jeśli pozwoli Gedowi leżeć tam bez ochrony, on z całą pewnością umrze. Będzie stracony, spadnie, zabiorą go smoki. Wszystko mogło się zdarzyć. Musi się śpieszyć, zanim to się stanie. Flint zmarł od udaru na swoich polach i jej nie było przy nim. Umarł sam. Pasterz znalazł go leżącego przy bramie. Ogion umarł, a ona nie umiała uchronić go przed śmiercią. Ged wrócił do domu, żeby umrzeć i był to koniec wszystkiego. Nic nie można było zrobić, a jednak nie mogła zrezygnować. — Szybko, Therru! Przyprowadź kogoś!

Na drżących nogach ruszyła sama w kierunku miasteczka, lecz ujrzała Moss, która spieszyła przez pastwisko, stąpając sztywno i podpierając się swoim grubym głogowym kijem.

— Wzywałaś mnie, kochanie?

Obecność Moss przyniosła jej natychmiastową ulgę. Znowu mogła trzeźwo myśleć. Moss nie traciła czasu na pytania, lecz usłyszawszy, że trzeba przenieść rannego mężczyznę, wzięła ciężką, płócienną narzutę siennika, którą wietrzyła Tenar, i ruszyła na kraniec Oerfell. Obie z Tenar zawinęły w nią Geda i właśnie mozolnie wlokły swój ciężar ku domowi, kiedy przybiegła Heather, a tuż za nią Therru i Sippy. Heather była młoda i silna, więc z jej pomocą mogły podnieść płótno jak nosze i zanieść mężczyznę do domu. Tenar i Therru sypiały na posłaniu przy zachodniej ścianie długiej, mrocznej izby. W odległym jej krańcu stało tylko łóżko Ogiona, przykryte teraz ciężkim, lnianym prześcieradłem. Położyły tam mężczyznę. Tenar przykryła go kocem, podczas gdy Moss mamrotała zaklęcia, a Heather i Therru stały nie odrywając od nich oczu.

— Zostawcie go teraz — rzekła Tenar, prowadząc je wszystkie do przedniej części domu.

— Kim on jest? — zapytała Heather.

— Co robił na Overfell? — dodała Moss.

— Znasz go, Moss. Był kiedyś uczniem Ogiona-Aihala. Czarownica potrząsnęła głową.

— To był chłopiec z Dziesięciu Olch — odrzekła. — Ten, który jest teraz Arcymagiem na Roke. Tenar skinęła głową.

— Nie, kochanie — powiedziała Moss. — Ten tutaj jest do niego podobny, ale nim nie jest. Ten człowiek nie jest magiem. Nawet nie czarownikiem.

Heather ubawiona spoglądała to na jedną, to na drugą. Nie rozumiała większości z tego, co mówili ludzie, lecz lubiła ich słuchać.

— Ależ ja go znam, Moss. To Krogulec. — Wypowiedzenie tego imienia, imienia powszedniego Geda, wyzwoliło w Tenar uczucie czułości i po raz pierwszy pomyślała i poczuła, że to rzeczywiście był on i że wszystkie lata, jakie minęły, odkąd ujrzała go po raz pierwszy, połączyły ich nierozerwalną więzią. Przypomniała sobie światło, które kiedyś ujrzała w ciemności, pod ziemią, dawno temu, i twarz mężczyzny w blasku tego światła. — Znam go, Moss. — Uśmiechnęła się. — Był pierwszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam — dodała.

Moss zamamrotała i przesunęła się. Nie lubiła zaprzeczać „Pani Gosze", ale nie przekonało jej to, co usłyszała.

— Istnieją sztuczki, przebrania, przeobrażenia, przemiany — odezwała się. — Lepiej bądź ostrożna, kochanie. W jaki sposób dostał się tam, gdzie go znalazłaś? Czy ktokolwiek widział, jak przechodził przez miasteczko?

— Żadna z was… nie zauważyła…?

Wpatrywały się w nią. Próbowała powiedzieć „smoka", ale nie mogła. Jej wargi i język nie chciały wyartykułować tego słowa. Ale inne słowo ukształtowało się w nich samo.

— Kalessin — powiedziała.

Therru utkwiła w niej wzrok. Fala ciepła zdawała się wypływać z dziewczynki, jak gdyby miała gorączkę. Nie odezwała się ani słowem, lecz poruszała wargami, jakby powtarzając to imię, a z jej postaci emanował żar.

— Sztuczki! — krzyknęła Moss. — Teraz, kiedy odszedł nasz mag, będą się tu kręcić wszelkiego rodzaju oszuści.

— Przybyłam z Atuanu do Havnoru, a z Havnoru na Gont z Krogulcem, w otwartej łodzi — odpowiedziała Tenar oschle. — Widziałaś go, kiedy mnie tu przywiózł, Moss. Nie był wtedy arcymagiem. Lecz był tym samym człowiekiem. Czy istnieją inne blizny podobne do tych?

Stara kobieta zamilkła, opanowując się. Spojrzała na Therru.

— Nie — odparła. — Ale…

— Czy myślisz, że nie poznałabym go? Moss wykrzywiła usta,

zmarszczyła brwi i potarła jednym kciukiem o drugi, spoglądając na swoje ręce.

— Są na świecie złe rzeczy, pani — powiedziała. — Rzecz, która przybiera kształt i ciało człowieka, lecz jego dusza jest stracona… pożarta…

— Gebbeth?

Moss skuliła się na dźwięk tego słowa, tak otwarcie wypowiedzianego. Skinęła głową.

— Istotnie, ludzie mówią, że niegdyś przybył tutaj mag Krogulec, dawno temu, zanim ty z nim przypłynęłaś. I stwór ciemności przybył wraz z nim — ścigając go. Może wciąż to robi. Być może…

— Smok, który go tu przyniósł — przerwała Tenar — nazwał go jego prawdziwym imieniem. I ja znam to imię. — W jej głosie rozbrzmiewał gniew na uparte podejrzenia czarownicy. Moss stała oniemiała. Jej milczenie było lepszym argumentem niż słowa.

— Być może ten cień, za nim, jest jego śmiercią — powiedziała Tenar. — Może on umiera. Nie wiem. Gdyby Ogion…

Na myśl o Ogionie znowu się rozpłakała myśląc o tym, że Ged przybył za późno. Podała Therru kociołek do napełnienia i delikatnie dotknęła jej twarzy, kiedy do niej mówiła. Blizny były gorące w dotyku, lecz dziecko nie miało gorączki. Tenar uklękła, by rozniecić ogień. Ktoś w tej rodzinie, składającej się z wiedźmy, wdowy, kaleki i półgłówka, musiał zrobić to, co musi zostać zrobione. Nie mogła nawet płakać, płacz przeraziłby dziecko. Smok odleciał. Czy jednak nie miało już nigdy nadejść nic więcej oprócz śmierci?

5. POPRAWA

Leżał jak martwy, lecz nie był martwy. Gdzie był? Przez co przeszedł? Tej nocy, w świetle ognia płonącego w kominku, Tenar zdjęła z niego zniszczone, poplamione, cuchnące potem ubranie. Umyła go i pozwoliła mu leżeć nago pomiędzy lnianym prześcieradłem a ciężkim kocem z miękkiej koziej wełny. Kiedyś był krzepkim, pełnym wigoru mężczyzną, chociaż szczupłym i niewysokim. Teraz był chudy, jak gdyby odarty z ciała, wątły i wycieńczony. Nawet srebrzyste blizny, które pokrywały pręgami jego ramię i lewą stronę twarzy od skroni po szczękę, wydawały się mniejsze. Jego włosy też posiwiały.

„Mam dosyć żałoby — pomyślała Tenar. — Dość żałoby, dość smutku. Nie będę się smucić z jego powodu! Czyż nie przybył do mnie dosiadłszy smoka? Kiedyś zamierzałam go zabić. Teraz ożywię go, jeśli zdołam.” — Spojrzała na niego z wyzwaniem w oczach.

— Które z nas uratowało drugie z Labiryntu, Ged?

Nie słyszał, nie poruszał się, spał. Tenar była bardzo zmęczona. Wykąpała się w wodzie, którą zagrzała, by umyć w niej mężczyznę, i wsunęła się do łóżka obok małej, ciepłej, jedwabistej ciszy, jaką była śpiąca Therru. Zasnęła, a sen roztoczył przed nią obraz rozległej wietrznej przestrzeni, wypełnionej różowo-złotą mgłą. Jej głos wołał: „Kalessin”. Inny głos odpowiadał, wołając z otchłani światła. Kiedy się obudziła, na polach i na dachu domu szczebiotały ptaki. Uniósłszy się na łóżku, ujrzała blask poranka przez chropowatą szybę niskiego okna. Czuła w sobie coś dziwnego, jakieś ziarno nikłego światła, zbyt małe, by je rozpoznać czy pomyśleć o nim. Therru jeszcze spała. Tenar siedziała obok niej, przyglądając się przez małe okienko chmurze i słonecznemu światłu. Rozmyślała o swojej córce Apple i próbowała przypomnieć sobie ją jako dziecko. Jednak przed jej oczyma pojawiało się jedynie najlżejsze mgnienie, znikające, kiedy się ku niemu zwracała: małe, pulchne ciałko wstrząsane dźwięcznym śmiechem, wiotkie, rozwiane włosy… I drugie dziecko, chłopiec, który dla żartu otrzymał imię Spark, co oznacza „iskra”, został bowiem wykrzesany z Flinta, którego imię oznaczało „krzemień”. Nie znała prawdziwego imienia swego syna. Był on równie chorowitym dzieckiem, jak Apple — zdrowym. Urodzony przedwcześnie, o mało nie umarł na krup, kiedy miał dwa miesiące. Dwa lata później wychowywanie go przypominało hodowanie ledwie opierzonego wróbla — nie wiedziało się nigdy, czy rankiem będzie jeszcze żył. Wytrzymał jednak — mała iskierka nie miała ochoty zgasnąć. I podrastając stał się twardym chłopakiem, zawsze aktywnym, zabieganym. Nie nadawał się do pracy na farmie — brakowało mu cierpliwości do zwierząt, roślin, ludzi.

Używał słów tylko dla swoich potrzeb, nigdy zaś dla przyjemności, dla wymiany miłości czy wiedzy.

Ogion odwiedził ich podczas swoich wędrówek, kiedy Apple miała trzynaście, a Spark — jedenaście lat. Mag nadał wówczas dziewczynce imię. U źródeł Kahedy weszła do zielonej wody, piękna, dziecko-kobieta, a on dał jej prawdziwe imię: Hayohe. Pozostał na Dębowej Farmie dzień lub dwa i zapytał chłopca, czy chce powędrować z nim trochę po lasach. Spark tylko potrząsnął głową na znak odmowy.

— Co chciałbyś więc robić? — zapytał go mag, a chłopiec powiedział to, czego nigdy nie był w stanie powiedzieć ojcu czy matce:

— Zostać żeglarzem.

Więc kiedy Beech trzy lata później nadał mu imię, zaokrętował się jako żeglarz na statek handlowy przewożący towary z Yalmouth do Oranća i Pomocnego Havnoru. Od czasu do czasu przyjeżdżał na farmę, ale nigdy na długo, mimo że po śmierci ojca miała ona zostać jego własnością. Miał białą skórę jak Tenar, lecz podobnie jak Flint wyrósł na wysokiego mężczyznę o wąskiej twarzy. Nie zdradził rodzicom swego prawdziwego imienia. Być może nie było nigdy nikogo, komu je wyjawił. Tenar nie widziała go od trzech lat. Mógł wiedzieć lub nie wiedzieć o śmierci swojego ojca. Mógł sam być martwy, utonąć, ale Tenar miała nadzieję, że tak się nie stało. Wierzyła, że przeniósłby tę iskierkę swego życia ponad wodami, poprzez sztormy.

Właśnie coś takiego było w niej teraz: iskra, jak cielesna pewność poczęcia, odczucie zmiany, czegoś nowego. Nie chciała dociekać, co to było. Nie mogła. To było dane albo nie.

Wstała i ubrała się. Wczesnym rankiem było ciepło, nie rozpalała, więc ognia. Usiadła w drzwiach, by wypić kubek mleka i popatrzeć na cień Góry Gont. Wał tak lekki wiatr, jaki tylko mógł być na tej omiatanej wichrami skalnej półce. Bryza przyniosła łagodny dotyk pełni lata i bogaty aromat łąk. W powietrzu była jakaś słodycz, jakaś zmiana.

— Wszystko się zmieniło! — wyszeptał starzec, umierając, pełen radości. Kładąc swoją rękę na jej dłoni, ofiarowując jej dar — swoje imię.

— Aihal! — szepnęła. W odpowiedzi za oborą zabeczała para kóz, czekających na przyjście Heather.

— Be-eh — beknęła jedna, a druga dodała niżej, metalicznie:

— Bla-ah!

Zaufaj kozie, miał zwyczaj mawiać Flint, ona wszystko zniszczy. Flint, pasterz, czuł niechęć do kóz. Lecz Krogulec jako chłopiec również wypasał kozy na zboczach tej góry. Weszła do środka. Zastała

Therru przyglądającą się śpiącemu mężczyźnie. Objęła dziecko ramieniem i chociaż Therru zwykle była bierna lub wzdragała się przed dotykiem czy pieszczotą, tym razem przyjęła je, a może nawet skłoniła się nieco, ku Tenar. Ged wciąż leżał wyczerpany, pogrążony we śnie. Na policzku widniały cztery jasne blizny, znaczące ciemną twarz.

— Czy on został poparzony? — wyszeptała Themi. Tenar nie odpowiedziała od razu. Nie wiedziała, czym były te blizny.

— Smok? — zapytała go z drwiną dawno temu, w Malowanej Komnacie Labiryntu Atuanu. A on odpowiedział poważnie:

— Nie smok. Krewniak Bezimiennych. Ale ja poznałem jego imię…

I to było wszystko, co wiedziała. Wiedziała też jednak, co dla dziecka oznacza słowo „poparzony”.

— Tak — odrzekła.

Therru dalej mu się przyglądała. Zadarła głowę, aby użyć swojego jedynego widzącego oka. Wyglądała teraz jak mały ptak, wróbelek albo zięba.

— Chodź, ptaszynko, sen jest tym, czego on potrzebuje, tobie potrzebna jest brzoskwinia. Czy jakaś brzoskwinia dojrzała dzisiejszego ranka?

Therru pobiegła zobaczyć, a Tenar podążyła za nią. Zjadając brzoskwinię, dziewczynka badawczo przypatrywała się miejscu, w którym wczoraj zasadziła pestkę. Była najwyraźniej rozczarowana, że nie wyrosło tam żadne drzewo, nic jednak nie powiedziała.

— Podlej ją — rzekła Tenar.

Przed południem nadeszła Cioteczka Moss. Jedną z jej umiejętności, jako czarownicy-majstra-do-wszystkiego, było wyplatanie koszy z sitowia z bagna Oerfell i Tenar poprosiła kiedyś, by nauczyła ją tej sztuki. Jako dziecko w Atuanie, Tenar nauczyła się, jak się uczyć. Jako obca na wyspie Gont, odkryła, że ludzie lubią uczyć. Nauczyła się więc pobierać od nich nauki tak, żeby zostać zaakceptowaną, aby obcość została jej wybaczona. Ogion nauczył ją swojej wiedzy, a później Flint nauczył ją swojej. To był nawyk jej życia — uczyć się. Okazywało się zawsze, że było całe mnóstwo rzeczy, które powinna poznać, więcej niż mogłaby pojąć będąc kapłanką-terminatorką czy też uczennicą maga. Sitowie zostało namoczone i tego ranka miały rozdzielić je na części, co było zadaniem wymagającym dużego wysiłku, lecz nieskomplikowanym, pozostawiającym dużo wolnej uwagi.

— Cioteczko — rzekła Tenar, gdy siedziały na progu, mając pomiędzy sobą miskę wymoczonego sitowia, a przed sobą matę do układania rozszczepionych włókien — po czym poznajesz, czy ktoś jest czarodziejem, czy nie?

Moss, jak zwykle, odpowiedziała niejasno, pokrętnie.

— Głębia poznaje głębię — rzekła. — Co urodzone, przemówi. — I opowiedziała historię o pewnej mrówce, która podniosła z podłogi pałacu maleńki koniec włosa i uciekła z nim do mrówczego gniazda, a nocą gniazdo owo jarzyło się jak gwiazda pod ziemią, gdyż włos ten pochodził z głowy potężnego maga Brosta. Jednakże tylko czarnoksiężnicy widzieli żarzące się mrowisko. Dla zwykłych oczu było ono zupełnie ciemne.

— Zatem człowiek potrzebuje treningu — odezwała się Tenar. Może tak, może nie — brzmiał sens tajemniczej odpowiedzi Moss.

— Niektórzy rodzą się z tym darem — powiedziała. — Nawet, jeśli o tym nie wiedzą, będzie tam. Będzie świecić, jak włos maga w norze w ziemi.

— Tak — odrzekła Tenar. — Widziałam to. — Czysto rozszczepiła trzcinę i położyła łuby na macie. — W takim razie skąd wiesz, kiedy ktoś nie jest czarodziejem?

— Nie ma tam tego — odpowiedziała Moss. — Nie ma tam tego, kochanie. Mocy. Zobacz. Skoro mam oczy w głowie, widzę, że ty masz oczy, nieprawdaż? I jeżeli będziesz ślepa, zauważę to. I jeśli będziesz miała tylko jedno oko, jak ta mała, albo jeśli będziesz miała trzy — zobaczę je, prawda? Lecz jeżeli nie będę miała oka, by nim widzieć, nie będę widziała, dopóki mi nie powiesz. Ale ja je mam. Widzę, wiem. Trzecie oko! — Dotknęła swego czoła i wydała z siebie głośny, suchy chichot, jak kura unosząca się radością nad swoim jajkiem. Była zadowolona, że znalazła właściwe słowa, by powiedzieć to, co chciała powiedzieć. Tenar zaczęła zdawać sobie sprawę, że sporo z niezrozumiałości i żargonu czarownicy brało się ze zwyczajnej nietrafności słów i myśli. Nikt nigdy nie nauczył jej myśleć w sposób uporządkowany. Nikt nawet nie słuchał tego, co mówiła. Wszystkim, czego oczekiwano, wszystkim, czego od niej chciano, był zamęt, tajemnica, mamrotania. Była czarownicą. Nie miała nic wspólnego ze zrozumiałym wyrażaniem myśli.

— Rozumiem — rzekła Tenar. — Wobec tego — być może jest to pytanie, na które nie chcesz odpowiadać — zatem, kiedy patrzysz na jakąś osobę swoim trzecim okiem, swoją mocą, widzisz jej moc albo jej nie widzisz?

— To bardziej wiedza — odparła Moss. — Widzenie jest tylko sposobem wypowiedzenia tego. To nie jest podobne do tego, jak widzę ciebie, jak widzę to sitowie, jak widzę tamtą górę. To wiedza. Wiem, co jest w tobie, a czego nie ma w tej biednej, pustogłowej Heather. Wiem, co jest w tym kochanym dziecku i czego nie ma w tamtym mężczyźnie. Wiem… — Nie potrafiła sobie dalej z tym poradzić. Mamrotała i spluwała. — Każda czarownica godna spinki do włosów poznaje inną czarownicę! — powiedziała w końcu wprost,

niecierpliwie.

— Rozpoznajecie się nawzajem. Moss skinęła głową.

— Tak, to właśnie to. To właściwe słowo. Rozpoznajemy.

— I czarnoksiężnik rozpoznałby twoją moc, poznałby ciebie jako czarodziejkę…

Lecz Moss wyszczerzyła do niej zęby, ukazując czarną jamę uśmiechu w pajęczej sieci zmarszczek.

— Kochanie — rzekła. — Masz na myśli mężczyznę, mężczyznę-czarnoksiężnika? Co ma z nami wspólnego mężczyzna posiadający moc?

— Ale Ogion…

— Pan Ogion był łaskawy — wtrąciła Moss bez ironii. Przez chwilę w milczeniu rozszczepiały sitowie.

— Nie skalecz na nich kciuka, kochanie — odezwała się Moss.

— Ogion mnie uczył. Jak gdybym nie była dziewczyną. Jak gdybym była jego terminatorką, jak Krogulec. Nauczył mnie Języka Tworzenia, Moss. Mówił mi to, o co go pytałam.

— Nie było drugiego takiego jak on.

— To ja nie chciałam być uczona. Porzuciłam go. Na co potrzebne mi były jego księgi? Jakim dobrem były dla mnie? Chciałam żyć, potrzebowałam mężczyzny, pragnęłam mieć dzieci. Chciałam swojego życia.

Zgrabnie, szybko rozszczepiała trzciny paznokciem.

— I dostałam je.

— Weź prawą ręką, wyrzuć lewą — odpowiedziała wiedźma. — No cóż, kochana pani, kto ma powiedzieć? Kto ma rzec? Pragnienie mężczyzny wpędziło mnie w straszliwe kłopoty, więcej niż raz. Ale pragnienie zamążpójścia — nigdy! Nie, nie. Nic z tego.

— Dlaczego nie? — zapytała Tenar. Moss, zaskoczona, odrzekła po prostu:

— Jak to? Który mężczyzna poślubiłby wiedźmę? — Po czym dodała: — A jaka czarownica poślubiłaby mężczyznę? Rozdzielały sitowie.

— Co jest nie w porządku z mężczyznami? — zapytała ostrożnie Tenar.

Równie ostrożnie, obniżając głos, Moss odpowiedziała:

— Nie wiem, moja droga. Myślałam o tym. Często nad tym rozmyślałam. Najlepszym, co mogę powiedzieć, jest to: mężczyzna jest w swojej skórze, zobacz, jak orzech w skorupie. — Podniosła swoje długie, zakrzywione, wilgotne palce, jakby trzymała w nich orzech. — Jest twarda i silna, ta skorupa, i cała jest nim wypełniona. Pełna wspaniałego męskiego mięsa, męskiej jaźni. I to wszystko. To wszystko, co tam jest. Wewnątrz jest tylko on i nic więcej.

Tenar zastanawiała się przez chwilę, aż wreszcie zapytała:

— Lecz jeśli on jest czarnoksiężnikiem…

— Wówczas wewnątrz jest tylko jego moc. Jego moc jest nim samym. Tak to właśnie z nim jest. I to wszystko. Kiedy jego moc znika, on również odchodzi. Pusty. — Rozłupała niewidzialny orzech i odrzuciła łupiny. — Nic.

— A kobieta?

— Och, cóż kochanie, kobieta jest czymś całkowicie odmiennym. Kto wie, gdzie zaczyna, a gdzie kończy się kobieta? Posłuchaj, pani, ja mam korzenie, mam korzenie głębsze niż ta wyspa. Głębsze niż morze, starsze niż wydźwi gniecie lądów. Sięgam wstecz w ciemność. — Oczy Moss lśniły niesamowitym blaskiem w swoich czerwonych obwódkach, a jej głos zawodził jak instrument — Sięgam wstecz w ciemność! Przed księżycem byłam ja. Nikt nie wie, nikt nie wie, nikt nie może powiedzieć, czym jestem, czym jest kobieta, kobieta posiadająca moc, kobieca moc, sięgająca głębiej niż korzenie drzew, głębiej niż korzenie wysp, starsza niż Tworzenie, starsza niż księżyc. Kto śmie zadawać pytania ciemności? Kto zapyta ciemność o jej imię?

Stara kobieta kołysała się, śpiewając monotonnie, zagubiona w swoich wcieleniach, lecz Tenar siedziała prosto i rozszczepiała trzcinę paznokciem kciuka.

— Ja to zrobię — odrzekła. Rozszczepiła jeszcze jedną trzcinę.

— Wystarczająco długo żyłam w ciemności — dodała.

Od czasu do czasu zaglądała do środka, by zobaczyć, czy Krogulec wciąż śpi. Zrobiła to teraz. Kiedy ponownie usiadła z Moss, nie chcąc wracać do tego, o czym mówiły, ponieważ starsza kobieta wyglądała ponuro i markotnie, powiedziała:

— Dziś rano, kiedy się obudziłam, poczułam, jak gdyby powiał nowy wiatr. Zmiana. Być może to tylko pogoda. Czułaś to? Moss nie przytaknęła ani nie zaprzeczyła.

— Wiele wiatrów wieje tu, na Oerfell, niektóre dobre, niektóre złe. Niektóre przynoszą chmury, niektóre piękną pogodę, a niektóre przynoszą wieści dla tych, którzy potrafią je usłyszeć. Lecz ci, którzy nie chcą słuchać — nie słyszą. Kim jestem, żeby wiedzieć? Stara kobieta bez magicznej nauki, beż książkowej wiedzy. Cała moja wiedza jest w ziemi, w mrocznej ziemi. Pod stopami dumnych. Pod stopami wyniosłych panów i magów. Po co mieliby spoglądać w dół, uczeni? Co może wiedzieć stara czarownica?

„Byłaby ona groźnym wrogiem — pomyślała Tenar — i była trudnym przyjacielem.”

— Cioteczko — rzekła, podnosząc trzcinę. — Wyrosłam pomiędzy kobietami. Samymi kobietami. W kargijskich krajach, na dalekim wschodzie, w Atuanie. Zabrano mnie od rodziców, kiedy byłam małym dzieckiem, aby wychować mnie na kapłankę w miejscu na pustyni. Nie znam jego nazwy, w naszym języku nazywałyśmy je po

prostu Miejscem. Jedynym miejscem, jakie znałam. Pilnowało go kilku żołnierzy, lecz nie mogli oni wchodzić między mury. My zaś nie mogłyśmy wychodzić na zewnątrz murów. Tylko w grupie, wszystkie kobiety i dziewczęta, ze strzegącymi nas eunuchami, którzy utrzymywali mężczyzn poza zasięgiem naszego wzroku.

— Czym są ci, o których mówiłaś?

— Eunuchowie? — Tenar bez zastanowienia użyła kargijskiego słowa. — Wykastrowani mężczyźni.

Czarownica wytrzeszczyła oczy, zawołała: „Tsekh!" i uczyniła znak chroniący od złego uroku. Ssała wargi. Została wytrącona ze swojego oburzenia.

— Jeden z nich zastępował mi tam matkę… Lecz widzisz, Cioteczko, nigdy nie widziałam mężczyzny, dopóki nie stałam się dojrzałą kobietą. Tylko dziewczęta i kobiety. A mimo to nie wiedziałam, czym są kobiety, ponieważ były one wszystkim, co naprawdę znałam. Jak mężczyźni, którzy żyją pomiędzy mężczyznami: żeglarze, żołnierze i magowie z Roke — czy wiedzą oni, czym są mężczyźni? Skąd mogą wiedzieć, skoro nigdy nie rozmawiają z kobietą?

— Czy oni biorą ich i trzebią jak barany i kozy? — zapytała Moss. — Nożem do kastrowania?

Przerażenie, wstręt i blask zemsty wzięły górę nad gniewem i rozsądkiem. Moss nie chciała poruszać żadnej kwestii poza tematem eunuchów. Tenar nie potrafiła jej wiele powiedzieć. Uświadomiła sobie, że nigdy nie zastanawiała się nad tą sprawą. Kiedy była dziewczyną, w Atuanie, byli tam wykastrowani mężczyźni, jeden z nich kochał ją czule, a ona jego, i zabiła go, aby od niego uciec. Później przybyła na Archipelag, gdzie nie było eunuchów i zapomniała o nich, pogrążyła ich w mroku razem z ciałem Manana.

— Przypuszczam — powiedziała, starając się zaspokoić żądzę wiedzy Cioteczki — że biorą młodych chłopców i… — Przerwała jednak. Jej ręce też się zatrzymały.

— Jak Therru — przemówiła po długiej pauzie. — Do czego jest dziecko? Do czego tam służy? Żeby zostać wykorzystanym. Zostać zgwałconym, zostać wykastrowanym… Posłuchaj, Moss. Kiedy żyłam w mrocznych miejscach, właśnie to tam robili. A kiedy przybyłam tutaj, myślałam, że wyjdę na światło dzienne. Nauczyłam się prawdziwych słów. Miałam swojego mężczyznę i urodziłam dzieci, żyłam dobrze. W świetle dnia. I w biały dzień oni uczynili to — temu dziecku. Na łąkach nad rzeką. Rzeką wypływającą ze źródła, w którym Ogion nadał imię mojej córce. W blasku słońca. Próbuję dowiedzieć się, gdzie mogę żyć, Moss. Czy wiesz, co mam na myśli? Co próbuję powiedzieć?

— Dobrze, dobrze — rzekła starsza kobieta, a po chwili: —

Kochanie, jest dość nieszczęścia, nie trzeba go szukać. — A widząc, że ręce Tenar drżały, kiedy próbowała rozszczepić nieustępliwą trzcinę, powtórzyła: — Nie skalecz na nich kciuka, kochanie.

Aż do następnego dnia Ged w ogóle się nie obudził. Cioteczce Moss, która była bardzo wprawną, choć przerażająco brudną pielęgniarką, udało się wlać w niego łyżkę bulionu.

— Umiera z głodu — oznajmiła. — I jest wyschnięty z pragnienia. Gdziekolwiek był, niewiele tam jedli i pili. — A po powtórnym oszacowaniu mężczyzny dodała: — Wygląda na to, że odszedł już zbyt daleko. Widzisz, oni słabną i nie mogą nawet pić, chociaż jest to wszystko, czego potrzebują. Znałam wielkiego, silnego mężczyznę, który umarł w ten sposób. Wysechł na wiór w ciągu kilku dni. Ale dzięki nieugiętej cierpliwości wlała w niego kilka łyżek swojego bulionu z mięsa i ziół.

— Teraz zobaczymy — powiedziała. — Przypuszczam, że jest za późno. On się nam wymyka. — Mówiła bez żalu, być może z przyjemnością. Mężczyzna ten był dla niej niczym; śmierć była przypadkiem. Może mogłaby pogrzebać tego maga. Nie pozwolono jej pochować starszego.

Następnego dnia Tenar nacierała maścią jego ręce, kiedy się przebudził. Musiał lecieć długo na grzbiecie Kalessina, gdyż kurczowy uścisk na żelaznych łuskach zdarł skórę z jego dłoni, a wewnętrzna strona palców była wielokrotnie pocięta. Śpiąc trzymał dłonie zaciśnięte, jak gdyby nie chciały puścić nieobecnego smoka. Musiała delikatnie rozewrzeć mu siłą palce, by umyć i posmarować maścią otarte miejsca. Kiedy to robiła, krzyknął i wzdrygnął się, wyciągając ręce, jakby czuł, że spada. Otworzył oczy. Kobieta przemówiła łagodnie. Spojrzał na nią.

— Tenar — powiedział bez uśmiechu, rozpoznając ją, bez wzruszenia. I sprawiło jej czystą przyjemność, że był wciąż jeszcze jeden żyjący człowiek, który znał jej imię, i że był to ten człowiek. Pochyliła się i ucałowała go w policzek.

— Nie ruszaj się — rzekła. — Pozwól mi to skończyć.

Usłuchał i wkrótce podryfował z powrotem w sen, tym razem z rozwartymi dłońmi, odprężony.

Później, zasypiając nocą obok Therru, pomyślała: „Ależ ja nigdy przedtem go nie pocałowałam”. I ta myśl nią wstrząsnęła. Z początku nie dawała temu wiary. Z całą pewnością, przez wszystkie te lata… Nie w Grobowcach, ale potem, kiedy wędrowali razem po górach… Na „Daleko-patrzącej”, gdy żeglowali razem do Havnoru… Kiedy przywiózł ją tu, na Gont…?

Nie. Ogion również nigdy jej nie pocałował ani ona jego. Nazwał ją córką i kochał, lecz nie dotykał jej, a ona, wychowana jako samotna, nietknięta kapłanka, świętość, nie potrzebowała dotyku albo

nie wiedziała, że go potrzebuje. Opierała na chwilę czoło lub policzek o jego otwartą dłoń, a on mógł pogłaskać ją po włosach, raz, bardzo lekko.

A Ged nigdy nie zrobił nawet tego.

„Czy nigdy o tym nie myślałam?" — zapytała siebie z niedowierzaniem i lekiem. Nie wiedziała. Kiedy próbowała o tym myśleć, wstręt i poczucie grzechu naszły ją bardzo silnie, po czym zniknęły. Jej wargi poznały lekko chropowatą, suchą, chłodną skórę jego policzka, obok ust, po prawej stronie i tylko ta wiedza miała znaczenie. Zasnęła. Śniło jej się, że wzywał ją jakiś głos: 'Tenar! Tenar!" i że odpowiadała, krzycząc jak morski ptak, lecąc w blasku ponad morzem. Nie wiedziała jednak, jakie imię wołała.

Krogulec rozczarował Cioteczkę Moss. Pozostał przy życiu. Po jednym lub dwóch dniach uznała go za uratowanego. Przyszła i nakarmiła go bulionem z koziego mięsa, korzeni i ziół, opierając go o siebie, otaczając go silnym zapachem swego ciała, wlewając w niego łyżką życie i gderając. Mimo, że ją rozpoznał i nazwał ją jej powszednim imieniem, i nie mogła zaprzeczyć, że wydawał się być człowiekiem zwanym Krogulcem, chciała się tego wyprzeć. Nie lubiła go. Powiedziała, że cały jest zły. Tenar szanowała przenikliwość czarownicy na, tyle, aby ją to zmartwiło, lecz nie mogła znaleźć w sobie takiego podejrzenia, a jedynie przyjemność płynącą z obecności mężczyzny i jego powolnego powrotu do życia.

— Kiedy znowu będzie sobą, zobaczysz — powiedziała do Moss.

— Sobą! — żachnęła się Moss i wykonała palcami gest miażdżenia i wyrzucania łupiny orzecha.

Dość wcześnie zapytał o Ogiona. Tenar obawiała się tego pytania. Wmawiała sobie i prawie siebie przekonała, że mężczyzna nie zapyta, że będzie wiedział tak, jak wiedzą magowie, jak nawet czarodzieje z Portu Gont i Re Albi wiedzieli, kiedy umarł Ogion. Lecz czwartego ranka leżał przebudzony, kiedy do niego przyszła, i, spojrzawszy na nią, powiedział:

— To jest dom Ogiona.

— Dom Aihala — poprawiła go tak swobodnie, jak tylko mogła; wciąż nie było jej łatwo wymawiać prawdziwego imienia maga. Nie wiedziała, czy Ged znał to imię. Z pewnością tak. Ogion powiedziałby mu lub nie potrzebował mu mówić. Przez chwilę nie reagował, a kiedy przemówił, jego głos nie miał wyrazu.

— Zatem umarł.

— Dziesięć dni temu.

Leżał patrząc przed siebie, jak gdyby zastanawiając się, rozważając coś.

— Kiedy tutaj przybyłem?

Musiała nachylić się nisko, aby go zrozumieć.

— Cztery dni temu, wieczorem.

— Nie było w górach nikogo innego — powiedział. Wówczas jego ciało wykrzywiło się i zadrżało, jakby w bólu lub nieznośnym wspomnieniu bólu. Zamknął oczy i odetchnął głęboko.

W miarę, jak nabierał sił, ten wstrzymany oddech i zaciśnięte dłonie stały się bliskie Tenar. Ale widziała, że w mężczyźnie wciąż nie ma spokoju i że wciąż jest chory. Letnim popołudniem mężczyzna usiadł w blasku słońca na progu domu. Dojście tu z łóżka było największym wysiłkiem, jaki podjął. Siedział na progu, a Tenar patrzyła na niego obchodząc dom od strony grządki fasoli. Wciąż wyglądał jak posypany popiołem, jak cień. Nie sprawiały tego wrażenia jedynie siwe włosy, lecz pewna właściwość skóry i kości. W jego oczach nie było światła. A jednak ten cień, ten popielaty człowiek, był tym samym dumnym, przystojnym mężczyzną, którego silną twarz o jastrzębim nosie i delikatnych ustach ujrzała po raz pierwszy w blasku jego własnej mocy. Zbliżyła się do niego.

— Potrzebujesz słońca — zwróciła się do niego, a on skinął głową. Siedział w powodzi letniego ciepła, lecz jego dłonie były zaciśnięte. Milczał tak uporczywie, że pomyślała, że może przeszkadza mu jej obecność. Być może nie potrafił czuć się przy niej tak swobodnie jak niegdyś. Ostatecznie był teraz Arcymagiem — wciąż o tym zapominała. I minęło dwadzieścia pięć lat, odkąd chodzili po górach Atuanu i żeglowali razem w „Dalekopatrzącej" przez wschodnie morze.

— Gdzie jest „Dalekopatrząca"? — zapytała raptownie, zaskoczona myślą o niej, a potem pomyślała: „Jakaż idiotka ze mnie! Tyle lat minęło i on jest Arcymagiem, nie miałby teraz takiej małej łódki".

— Na Selidorze — odrzekł, jego twarz znieruchomiała w wyrazie jednostajnego i niepojętego cierpienia.

Tak dawno jak wieczność, tak daleko jak Selidor…

— Najdalsza wyspa — powiedziała.

— Najdalszy zachód — dodał Ged.

Siedzieli przy stole, skończywszy wieczorny posiłek. Therru wyszła na dwór, żeby się pobawić.

— Zatem to z Selidoru przybyłeś na grzbiecie Kalessina?

Kiedy wypowiadała imię smoka, znowu wymówiło się ono samo, dostosowując jej usta do swego kształtu i brzmienia, zmieniając jej oddech w delikatny płomień. Na dźwięk tego imienia mężczyzna podniósł wzrok, obdarzając ją jednym intensywnym spojrzeniem, które sprawiło, iż zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo zawsze unikał patrzenia prosto w jej oczy. Skinął głową, po czym z pracowitą rzetelnością skorygował swoją zgodę:

— Z Selidoru na Roke. A później z Roke na Gont.

Tysiąc mil? Dziesięć tysięcy mil? Nie miała pojęcia. Widziała wielkie mapy w skarbcach Havnoru, lecz nikt nie nauczył jej liczb, odległości. Tak daleko jest Selidor… A czy lot smoka mógł być liczony w milach?

— Ged — zaczęła, używając jego prawdziwego imienia, ponieważ byli sami. — Wiem, że przeszedłeś wielki ból i niebezpieczeństwo. I jeśli nie chcesz, może nie możesz, może nie powinieneś mi mówić — lecz gdybym wiedziała, gdybym coś o tym wiedziała, być może byłabym dla ciebie większą pomocą. Chciałabym być. A oni wkrótce przybędą po ciebie z Roke, wyślą statek po Arcymaga, czy ja wiem, przyślą po ciebie smoka! I znowu odejdziesz. I nigdy nie porozmawiamy. — Kiedy to mówiła, zaciskała własne pięści, słysząc fałsz w swoich słowach i w tonie swego głosu. Dowcipkować na temat smoka! Marudzić jak pełna pretensji żona! Spuścił wzrok na stół, ponury, cierpliwy, jak rolnik stojący w obliczu domowych wrzasków po ciężkim dniu spędzonym w polu.

— Myślę, że nikt nie przypłynie z Roke — powiedział i kosztowało go to tak wiele wysiłku, że minęła chwila, zanim dodał: — Daj mi czas.

Pomyślała, że było to wszystko, co zamierzał powiedzieć, i odrzekła:

— Tak, oczywiście. Przepraszam.

Podniosła się właśnie, aby sprzątnąć ze stołu, gdy mężczyzna odezwał się niewyraźnie, wciąż nie podnosząc wzroku:

— Mam go, teraz.

Później on również wstał i dokończył sprzątania ze stołu. Zmył naczynia, podczas gdy Tenar chowała żywność. I to ją zainteresowało. Porównywała go do Flinta, ale Flint nigdy w życiu nie zmył ani jednej miski. Babskie zajęcie. Jednak Ged i Ogion, kawalerowie, mieszkali tutaj bez kobiet. Nigdy tam, gdzie mieszkał Ged, nie było kobiet. Wykonywał, więc „kobiecą pracę" nie zastanawiając się nad tym.

Szkoda byłoby — pomyślała — gdyby się nad tym zastanowił, gdyby zaczął obawiać się, że jego godność zawisła na ścierce do wycierania naczyń."

Nikt nie przybył po niego z Roke. Kiedy o tym mówili, nie przyszedł jeszcze czas na żaden statek, oprócz okrętu płynącego przez całą drogę z magicznym wiatrem w żaglach. Dni mijały i wciąż nie było dla niego żadnej wiadomości ani znaku. Wydawało jej się dziwnym, że opuścili swojego Arcymaga na tak długo. Musiał im zabronić przysłać po siebie, lub może ukrył się tutaj za pomocą swoich czarów tak, żeby nie mogli go odnaleźć i żeby nikt nie mógł go rozpoznać. Bowiem wieśniacy wciąż zwracali na niego dziwnie mało uwagi. To, że nikt nie nadszedł z dworu Władcy Re Albi, nie było takie dziwne. Władcy tego domu nigdy nie żyli w dobrych stosunkach z

Ogionem. Kobiety tego domu były, jak mówiły wiejskie plotki, adeptkami ciemnych kunsztów. Jedna z nich poślubiła północnego władcę, który pogrzebał ją żywcem pod głazem; inna wtrącała się do nienarodzonego dziecka w swoim łonie, próbując uczynić je istotą posiadającą moc i rzeczywiście wypowiadało ono słowa, kiedy się urodziło, lecz pozbawione było kości. „Jak mały worek ze skóry — szeptała akuszerka w miasteczku. — Mały woreczek z oczami i głosem, i wcale nie ssało, tylko mówiło jakimś dziwnym językiem, i umarło…" Bez względu na to, ile prawdy było w tych opowieściach, władcy Re Albi odnosili się zawsze z rezerwą do wszystkich. Wydawało się, że Tenar, powinna być zaproszona na ich dwór, kiedy przybyła tu po raz pierwszy. Była przecież towarzyszką maga Krogulca, wychowanką maga Ogiona, przyniosła do Havnoru pierścień Erreth-Akbego. A jednak nie zaproszono jej nigdy. Zamieszkała natomiast, ku swojej radości, sama w maleńkiej chacie, należącej do wiejskiego tkacza, Fana, i widywała mieszkańców wielkiego domu rzadko i tylko z daleka. Nie było teraz wcale pani domu, powiedziała jej Moss, tylko stary pan, bardzo stary, jego wnuk i młody czarodziej imieniem Aspen, którego wynajęli ze Szkoły na Roke.

Odkąd Ogion został pochowany, z talizmanem Cioteczki Moss w ręku, pod bukiem przy górskiej ścieżce, Tenar nie widziała Aspena. Choć wydawało się to dziwne, nie wiedział on, że Arcymag Ziemiomorza znajduje się w jego własnym miasteczku albo — jeśli o tym wiedział — z jakiegoś powodu trzymał się z daleka. Czarodziej Portu Gont, który także przybył, by pochować Ogiona, również nigdy nie wrócił. Nawet, jeśli nie wiedział, że jest tutaj Ged, z pewnością wiedział, kim była ona — Biała Pani, która nosiła na nadgarstku Pierścień Erreth-Akbego, która uczyniła całością Run Pokoju… „A ileż lat temu to było, staruszko!" — powiedziała do siebie. Niemniej jednak to właśnie ona podała im prawdziwe unię Ogiona. Chyba należało jej się trochę uprzejmości. Jednak czarodzieje na ogół nie interesowali się czymś takim jak kurtuazja. Byli ludźmi mocy i tylko mocą się zajmowali. A jaką moc ona teraz posiadała? Jaką posiadała kiedykolwiek? Jako dziewczyna, kapłanka, była naczyniem: moc ciemnych miejsc przepływała przez nią, korzystała z niej, pozostawiła ją pustą, nietkniętą. Kiedy była młodą kobietą, potężny człowiek uczył ją potężnej wiedzy, a ona wyrzekła się jej, odwróciła się od niej. Jako kobieta wybrała i posiadła moce kobiety, ale ten czas należał do przeszłości — jej małżeństwo i macierzyństwo dokonało się. Nie było w niej nic, żadnej mocy, którą ktokolwiek mógłby rozpoznać. Lecz smok przemówił do niej. „Jestem Kalessin" — powiedział, a ona odrzekła: „Jestem Tenar".

— Kto to jest pan smoków? — zapytała kiedyś Geda w mrocznym miejscu, w Labiryncie, próbując zaprzeczyć jego mocy, starając się go

zmusić do tego, aby uznał jej moc. A on odpowiedział z prostą szczerością, która rozbroiła ją na zawsze:

— Ktoś, z kim smoki będą rozmawiać.

Była, więc kobietą, z którą rozmawiały smoki. Czy to była ta nowa rzecz, ta ukryta wiedza, ziarnko światła, które poczuła w sobie budząc się pod małym okienkiem wychodzącym na zachód? W kilka dni po tamtej krótkiej rozmowie przy stole, pieliła grządkę w ogrodzie Ogiona, uwalniając od letnich chwastów cebulę, którą mag rozsadził na wiosnę. Ged wszedł przez bramę w wysokim płocie, który zagradzał dostęp kozom, i energicznie zabrał się do pielenia na drugim końcu szeregu sadzonek. Pracował chwilę, a potem wyprostował się patrząc na swoje dłonie.

— Daj im trochę czasu na zagojenie się — powiedziała łagodnie Tenar.

Skinął głową. Podparte wysokimi palikami sadzonki fasoli okryły się kwieciem. Ich zapach był bardzo przyjemny. Mężczyzna usiadł opierając szczupłe ramiona na kolanach, utkwiwszy wzrok w zalanej słońcem plątaninie pnączy, kwiatów i zwisających strąków fasoli. Kobieta mówiła przy pracy:

— Kiedy Aihal umierał, powiedział: „Wszystko się zmieniło…" I od czasu jego śmierci opłakuję go, smucę się, ale coś rozprasza mój żal. Coś wkrótce się narodzi — zostało uwolnione. We śnie i po przebudzeniu wiem, że coś się zmieniło.

— Tak — odrzekł. — Skończyło się zło…

Po długim milczeniu znów zaczął mówić. Nie patrzył na nią, lecz po raz pierwszy jego głos brzmiał jak ten, który pamiętała — spokojny, łagodny, z suchym, gontyjskim akcentem.

— Czy pamiętasz, Tenar, kiedy pierwszy raz przybyliśmy do Havnoru?

„Jak mogłabym zapomnieć?" — zawołało jej serce, lecz milczała z obawy, że znowu mógłby zamilknąć.

— Wprowadziliśmy „Dalekopatrzącą" do portu i weszliśmy na nabrzeże… po marmurowych stopniach. I ci ludzie, wszyscy ci ludzie… A ty podniosłaś rękę, żeby pokazać ten Pierścień…

— I trzymałam twoją dłoń; panicznie się bałam: te twarze, głosy, kolory, wieże, chorągwie i transparenty, złoto, srebro i muzyka, a wszystkim, co znałam, byłeś ty… obok mnie, kiedy tak szliśmy…

— Rządcy Królewskiego Domu powiedli nas do stóp Wieży Erreth-Akbego ulicami pełnymi ludzi. Wspięliśmy się na wysokie stopnie, tylko my dwoje. Pamiętasz?

Skinęła głową. Położyła dłonie na ziemi, czując jej ziarnisty chłód.

— Otworzyłem drzwi. Były ciężkie, trochę się zacinały. I weszliśmy do środka. Pamiętasz?

Było tak, jak gdyby prosił, aby rozproszyła jego wątpliwości —

„Czy to się naprawdę zdarzyło? Czy dobrze pamiętam?”

— To była wielka, wysoka sala — powiedziała. — Sprawiła, że pomyślałam o mojej Sali, gdzie zostałam Pożartą, ale tylko, dlatego, że była tak wysoka. Światło padało w dół z okien wieży, a jego strumienie krzyżowały się jak miecze.

— I tron — wtrącił.

— Tron, tak, cały złoty i karmazynowy. Lecz pusty. Jak tron w Sali w Atuanie.

— Nie teraz — odrzekł. Spojrzał na nią przez zielone pędy cebuli. Jego twarz była napięta, pełna zadumy, jak gdyby próbował nazwać radość, której nie mógł objąć myślą. — Jest król w Havnorze — oznajmił. — W centrum świata. Co zostało przepowiedziane, spełniło się. Run został uzdrowiony i świat stał się całością. Nadeszły dni pokoju. On…

Przerwał i spuścił wzrok zaciskając dłonie.

— Przeniósł mnie ze śmierci do życia. Arren z Enlandu. Lebannen z pieśni, które będą śpiewane. Przybrał swoje prawdziwe imię: Lebannen, Król Ziemiomorza.

— Czy to jest, zatem to — zapytała, klękając i przyglądając mu się.

— To uczucie radości, wchodzenia w światło? Nie odpowiedział. „Król w Havnorze” — pomyślała i powtórzyła głośno:

— Król w Havnorze!

Był w niej obraz tego pięknego miasta, szerokich ulic, wież z marmuru, krytych dachówkami i spiżowych dachów, statków o białych żaglach w porcie, cudownej komnaty tronowej, gdzie promienie słońca padały jak miecze, bogactwa, godności i harmonii, porządku, jaki tam utrzymywano. Z tego jasnego centrum widziała ład rozchodzący się na zewnątrz — jak doskonałe kręgi na wodzie, jak prosta, wybrukowana ulica albo statek żeglujący z wiatrem: podążanie właściwą drogą, przynoszenie pokoju.

— Dobrze zrobiłeś, drogi przyjacielu — powiedziała.

Wykonał nieznaczny gest, jak gdyby chciał powstrzymać jej słowa, a później odwrócił się przyciskając dłoń do ust. Nie mogła znieść widoku jego łez. Schyliła się wracając do pracy. Szarpnęła jeden chwast i drugi, uparty korzonek pękł. Grzebała rękoma próbując znaleźć jego koniec w szorstkiej glebie, w mroku ziemi.

— Goha — powiedziała Therru swoim słabym, pękniętym głosem, stając w bramie, i Tenar obejrzała się za siebie. Półtwarz dziecka spoglądała wprost na nią widzącym i oślepionym okiem. Tenar pomyślała: „Czy powinnam jej powiedzieć, że w Havnorze jest król?”

Wstała i podeszła do bramy, aby lepiej słyszeć Therru. Beech powiedział, że kiedy dziecko leżało nieprzytomne w ognisku, wdychało ogień. „Jej głos jest wypalony” — wyjaśnił.

— Pilnowałam Sippy — szepnęła Therru — ale wydostała się z żarnowcowego pastwiska. Nie mogę jej znaleźć.

Jej mowa była jak zawsze długa. Drżała od biegu i powstrzymywanego płaczu. „Nie możemy płakać wszyscy naraz — powiedziała do siebie Tenar. — To głupie, nie możemy sobie na to pozwolić".

— Krogulcze! — zawołała odwracając się. — Koza uciekła. Natychmiast powstał z miejsca i podszedł do bramy.

— Sprawdź w chłodni nad strumykiem — rzekł.

Patrzył na Therru, jakby nie dostrzegał jej odrażających blizn, jak gdyby ledwie widział ją samą — dziecko, które zgubiło kozę, które musiało znaleźć kozę. To właśnie kozę widział.

— Albo uciekła, aby przyłączyć się do wielkiego stada — dodał. Therru już biegła nad strumyk.

— Czy ona jest twoją córką? — zapytał Tenar. Nigdy przedtem nie powiedział ani słowa na temat dziecka i przez chwilę wszystkim, o czym mogła myśleć Tenar, było „jacyż dziwni są mężczyźni".

— Nie, ani moją wnuczką. Ale moim dzieckiem — odparła. Co kazało jej znowu kpić, szydzić z niego?

Wyszedł przez bramę w chwili, gdy Sippy, jak brązowo-biała błyskawica, pędziła w ich kierunku ścigana przez Thernu, widoczną gdzieś w dali.

— Hej! — krzyknął nagle Ged i jednym susem zatarasował kozie drogę, kierując ją prosto w otwartą bramę i ramiona Tenar. Kobiecie udało się chwycić luźną skórzaną obrożę Sippy. Koza natychmiast stanęła nieruchomo, potulna jak baranek, spoglądając jednym żółtym okiem na Tenar, a drugim na rządki cebuli.

— Precz! — rozkazała Tenar wyprowadzając ją z koziego raju na kamieniste pastwisko, gdzie było jej miejsce.

Ged usiadł na ziemi, równie zadyszany jak Therru lub nawet bardziej, gdyż z trudem chwytał powietrze i najwyraźniej kręciło mu się w głowie. Ale przynajmniej nie płakał. Zaufaj kozie — ona wszystko zniszczy.

— Heather nie powinna była ci kazać pilnować Sippy — zwróciła się Tenar do Therru. — Nikt nie może upilnować Sippy. Jeśli znowu się wydostanie, powiedz o tym Heather i nie martw się. Dobrze?

Therru skinęła głową. Patrzyła na Geda. Rzadko spoglądała na ludzi — a jeszcze rzadziej na mężczyzn — dłużej niż przez chwilę. Ale jemu przyglądała się pewnie, zadzierając głowę jak wróbelek. Czy rodził się bohater?

6. POGORSZENIE

Minął już ponad miesiąc od letniego przesilenia, lecz na szczycie zwróconego ku zachodowi Overfell wieczory wciąż były długie. Therru wracała późno z całodziennych wypraw po zioła z Cioteczką Moss i zawsze była zbyt zmęczona, by jeść. Tenar kładła ją do łóżka, a sama siadała obok i śpiewała jej. Dziewczynka, nie mogąc spać, kuliła się na posłaniu jak sparaliżowane zwierzątko i szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w swoje halucynacje, aż zapadła w stan, który nie był ani snem, ani jawą, ale był pełen koszmarów, które nawiedzały Therru — nieobecną i nieosiągalną. Tenar odkryła, że może temu zapobiec trzymając ją i śpiewając jej do snu. Kiedy kończyły jej się piosenki, które poznała będąc żoną rolnika w Dolinie Środkowej, śpiewała nie kończące się kargijskie pieśni, których nauczyła się jako dziecko-kapłanka wśród Grobowców Atuanu. Usypiała, więc dziecko monotonnym głosem i melodyjnym zawodzeniem ofiar dla Bezimiennych Mocy i Pustego Tronu, który teraz był wypełniony pyłem i gruzem trzęsienia ziemi. Nie wyczuwała w tych pieśniach żadnej mocy poza tą, którą posiada pieśń sama w sobie. Lubiła śpiewać w swoim własnym języku, mimo że nie znała piosenek, które każda matka śpiewała dziecku w Atuanie, piosenek, które śpiewała dla niej jej matka. I tym razem Therru zapadła nareszcie w głęboki sen. Tenar zsunęła dziewczynkę ze swoich kolan na łóżko i zaczekała chwilę, aby upewnić się, że śpi. Wówczas, rozejrzawszy się dookoła, z niemal winowajczyni pośpiechem, a mimo to z namaszczeniem i uczuciem olbrzymiej przyjemności, przyłożyła swoją wąską, jasną dłoń do tej strony twarzy dziecka, gdzie oko i policzek zostały wypalone przez ogień. Pod tym dotykiem bezwłosa blizna znikała. Ciało było nieuszkodzone — dziecięca, okrągła, delikatna, uśpiona twarzyczka. Jakby jej dotyk odtwarzał prawdę. Lekko, niechętnie, podniosła dłoń i ujrzała ubytek nie do naprawienia, ranę, która nigdy się nie zagoi.

Pochyliła się i pocałowała bliznę, szybko wstała i wyszła z domu.

Słońce zachodziło w niezmierzonej, perlistej mgle. Nikogo nie było w pobliżu. Krogulec był prawdopodobnie w lesie. Zaczął odwiedzając grób Ogiona, spędzając całe godziny w tym cichym miejscu pod bukiem, a kiedy nabrał więcej siły, zasmakował w przechadzkach po leśnych ścieżkach, które uwielbiał Ogion. Pożywienie najwyraźniej nie miało dla niego smaku; Tenar musiała prosić, żeby jadł. Unikał towarzystwa, poszukując jedynie samotności. Therru była gotowa iść za nim wszędzie i właściwie nie przeszkadzała mu, gdyż — jak on — trwała w milczeniu. A jednak po jakimś czasie z niecierpliwością odsyłał dziecko do domu i szedł dalej sam. Tenar nie wiedziała, gdzie kończyły się jego wędrówki. Wracał późno, rzucał się na łóżko i

zasypiał, po czym rankiem odchodził znowu, często zanim zbudziła się ona i dziecko. Zostawiała mu chleb i mięso, które brał ze sobą. Ujrzała teraz, jak idzie przez łąkę ścieżką, która wydawała się tak długą i trudną, kiedy pomagała Ogionowi przemierzyć ją po raz ostatni. Szedł przez rozświetlone powietrze, przygięte wiatrem trawy, krocząc pewnie, zamknięty w swoim upartym cierpieniu, twardy jak kamień.

— Czy będziesz w pobliżu domu? — zapytała go z pewnego oddalenia. — Therru śpi. Chcę się trochę przejść.

— Tak. Idź — odrzekł.

Poszła, rozważając obojętność mężczyzny wobec konieczności, które rządzą kobietą: tego, że ktoś musi być niedaleko śpiącego dziecka, że czyjaś wolność oznacza brak wolności drugiego. Chyba, że zostanie osiągnięta pewna zmienna równowaga. Jak w przypadku ciała posuwającego się naprzód, jak ona teraz, na dwóch nogach — najpierw jedna, potem druga. Na tym polegała ta szczególna sztuka: chodzenie… Później uwagę Tenar przyciągnęły pogłębiające się barwy nieba i łagodny napór wiatru. Kontynuowała przechadzkę już bez metafor, aż doszła do urwiska piaskowca. Zatrzymała się tam i patrzyła, jak słońce pogrąża się w pogodnej, różowej mgiełce.

Uklękła i odnalazła oczyma, a potem końcami palców, długą, płytką, zamazaną bruzdę w skale — ślad ogona Kalessina. Raz za razem wodziła po niej palcami, wpatrując się w dalekie otchłanie zmierzchu i marząc. Wypowiedziała jedno słowo. Tym razem imię nie było ogniem w jej ustach, lecz zasyczało i miękko wysunęło się spomiędzy jej warg:

— Kalessin…

Skierowała wzrok na wschód. Wierzchołki Góry Gont czerwieniły się ponad lasami, łowiąc światło, którego nie było tu, na dole. Kolor przygasał, kiedy im się przyglądała. Odwróciła wzrok, a kiedy spojrzała ponownie, szczyt był szary, niewyraźny, lesiste zbocze okrył mrok.

Czekała na wieczorną gwiazdę. Kiedy zaświeciła ponad mgłą, kobieta wolno powędrowała do domu. Dom, nie-dom. Dlaczego była tu, w domu Ogiona, nie w swoim własnym domu na farmie? Dlaczego doglądała Ogionowych kóz i cebuli, a nie swych własnych sadów i stad? „Czekaj” — powiedział i czekała. Przybył smok i Ged miał się teraz dobrze, a w każdym razie — nie najgorzej. Zrobiła, co do niej należało. Prowadziła gospodarstwo. Nie była już potrzebna. Nadszedł czas, aby odejść.

A jednak nie mogła myśleć o opuszczeniu tej wysokiej półki skalnej, tego sokolego gniazda i o powrocie na niziny, do bezwietrznego wnętrza kraju spokojnych farm. Kiedy o tym myślała, serce w niej zamierało i pogrążała się w smutku. A co ze snem, który tutaj śniła, pod małym oknem wychodzącym na zachód? Co ze

smokiem, który przybył tu do niej? Drzwi domu jak zwykle stały otworem dla światła i powietrza. Krogulec siedział bez lampy na niskim siedzisku obok oczyszczonego paleniska. Często tam siadał. Pomyślała, że było to jego miejsce z czasów, kiedy był chłopcem i terminował u Ogiona. To było także jej miejsce, owej zimy, kiedy była uczennicą Ogiona.

Spojrzał w jej kierunku, kiedy wchodziła, ale jego wzrok nie zatrzymał się na wejściu, lecz na prawo od niego, w ciemnym kącie za drzwiami. Stała tam laska Ogiona, ciężki, dębowy kij wysokości samego mężczyzny, o rękojeści wygładzonej od noszenia. Obok niego Therru umieściła leszczynową witkę i olchowy kij, które Te-nar wycięła dla nich w drodze do Re Albi.

„Jego laska z cisowego drewna, jego laska czarnoksiężnika, którą dał mu Ogion… Gdzie ona jest? — pomyślała Tenar. — Dlaczego do tej pory nie zastanawiałam się nad tym."

W domu panował mrok i zaduch. Tenar poczuła przygnębienie — pragnęła, żeby Krogulec tu został, żeby z nią porozmawiał, ale teraz, kiedy tam siedział, nie miała mu nic do powiedzenia. Ani on jej.

— Przyszło mi do głowy — rzekła wreszcie, układając cztery miski na dębowym kredensie — że już czas, żebym wróciła na swoją farmę.

Nie odezwał się. Możliwe, że skinął głową, lecz Tenar — odwrócona plecami — nie mogła tego widzieć. Nagle poczuła się zmęczona, chciała się położyć. Ale on tu siedział i nie było jeszcze ciemno — nie mogła rozebrać się przed nim. Poczucie wstydu i skrępowania rozzłościło ją. Miała właśnie poprosić mężczyznę, żeby wyszedł na chwilę, kiedy z wahaniem przemówił.

— Księgi. Księgi Ogiona. Runy i Dwie Księgi Wiedzy. Czy zabierzesz je ze sobą?

— Ze sobą?

— Byłaś jego ostatnią uczennicą.

Podeszła do paleniska i usiadła naprzeciw niego na trójnogim krześle Ogiona.

— Nauczyłam się pisać runy hardyckie, ale na pewno zapomniałam większości z nich. Nauczył mnie kilku słów języka, którym mówią smoki. Trochę z tego pamiętam. Ale nic więcej. Nie zostałam adeptką, czarodziejką. Wyszłam za mąż, przecież wiesz. Czy Ogion pozostawiłby swoje księgi mądrości żonie rolnika?

Po chwili powiedział głosem bez wyrazu:

— Czy zatem nie zostawił ich komuś?

— Tobie. To nie ulega wątpliwości. Krogulec nic nie odrzekł.

— Byłeś jego ostatnim terminatorem, jego dumą i przyjacielem. Nigdy tego nie powiedział, ale jego księgi należą do ciebie.

— Co mam z nimi zrobić?

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. Zachodnie okno oświetlało pokój nikłym blaskiem. Ponura, bezlitosna, niewytłumaczalna wściekłość w jego głosie wzbudziła jej gniew.

— Ty, Arcymagu, pytasz mnie? Dlaczego robisz ze mnie głupszą niż jestem, Ged?

Wówczas podniósł się. Głos mu drżał.

— Ale, czy ty nie… czy nie widzisz… to wszystko jest skończone… stracone!

Siedziała nadal wpatrując się w niego, próbując zobaczyć jego twarz w półmroku.

— Nie mam już mocy, nic. Oddałem ją… zużyłem… wszystko, co posiadałem. Żeby zamknąć… Tak, aby… A więc dokonało się, skończone.

Próbowała zaprzeczyć temu, co powiedział, ale nie mogła.

— To było jak wylanie odrobiny wody — powiedział. — Kubka wody na piasek. W suchej krainie. Musiałem to zrobić. Ale teraz nie mam nic do picia. A jaką różnicę to stanowiło, jaką różnicę stanowi jeden kubek wody na całą pustynię? Czy pustynia znika?… Ach! Słuchaj!… Cień szeptał tak do mnie zza tamtych drzwi: „Słuchaj! Słuchaj!" I kiedy byłem młody, udałem się do suchej krainy. I spotkałem go tam, stałem się nim, poślubiłem swoją śmierć. Ona dała mi życie. Wodę, wodę życia. Byłem fontanną, źródłem… tryskającym, rozdającym. Lecz tam nie płyną źródła. Ostatecznie wszystkim, co posiadałem, był jeden kubek wody i musiałem wylać go na piasek w korycie Suchej Rzeki, na skały pogrążone w ciemności. Więc dokonało się. Skończone.

Słyszała wystarczająco dużo od Ogiona i od samego Geda, by wiedzieć, o jakiej krainie teraz mówił. I wiedziała też, że chociaż używał obrazowych wyrażeń, nie były one maskami prawdy, lecz samą prawdą, taką, jaką on poznał. Wiedziała również, że musi zaprzeczyć temu, co powiedział, bez względu na to, czy było to zgodne z prawdą.

— Nie dajesz sobie czasu, Ged — odezwała się. — Powrót ze śmierci musi być długą podróżą… nawet na grzbiecie smoka. Będzie wymagał czasu. Czasu i spokoju, milczenia, ciszy. Zostałeś zraniony. Wyzdrowiejesz.

Przez dłuższy czas stał w milczeniu. Tenar pomyślała, że wypowiedziała właściwe słowa i dodała mu trochę otuchy. Ale w końcu mężczyzna zapytał:

— Tak jak to dziecko?

To było jak nóż, tak ostry, że nie czuła, jak wbija się w jej ciało.

— Nie wiem — mówił dalej tym samym cichym, oschłym głosem — dlaczego ją wzięłaś wiedząc, że nikt nie może jej uzdrowić. Wiedząc, czym musi być jej życie. Przypuszczam, że to jest częścią

czasu, w którym żyliśmy — mrocznego czasu, wieku upadku, czasu dobiegającego końca. Myślę, że wzięłaś ją, tak jak ja wyszedłem na spotkanie swojemu wrogowi, ponieważ było to wszystko, co mogłem zrobić. I tak musimy przetrwać do nowych czasów z trofeami naszego zwycięstwa nad złem. Ty ze swoim poparzonym dzieckiem, a ja z niczym.

Rozpacz przemawia równo, spokojnym głosem.

Tenar odwróciła się, aby spojrzeć na laskę maga stojącą w mrocznym miejscu na prawo od drzwi. Nie było w niej światła. Cała była ciemna, wewnątrz i na zewnątrz. Przez otwarte drzwi widać było kilka dalekich i bladych gwiazd. Kobieta popatrzyła na nie. Chciała wiedzieć, jakie to były gwiazdy. Wstała i po omacku podeszła do drzwi. Mgła podniosła się i przesłaniała niebo. Jedną z gwiazd, które Tenar widziała z wnętrza domu, była letnia gwiazdka, którą w Atuanie, w jej rodzinnej mowie nazywano Tehanu. Nie znała drugiej. Nie wiedziała, jak tutaj, po hardycku nazywano Tehanu ani jak brzmiało jej prawdziwe imię, którym nazywały ją smoki. Wiedziała tylko, jak nazywałaby ją jej matka: Tehanu, Tehanu. Tenar, Tenar…

— Ged — powiedziała nie odwracając się. — Kto cię wychowywał, kiedy byłeś dzieckiem?

Podszedł, aby stanąć obok niej, również wpatrując się w zamglony horyzont morza, gwiazdy i wznoszący się ponad nimi mroczny masyw góry.

— Nikt ważny — odrzekł. — Moja matka zmarła, gdy byłem niemowlęciem. Było kilku starszych braci. Nie pamiętam ich. Był mój ojciec, kowal. I siostra mojej matki. Była czarownicą Dziesięciu Olch.

— Cioteczka Moss — wtrąciła Tenar.

— Młodsza. Posiadała trochę mocy.

— Jak miała na imię? Milczał przez chwilę.

— Nie pamiętam — powiedział wolno. Po chwili rzekł:

— Nauczyła mnie imion. Sokół, sokół pielgrzym, orzeł, rybołów, jastrząb gołębiarz, krogulec…

— Jak nazywacie tę gwiazdę? Tę białą, tam, wysoko.

— Serce Łabędzia — odrzekł podnosząc wzrok. — W Dziesięciu Olchach nazywali ją Strzałą.

Nie wypowiedział jednak jej imienia w Języku Tworzenia ani też prawdziwych imion jastrzębia, sokoła i krogulca, których nauczyła go czarownica.

— To, co powiedziałem… tam, w środku… było błędne — powiedział miękko. — Nie powinienem się w ogóle odzywać. Wybacz mi.

— Jeśli nie będziesz się odzywał, co mogę zrobię poza odejściem od ciebie? — Odwróciła się ku niemu. — Dlaczego myślisz tylko o sobie? Zawsze o sobie? Wyjdź na chwilę — rzekła do niego,

gniewna. — Chcę przygotować się do snu.

Oszołomiony, wyszedł mamrocząc przeprosiny, a ona, udawszy się do alkowy, wyśliznęła się z ubrania, wsunęła się do łóżka i ukryła twarz w słodkim cieple jedwabistego karku Therru.

„Wiedząc, czym musi być jej życie…”

Jej złość na niego, jej głupie zaprzeczenie prawdziwości tego, co powiedział, miało swoje źródło w rozczarowaniu. Mimo, że Lark mówiła dziesiątki razy, że nie ma na to żadnej rady, wciąż jeszcze miała nadzieję, że Tenar potrafi uleczyć oparzenia i wbrew wszystkim swoim zapewnieniom, że nawet Ogion nie potrafiłby tego uczynić, sama Tenar żywiła nadzieję, że Ged uzdrowi Therru — że położy dłoń na bliźnie, a ona zagoi się, ślepe oko zabłyśnie, zniekształcona ręka znów będzie delikatna, zrujnowane życie — nietknięte.

„Wiedząc, czym musi być jej życie…”

Odwrócone twarze, znaki chroniącego przed złem, przerażenie i ciekawość, niezdrowa litość i zagrożenie, gdyż krzywda przyciąga krzywdę… I nigdy żadnych ludzkich ramion. Nigdy nikogo, kto by ją objął. Nikogo oprócz Tenar. Och, on miał rację, dziecko powinno było umrzeć, powinno być martwe. Powinny były pozwolić dziewczynce odejść do suchej krainy, ona, Lark i Ivy — wścibskie, okrutne, stare kobiety o miękkich sercach. Miał rację, zawsze miał rację. Lecz w takim razie ci mężczyźni, którzy użyli jej do swoich potrzeb i zabaw, ta kobieta, która pozwoliła im ją wykorzystać — oni mieli rację bijąc dziecko do nieprzytomności i wrzucając je do ognia, aby spaliło się na śmierć. Tylko nie byli dokładni. Stracili zimną krew, pozostawili w niej trochę życia. To był błąd. I wszystko, co ona — Tenar, robiła, było błędne. Jako dziecko została oddana mocom ciemności. Została przez nie pożarta, pozwolono, aby została pożarta. Czy myślała, że kiedy przepłynie morze, nauczy się obcych języków, zostanie żoną mężczyzny, matką dzieci, kiedy zwyczajnie przeżyje swe życie, że wtedy stanie się kimkolwiek innym poza tym, kim była — sługą mocy ciemności, ich pożywieniem, ich własnością, której używały dla swoich potrzeb i zabaw? Zniszczona, przyciągała do siebie to, co było zniszczone, część swojej własnej ruiny, ciało swego własnego zła.

Włosy Therru były delikatne, ciepłe i miały słodki zapach. Leżała zwinięta w cieple ramion Tenar, śniąc. Jakie zło mogłaby stanowić? To jej wyrządzono zło, zło nie do naprawienia, ale ona nie była zła. Nie była stracona, nie stracona, nie stracona. Leżąc bez ruchu Tenar wróciła pamięcią do światła ze swojego snu, otchłani świetlistego powietrza, imienia smoka, imienia gwiazdy, Serca Łabędzia, Strzały, Tehanu.

Przeczesywała czarną kozę, aby uprząść uzyskaną w ten sposób czystą wełnę i zabrać ją do tkacza, który przerobi ją na tkaninę, jedwabiste „runo” Wyspy Gont. Stara czarna koza była przeczesywana

tysiące razy i lubiła to, skłaniała się ku szturchającym i szarpiącym drucianym zębom zgrzebła. Szaro-czarne wyczeski urosły do rozmiarów miękkiej, brudnej chmury, którą Tenar wepchnęła wreszcie do siatki. W ramach podziękowania wydostała kilka rzepów z frędzli uszu kozy i po przyjacielsku poklepała jej bok. „Bee!" — beknęła koza i odbiegła truchtem. Tenar wyszła z ogrodzonego pastwiska i stanęła przed domem rozglądając się po łące, aby upewnić się, że Therru wciąż się tam bawi.

Moss pokazała dziewczynce, jak pleść kosze z trawy i — choć jej okaleczona ręka była niezgrabna — Therru zaczęła się tego uczyć. Siedziała w trawie na łące ze swoją robótką na kolanach, ale nie pracowała. Przyglądała się Krogulcowi.

Stał w sporym oddaleniu, bliżej krawędzi urwiska. Był odwrócony plecami i nie wiedział, że ktokolwiek mu się przygląda. Obserwował ptaka, młodą pustułkę, a ona z kolei obserwowała jakąś niewielką zdobycz, którą dostrzegła w trawie. Wisiała w powietrzu trzepocząc skrzydłami, pragnąc spłoszyć nomicę lub mysz, przestraszyć ją tak, by popędziła do swojej nory. Mężczyzna stał wpatrując się w ptaka pochłonięty, równie głodny. Powoli podniósł prawą rękę, trzymając przedramię poziomo, i zdawał się przemawiać, choć jego słowa porywał wiatr. Pustułka zmieniła zamiar i krzycząc wysokim, chrapliwym, płaczącym głosem wzniosła się lotem strzały i pomknęła w kierunku lasu. Mężczyzna opuścił ramię i stał nieruchomo, śledząc wzrokiem ptaka. Dziecko i kobieta milczały. Tylko ptak frunął, odlatywał na wolność.

— Przybył do mnie kiedyś pod postacią sokoła, sokoła pielgrzyma — powiedział Ogion, przy ogniu, pewnego zimowego dnia. Opowiadał jej o czarach Przemiany, o przeobrażeniach, o magu Bordgerze, który stał się niedźwiedziem. — Przyleciał do mnie z północnego zachodu. Przyniosłem go tutaj i postawiłem przy ogniu. Nie mógł mówić. Mogłem mu pomóc, ponieważ go znałem. Zdołał zrzucić postać sokoła i znowu był człowiekiem. Ale zawsze miał w sobie coś z sokoła. W jego wiosce nazywali go Krogulcem, ponieważ dzikie sokoły przylatywały doń na dźwięk jego słowa. Kim jesteśmy? Co to znaczy być człowiekiem? Zanim otrzymał imię, zanim posiadł wiedzę, zanim zdobył moc, był w nim sokół i człowiek, i mag, i więcej — był tym, czego nie potrafimy nazwać. I tacy jesteśmy wszyscy.

Dziewczyna siedząca przy kominku, wpatrująca się w ogień, zasłuchana, ujrzała sokoła. Ujrzała człowieka. Widziała, jak ptaki przylatywały do niego, przybywały na dźwięk jego słowa, kiedy wzywał je po imieniu. Przylatywały trzepocząc skrzydłami, aby trzymać się jego ramienia swoimi srogimi szponami. Ujrzała siebie jako sokoła, dzikiego ptaka.

7. MYSZY

Pewnego popołudnia w domu maga zjawił się Townsend, handlarz owiec, który kiedyś przyniósł na Dębową Farmę wiadomość od Ogiona.

— Czy teraz, kiedy odszedł pan Ogion, sprzedasz kozy?

— Mogłabym, naturalnie — odrzekła Tenar. Rzeczywiście zastanawiała się, w jaki sposób da sobie radę, jeśli pozostanie w Re Albi. Jak każdego czarnoksiężnika, Ogiona utrzymywali ludzie, którym służyły jego umiejętności i moce — czyli w tym przypadku wszyscy mieszkańcy Gontu. Gdyby tylko poprosił, z wdzięcznością dano by mu wszystko, czego potrzebował. Nigdy jednak nie musiał prosić. Musiał raczej rozdawać nadmiar żywności, szat, przyborów, żywego inwentarza oraz wszystkich artykułów pierwszej potrzeby i ozdób, które mu podsuwano lub po prostu zostawiano na jego progu. „Co mam z nimi robić?" — pytał zakłopotany, stojąc z rękoma pełnymi oburzonych, skrzeczących kurcząt, jardów obić ściennych albo garnków marynowanych buraków. Ale Tenar pozostawiła środki do życia w Dolinie Środkowej. Kiedy opuszczała ją tak nagle, nie zastanawiała się nad tym, jak długo będzie mogła zostać. Nie zabrała ze sobą siedmiu kawałków kości słoniowej — skarbu Flinta. Zresztą pieniądze te były użyteczne jedynie przy okazji kupna ziemi czy żywego inwentarza lub przy handlowaniu z jakimś kupcem z Portu Gont, sprzedającym futra pellawi lub jedwabie z Lorbanery bogatym rolnikom i pomniejszym władcom Gontu. Farma Flinta dostarczała jej wszystkiego, czego ona i Therru potrzebowały do jedzenia i ubrania, ale sześć kóz Ogiona oraz jego fasola i cebula służyły raczej jego przyjemności niż zaspokajaniu potrzeby. Tenar żyła z jego spiżami, z darów wieśniaków, którzy dawali jej prezenty przez wzgląd na maga, a także dzięki Cioteczce Moss. Zaledwie wczoraj czarownica powiedziała:

— Kochanie, mojej kurze z pierścieniem na szyi wykluły się pisklęta. Przyniosę ci dwa, trzy kurczątka, kiedy zaczną grzebać w ziemi. Mag nie chciał ich trzymać. Mówił, że są zbyt hałaśliwe i niemądre. Ale co to za dom bez kurcząt przy drzwiach?

Rzeczywiście, kury Moss swobodnie wchodziły i wychodziły z jej domu, spały na jej łóżku i wzbogacały wonie niewiarygodnie ciemnej, zadymionej, cuchnącej izby.

— Mam brązowobiałą jednoroczną kózkę, będzie z niej świetna dojna koza — zwróciła sięTenar do mężczyzny o ostrych rysach.

— Myślałem raczej o całym stadku — odparł. — Jest ich tylko pięć czy sześć, prawda?

— Sześć. Są tam, na pastwisku, jeśli chcesz je obejrzeć.

— Zrobię to.

Jednak nie ruszył się z miejsca. Oczywiście żadna ze stron nie mogła okazać nadmiernego zapału.

— Widziałaś, jak przypłynął ten okręt? — zapytał.

Dom Ogiona zwrócony był na zachód i północ i można było z niego zobaczyć jedynie skaliste przylądki u wylotu zatoki — Zbrojne Urwiska. Z samego miasteczka w kilku miejscach można było spoglądać w dół na spadzistą drogę wiodącą do Portu Gont i ujrzeć doki oraz całą przystań. Obserwowanie statków stanowiło w Re Albi stałe zajęcie. Na ławce za kuźnią, skąd był najlepszy widok, siedziała zazwyczaj para starców i chociaż mogli oni nigdy w życiu nie przebyć piętnastu mil tego zygzakowatego traktu do Portu Gont, obserwowali przyjścia i odejścia statków jak widowisko, niezwykłe, a jednak znajome, dostarczające im niemałej rozrywki.

— Z Havnoru, tak powiedział chłopak kowala. Był na dole w Porcie, żeby targować się o sztaby. Wrócił wczoraj późnym wieczorem. Ten wielki okręt jest z Wielkiego Portu Havnor, powiedział.

Prawdopodobnie zagadywał ją, aby odwrócić jej myśli od ceny kóz, a chytrość w jego spojrzeniu była prawdopodobnie czymś wpisanym tam na stałe. Lecz Wielki Port Havnor niewiele handlował z Gontem, ubogą i odosobnioną wyspą, sławną jedynie z czarnoksiężników, piratów i kóz, i coś w słowach „wielki okręt" zaniepokoiło i zaalarmowało Tenar, choć nie wiedziała dlaczego.

— Powiedział, że mówią, że w Havnorze jest teraz król — ciągnął handlarz owiec, spoglądając na nią z ukosa.

— To byłoby wspaniałe — odrzekła Tenar. Townsend przytaknął.

— Mógłby rozpędzić ten cudzoziemski mottach. Tenar uprzejmie skinęła swoją cudzoziemską głową.

— Ale być może są w Porcie tacy, którzy nie będą zadowoleni.

Miał na myśli kapitanów statków pirackich z Gontu, których kontrola nad pohidniowo-wschodnimi morzami wzrosła i ugruntowała się w ostatnich latach do tego stopnia, że wiele spośród dawnych połączeń handlowych z centralnymi wyspami Archipelagu zostało przerwanych lub porzuconych. To z kolei doprowadziło do ubóstwa wszystkich mieszkańców Gontu oprócz piratów. A jednak piraci, w oczach większości Gontyjczyków, byli bohaterami. Tenar orientowała się, że jej syn był żeglarzem na statku pirackim. I być może dzięki temu był bezpieczniejszy niż na solidnym statku handlowym. Lepszy rekin niż śledź — jak mawiano.

— Niektórzy nigdy nie są zadowoleni, wszystko jedno z czego — powiedziała Tenar, machinalnie dostosowując się do reguł konwersacji, lecz tak nimi zniecierpliwiona, że dodała wstając: — Pokażę ci kozy. Możesz je obejrzeć. Nie wiem, czy sprzedamy

wszystkie, czy którąkolwiek.

Zaprowadziła mężczyznę do bramy żarnowcowego pastwiska i odeszła. Nie lubiła go. Nie był winien temu, że przyniósł jej złe wieści wtedy, a być może i teraz, ale w jego wzroku było coś, co w Tenar budziło odrazę. Nie chciała mu sprzedać kóz Ogiona. Nawet Sippy.

Kiedy mężczyzna odszedł nie dobiwszy targu, ogarnął ją niepokój. Powiedziała do niego: „Nie wiem, czy sprzedamy", a nierozsądnie było mówić my zamiast ja, kiedy Townsend nie żądał rozmowy z Krogulcem, a nawet o nim nie wspomniał, czego należało się spodziewać po mężczyźnie targującym się z kobietą. Zwłaszcza, jeśli ona odrzuca jego ofertę.

Nie wiedziała, co o Krogulcu, o jego obecności i nieobecności, sądzono w miasteczku. Ogion, powściągliwy, milczący i w pewien sposób budzący lęk, był ich własnym magiem i współwieśniakiem. Z Krogulca mogli być dumni, jak ze znakomitej osobistości, arcymaga, który mieszkał króciutko w Re Albi i czynił cudowne rzeczy, okpiwając smoka na Dziewięćdziesięciu Wyspach, przynosząc skądś tam Pierścień Erreth-Akbego. Ale nie znali go. Bo też on nie znał ich. Odkąd przybył, nie poszedł do miasteczka, tylko do lasu, na odludzie. Tenar nie rozmyślała nad tym wcześniej, lecz stronił od miasteczka z takim uporem, jak czyniła to Therru.

Musieli o nim rozmawiać. To było miasteczko i ludzie rozmawiali. Lecz plotkowanie na temat czynów czarnoksiężników i magów nie posuwało się daleko. Sprawa była zbyt niesamowita, życie ludzi posiadających moc było zbyt niezwykłe, zbyt różne od ich własnego życia. Słyszała, jak wieśniacy z Doliny Środkowej mówili „Daj spokój", gdy ktoś zaczynał zbyt swobodnie spekulować na temat wizyty zaklinacza pogody lub ich własnego czarodzieja, Beecha. „Daj spokój. On idzie swoją drogą, nie naszą".

Co się tyczy jej samej, to nie podawali w wątpliwość, że powinna przedłużyć swój pobyt, by pielęgnować i obsługiwać człowieka obdarzonego mocą. Znowu był to przypadek „Daj spokój". Sama niewiele bywała w miasteczku, nie odnoszono się do niej ani przyjaźnie, ani nieprzyjaźnie. Mieszkała tam kiedyś, w chacie tkacza Fana, była wychowanką starego maga, posłał po nią Townsen-da — wszystko to było w porządku. Lecz później przybyła z dzieckiem, na które strach było spojrzeć. Kto z własnej woli przechadzałby się z nim w biały dzień? A jakiego rodzaju kobieta byłaby uczennicą czarnoksiężnika? Była cudzoziemką i z pewnością czarownicą. Niemniej jednak była żoną bogatego rolnika, tam, daleko w dole, w Dolinie Środkowej, mimo że on już nie żył, a ona była wdową. No cóż, kto mógł zrozumieć zwyczaje ludu czarownic? „Daj spokój, lepiej daj spokój…"

Spotkała Arcymaga Ziemiomorza, kiedy przechodził obok

ogrodowego płotu. Powiedziała:

— Mówią, że przypłynął okręt z Miasta Havnor. Zatrzymał się. Wykonał gwałtowny ruch, jakby zrywał się do ucieczki, ale zaraz się opanował.

— Ged! — zawołała. — O co chodzi?

— Nie mogę — odrzekł. — Nie mogę przed nimi stanąć.

— Przed kim?

— Przed ludźmi od niego. Od króla.

Jego twarz poszarzała, jak wtedy, gdy znalazł się tu po raz pierwszy i rozglądał się za kryjówką.

Jego przerażenie było tak ogromne i tak bezbronne, że myślała tylko o tym, jak mu oszczędzić tych przeżyć.

— Nie musisz ich przyjmować. Jeśli ktoś przyjdzie, odprawię go. Wróć teraz do domu. Cały dzień nie jadłeś.

— Był tam jakiś człowiek — powiedział.

— Townsend, pytał o cenę kóz. Odesłałam go. No, chodź. Poszedł z nią i kiedy znaleźli się w domu, zamknął drzwi.

— Oni z pewnością nie mogliby wyrządzić ci krzywdy, Ged. Dlaczego mieliby to zrobić?

Usiadł przy stole i potrząsnął głową.

— Nie, nie.

— Czy wiedzą, że tu jesteś?

— Nie wiem.

— Czego ty się boisz? — zapytała z powagą, bez zniecierpliwienia. Przyłożył dłonie do twarzy, pocierając skronie i czoło, patrząc w dół.

— Byłem… — odezwał się. — Nie jestem… To było wszystko, co potrafił powiedzieć. Powstrzymała go mówiąc:

— W porządku, w porządku. — Nie śmiała go dotknąć, żeby nie pogłębić jego upokorzenia jakimkolwiek pozorem litości. Rozzłościła się na niego i za niego.

— To nie ich sprawa — zawołała — gdzie jesteś czy kim jesteś, czy też, co chcesz robić! Jeśli przyjdą węszyć, mogą odejść ciekawi. — Było to powiedzenie Lark. Dręczyła ją tęsknota za towarzystwem pospolitej, konsekwentnie myślącej kobiety. — Tak czy owak, ten okręt może nie mieć z tobą zupełnie nic wspólnego. Mogą ścigać piratów. Dobrze będzie, kiedy król wreszcie zabierze się do tego… Znalazłam trochę wina w głębi kredensu, parę butelek, ciekawa jestem, jak długo Ogion je tam chomikował. Myślę, że szklanka wina dobrze zrobi nam obojgu. I trochę chleba z serem. Mała już zjadła i poszła z Heather łapać żaby. Na kolację mogą być żabie udka. Ale na razie chleb z serem. I wino. Zastanawiam się, skąd pochodzi, kto je przyniósł Ogionowi, ile ma lat? — Paplała tak, trochę bez sensu, wybawiając go od konieczności udzielania jakiejś odpowiedzi czy też

mylnej interpretacji milczenia. Przestała dopiero, kiedy przeszło mu zawstydzenie, zjadł trochę i wypił szklankę starego, łagodnego, czerwonego wina.

— Najlepiej będzie, jeśli pójdę, Tenar — powiedział. — Dopóki nie nauczę się być tym, czym teraz jestem.

— Pójdziesz? Dokąd?

— W góry.

— Wędrując, jak Ogion? — Spojrzała na niego. Pamiętała, jak chodziła z nim po drogach Atuanu, drwiąc z niego: — Czy czarnoksiężnicy często żebrzą? — A on odpowiedział: — Tak, ale starają się dawać coś w zamian.

Zapytała ostrożnie:

— Czy mógłbyś na razie radzić sobie jako zaklinacz pogody albo poszukiwacz? — Napełniła jego szklankę.

— Nie — odrzekł. — Nic z tego. Nic z tego.

Nie wierzyła mu. Pragnęła zbuntować się, zaprzeczyć, powiedzieć do niego: „Jak to możliwe, jak możesz tak mówić — jakbyś zapomniał wszystkiego, co wiesz, wszystkiego, czego nauczyłeś się od Ogiona i na Roke, podczas swoich podróży! To niemożliwe, żebyś zapomniał słów, imion, czynności swojej sztuki. Nauczyłeś się, zdobyłeś swoją moc!” — Powstrzymała się od powiedzenia tego. Mruknęła tylko:

— Nie rozumiem. Jak to wszystko może…

— Kubek wody — odrzekł przechylając nieco szklankę, jak gdyby wylewał wino. A po chwili dodał: — Nie rozumiem tylko, dlaczego przyniósł mnie z powrotem. Okrucieństwem jest dobroć młodych… Tak więc jestem tutaj. Muszę dać sobie z tym radę, aż będę mógł wrócić.

Niezupełnie wiedziała, co miał na myśli, ale usłyszała nutę potępienia czy też skargi, która w jego głosie wstrząsnęła nią i wzbudziła jej gniew. Odezwała się sztywno:

— To Kalessin przyniósł cię tutaj.

W domu panował mrok, gdyż drzwi były zamknięte i tylko małe zachodnie okno wpuszczało do środka światło późnego popołudnia. Nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, lecz wkrótce z tajemniczym uśmiechem podniósł ku niej szklankę i napił się z niej.

— To wino — powiedział — musiał przynieść Ogionowi jakiś wielki kupiec albo pirat. Nigdy nie piłem równie dobrego. Nawet w Hav-norze. — Obrócił w dłoniach pękatą szklankę, spoglądając na nią z góry. — Nazwę się jakoś i wyruszę na drugą stronę góry, do Armouth i Wschodniego Lasu, skąd pochodzę. Będę tam kosić siano. Zawsze jest praca przy sianokosach i żniwach.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. W tym stanie i z takim wyglądem otrzymałby taką pracę jedynie z litości lub okrucieństwa. A gdyby ją dostał, nie byłby w stanie jej wykonać.

— Drogi nie są już takie jak dawniej — zwróciła się do niego. — Ostatnimi laty wszędzie grasują złodzieje i bandy. Cudzoziemski motłoch, jak mówi mój przyjaciel Townsend. Nie jest już bezpiecznie chodzić w pojedynkę.

Przyglądała mu się w półmroku, żeby zobaczyć, jak przyjął jej słowa i zastanawiała się, jakie to musi być uczucie — nigdy nie bać się ludzkiej istoty. I jakie to będzie uczucie — konieczność nauczenia się strachu.

— Ogion stale chodził… — zaczął i ugryzł się w język. Przypomniał sobie, że Ogion był magiem.

— W południowej części wyspy — rzekła Tenar — jest mnóstwo stad. Owce, kozy, bydło. Przed Długim Tańcem pędzą je na wzgórza i wypasają je tam aż do pory deszczowej. Zawsze potrzebują pasterzy. — Wypiła łyk wina. Było w jej ustach jak imię smoka. — Ale dlaczego nie możesz po prostu zostać tutaj?

— Nie w domu Ogiona. To pierwsze miejsce, do którego przyjdą.

— No i co, jeśli rzeczywiście przyjdą? Czego będą od ciebie chcieli?

— Żebym był tym, czym byłem.

Zmroziło ją uczucie żalu i osamotnienia, które usłyszała w jego głosie. Milczała, próbując sobie przypomnieć, jakie to było uczucie: być potężną, być Pożartą, Jedyną Kapłanką Grobowców Atuanu, a później utracić to, rzucić, stać się tylko Tenar, tylko sobą samą. Myślała o tym, jak to było — być kobietą w kwiecie wieku, matką i żoną, a potem stracić to wszystko, starzejąc się i zostając bezsilną wdową. Być może jedynie mężczyzna mógł się tak czuć. Kobieta przywykła do hańby. A może Cioteczka Moss miała rację — kiedy zabrakło jądra, skorupa była pusta. „Myśli wiedźmy” — pomyślała. Zatem, aby zmienić bieg jego myśli i swoich własnych, a także, ponieważ łagodne, ogniste wino rozwiązało jej język i zaostrzyło dowcip, powiedziała:

— Wiesz, myślałam… o tym, jak Ogion mnie uczył, a ja nie chciałam tak dalej żyć, tylko poszłam i znalazłam sobie swojego rolnika i poślubiłam go… Myślałam, kiedy to zrobiłam, myślałam w dniu mojego ślubu: „Ged będzie zły, gdy o tym usłyszy!” — Zaśmiała się mówiąc te słowa.

— Byłem. Czekała.

— Byłem rozczarowany — powiedział.

— Zły — rzekła.

— Zły — zgodził się.

Napełnił jej szklankę.

— Posiadałem wtedy moc rozpoznawania mocy — powiedział. — A ty… ty jaśniałaś w tym okropnym miejscu, w Labiryncie, w tym mroku…

— Dobrze, zatem powiedz mi:, co powinnam była uczynić ze swoją mocą i wiedzą, którą próbował mi wpoić Ogion?

— Używać jej.

— Jak?

— Tak, jak używana jest Sztuka Magiczna.

— Przez kogo?

— Przez czarnoksiężników — odrzekł jakby z bólem.

— Magia oznacza umiejętności, kunszty czarodziejów, magów.

— Cóż innego mogłaby oznaczać?

— Czy to wszystko, co kiedykolwiek mogła oznaczać? Zadumał się, rzucając jej przelotne spojrzenia.

— Kiedy Ogion uczył mnie — powiedziała — tu, przy kominku, słów Dawnej Mowy, były one równie łatwe i równie trudne w moich ustach, jak w jego. Przypomniało to uczenie się języka, którym mówiłam, zanim przyszłam na świat. Ale reszta — wiedza, runy mocy, zaklęcia, reguły, wzbudzanie potęg — to było dla mnie zupełnie martwe. Język kogoś innego. Myślałam, że mogłabym być przebrana za wojownika, z piką, mieczem, pióropuszem i tak dalej. Lecz to przebranie nie pasowałoby, prawda? Co zrobiłabym z mieczem? Czy uczyniłby mnie bohaterem? Byłabym sobą w źle leżącym stroju i trudno byłoby mi chodzić.

Wypiła mały łyk wina.

— Więc zdjęłam to wszystko — dodała. — I założyłam własne ubranie.

— Co powiedział Ogion, kiedy go porzuciłaś?

— Co zwykle mówił Ogion?

Wzbudziło to znowu nikły uśmiech. Nie odezwał się jednak ani słowem.

Tenar skinęła głową. Po chwili ciągnęła ciszej:

— Przyjął mnie, ponieważ ty przyprowadziłeś mnie do niego. Nie chciał żadnych uczniów po tobie i nigdy by nie przyjął dziewczyny, chyba że od ciebie, na twoją prośbę. Ale kochał mnie. I szanował. A ja kochałam i szanowałam jego. Lecz nie potrafił dać mi tego, czego chciałam, a ja nie potrafiłam wziąć tego, co mógł mi dać. Wiedział o tym. Ale inaczej było, kiedy zobaczył Therru. W przededniu swojej śmierci. Ty mówisz i Moss mówi, że moc poznaje moc. Nie wiem, co w niej zobaczył, ale powiedział: „Naucz ją!" I powiedział…

Ged czekał.

— Powiedział: — „Będą się jej lękać." I dodał: „Naucz ją wszystkiego* Nie Roke". Nie wiem, co miał na myśli.Skąd mogę wiedzieć? Gdybym tu z nim została, mogłabym wiedzieć, mogłabym ją nauczyć. Ale myślałam: „Przyjdzie Ged, będzie wiedział. Będzie wiedział, czego ją nauczyć, co musi wiedzieć, moja skrzywdzona".

— Nie wiem — odrzekł bardzo cicho. — Wiedziałem… W tym

dziecku widzę tylko… wyrządzoną krzywdę. Zło. Wypił wino.

— Nic nie mogę jej dać — dodał.

Rozległo się chroboczące pukanie do drzwi. Zerwał się natychmiast z tym samym bezradnym skrętem ciała, szukając wzrokiem kryjówki. Tenar podeszła do drzwi, uchyliła je i poczuła zapach Moss, zanim ujrzała ją samą.

— W miasteczku — szepnęła stara kobieta dramatycznie — mówią, że różni świetni ludzie nadchodzą z Portu, z wielkiego statku, który przypłynął z Miasta Havnor. Mówią, że przybywają za Arcymagiem.

— On nie chce ich widzieć — odrzekła słabo. Nie miała pojęcia, co robić.

— Niewątpliwie — zgodziła się wiedźma. A po chwili oczekiwania dodała: — W takim razie gdzie on jest?

— Tutaj — odezwał się Krogulec, podchodząc do drzwi i otwierając je szerzej. Moss zmierzyła go wzrokiem i nie powiedziała ani słowa.

— Czy oni wiedzą, gdzie jestem?

— Nie ode mnie — odparła Moss.

— Jeżeli tu przyjdą — rzekła Tenar — wszystko, co musisz zrobić, to odprawić ich precz… ostatecznie jesteś Arcymagiem… Ani on, ani Moss, nie zwracali na nią uwagi.

— Nie przyjdą do mojego domu — oświadczyła Moss. — Chodź, jeśli chcesz.

Podążył za nią spojrzawszy na Tenar, lecz bez słowa.

— Ale co ja mam im powiedzieć? — zapytała.

— Nic, kochanie — odrzekła czarownica.

Heather i Therru wróciły z bagien z siedmioma martwymi żabami w siatce i Tenar zajęła się odcinaniem i obdzieraniem ze skóry udek na kolację myśliwych. Kończyła właśnie, kiedy usłyszała na zewnątrz jakieś głosy i podniósłszy wzrok w stronę otwartych drzwi, ujrzała stojących w nich ludzi — mężczyzn w kapeluszach, złotą nić, blask…

— Pani Goha? — odezwał się uprzejmy głos.

— Wejdźcie! — odrzekła.

Weszli — pięciu wysokich, okazałych mężczyzn, którzy w izbie o niskim stropie sprawiali wrażenie, jak gdyby było ich dwakroć więcej. Rozejrzeli się wokół siebie i Tenar zobaczyła to, co oni.

Ujrzeli stojącą przy stole kobietę trzymającą długi, ostry nóż. Na stole leżała deska do krojenia, a na niej, z jednej strony kupka nagich, zielonkawo-białych nóg, z drugiej — stos tłustych, pokrwawionych, martwych żab. Coś przyczaiło się w cieniu za drzwiami — dziecko, lecz dziecko zdeformowane, źle stworzone, o pół-twarzy i kleszczowatej dłoni. Na łóżku w alkowie, poniżej pojedynczego okna, siedziała duża, koścista młoda kobieta, wpatrująca się w nich

wytrzeszczonymi oczyma, z szeroko otwartymi ustami. Jej ręce były zakrwawione i ubłocone, a ociekająca wilgocią spódnica cuchnęła bagienną wodą. Gdy spostrzegła, że na nią patrzą, usiłowała zasłonić twarz spódnicą, obnażając nogi aż po uda.

Odwrócili wzrok od niej i od dziecka i nie było nikogo innego, na kogo mogliby patrzeć, oprócz kobiety z martwymi żabami.

— Pani Goha — powtórzył jeden z nich.

— Tak się nazywam — odrzekła.

— Przybywamy z Hanvoru, od króla — oznajmił uprzejmy głos. Pod światło nie mogła dojrzeć wyraźnie jego twarzy. — Poszukujemy Arcymaga, Krogulca z Gontu. Król Lebannen ma zostać ukoronowany jesienią i pragnie mieć przy sobie Arcymaga, swego pana i przyjaciela, by przygotował się do koronacji i ukoronował go, jeśli taka będzie jego wola.

Mężczyzna przemawiał pewnie i ceremonialnie, jak do damy w pałacu. Miał na sobie bryczesy ze skóry i lnianą koszulę, zakurzoną od wspinaczki z Port Gont, lecz był to piękny strój, ze złotym haftem pod szyją.

— Nie ma go tu — powiedziała Tenar.

Dwaj mali chłopcy z miasteczka zajrzeli do środka, cofnęli się, znów zajrzeli i pierzchnęli z wrzaskiem.

— Może mogłabyś powiedzieć nam, gdzie on jest, pani Goho — rzekł mężczyzna.

— Nie mogę.

Spojrzała na nich wszystkich. Strach przed nimi, który z początku poczuła — powstały być może z paniki Krogulca lub ze zwykłego niemądrego podniecenia na widok obcych — ustępował. Oto stała w domu Ogiona i dobrze wiedziała, dlaczego Ogion nigdy nie obawiał się wielkich ludzi.

— Musicie być strudzeni po takiej długiej drodze — powiedziała. — Usiądźcie proszę. Oto wino. Proszę, muszę umyć szklanki.

Zaniosła deskę do krojenia do kredensu, włożyła żabie udka do spiżami, zeskrobała resztę do wiadra na pomyje, które Heather zanosi świniom Tkacza Fana, obmyła w miednicy ręce, ramiona i nóż, nalała świeżej wody i wypłukała dwie szklanki, z których piła ona i Krogulec. W komodzie była jeszcze jedna szklanka i dwa gliniane kubki bez uszu. Ustawiła je na stole i nalała gościom wina. W butelce zostało dokładnie tyle, by wystarczyło dla wszystkich. Wymienili spojrzenia i nie usiedli. Usprawiedliwiał to niedobór krzeseł. Tym niemniej zasady gościnności zmuszały ich do przyjęcia tego, co proponowała. Każdy z mężczyzn wziął od niej szklankę lub kubek z grzecznym mruknięciem. Pozdrawiając ją, wypili.

— Słowo daję! — powiedział jeden z nich.

— Andrady. Późne Żniwa — oznajmił drugi, z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Trzeci potrząsnął głową.

— Andrady. Rok Smoka — oświadczył uroczyście. Czwarty skinął głową i ponownie wypił mały łyk, pełen czci. Piąty, który był pierwszym, który przemówił, raz jeszcze podniósł gliniany kubek w kierunku Tenar i rzekł:

— Zaszczycasz nas królewskim winem, pani.

— Ono należało do Ogiona — odparła. — To był dom Ogiona. To jest dom Aihala. Wiedzieliście o tym, moi panowie?

— Tak, pani. Król wysłał nas do tego domu, przypuszczając, że przybędzie tu arcymag, a kiedy na Roke i do Hanvoru nadeszła wieść o śmierci jego mistrza, utwierdził się w swoim przypuszczeniu. Lecz to smok uniósł arcymaga z Roke. I od tego czasu na Roke ani do króla nie dotarła od niego żadna wieść ani posłanie. Bardzo leży to królowi na sercu i jest w interesie nas wszystkich, by dowiedzieć się, że arcymag jest tutaj i że cieszy się dobrym zdrowiem. Czy przybył tu, pani?

— Nie mogę powiedzieć — odrzekła, lecz był to kiepski wykręt i wiedziała, że mężczyźni myśleli tak samo. Wyprostowała się, stając za stołem. — Chciałam powiedzieć, że nie powiem. Myślę, że jeśli arcymag zapragnie przyjść, to przyjdzie. Jeśli nie życzy sobie zostać odnalezionym, nie znajdziecie go. Z pewnością nie będziecie go szukać wbrew jego woli.

Najstarszy z mężczyzn i najwyższy zarazem, powiedział:

— Królewska wola jest naszą.

Pierwszy mówca odezwał się bardziej pojednawczym tonem:

— Jesteśmy jedynie posłańcami. Co jest między królem a arcymagiem Wysp, jest między nami. My pragniemy tylko przynieść wiadomość i odpowiedź.

— Jeśli zdołam, upewnię się, czy dotarła do niego wasza wiadomość.

— A odpowiedź? — nalegał najstarszy mężczyzna. Nie odezwała się ani słowem, a pierwszy z mówców powiedział:

— Zatrzymamy się tu na kilka dni w domu Władcy Re Albi, który, usłyszawszy o przybyciu naszego statku, zaofiarował nam swoją gościnność.

Wyczuła zastawioną pułapkę czy też zaciskającą się pętlę, choć nie wiedziała, skąd się wzięło to wrażenie. Zaraziła się od Krogulca jego poczuciem własnej słabości. W roztargnieniu skorzystała z tego, że wyglądała na zwyczajną gospodynię w średnim wieku. Ale czy było to pozorne? To także była prawda i sprawy te były subtelniejsze nawet niż pozory i zmiany kształtu czarnoksiężników. Pochyliła głowę i rzekła:

— Będzie to stosowniejsze ze względu na wygodę waszych

lordowskich mości. Jak widzicie, żyjemy tu bardzo skromnie, tak jak czynił stary mag.

— I pijecie andradzkie wino — rzekł ten, który rozpoznał rocznik, przystojny mężczyzna o bystrym spojrzeniu i ujmującym uśmiechu. Kobieta, odgrywając swoją rolę, trzymała głowę spuszczoną. Lecz kiedy pożegnali się i wyszli gęsiego, wiedziała, że — na kogo by nie wyglądała i kim by nie była — jeśli nie wiedzieli jeszcze, że jest Tenar Noszącą Pierścień, dowiedzą się o tym niebawem. I dowiedzą się, że ona sama zna arcymaga i rzeczywiście stanowi ich drogę do niego, skoro są zdecydowani go odszukać.

Kiedy odeszli, wydała ciężkie westchnienie. Heather zrobiła to samo i wówczas w końcu zamknęła usta.

— To dopiero — powiedziała tonem głębokiego, pełnego zadowolenia i poszła zobaczyć, gdzie się podziały kozy.

Therru wyszła z ciemnego kąta za drzwiami, gdzie zabarykadowała się przed obcymi za pomocą łaski Ogiona, olchowego kija Tenar i swojej własnej leszczynowej witki. Poruszała się sztywno, bokiem, nie podnosząc wzroku, pochylając zniszczoną stronę twarzy w kierunku ramienia w sposób, którego prawie całkiem zaniechała, odkąd tutaj mieszkały. Tenar podeszła do dziecka i uklękła, by wziąć je w ramiona.

— Therru — rzekła. — Oni cię nie zranią. Nie chcą zrobić nic złego. Dziewczynka nie chciała na nią spojrzeć. Pozwalała Tenar obejmować się jak kloc drewna.

— Jeśli tak będziesz chciała, nie wpuszczę ich więcej do domu. Po chwili dziecko poruszyło się nieco i zapytało swoim chrapliwym, stłumionym głosem:

— Co oni zrobią Krogulcowi?

— Nic — odrzekła Tenar. — Żadnej krzywdy! Przychodzą… chcą okazać mu swój szacunek.

Lecz zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, czym będzie dla niego usiłowanie oddawania mu honorów, zaprzeczając jego stracie, odmawiając mu jego żalu po tym, co utracił, zmuszając go do tego, by odgrywał rolę kogoś, kim już nie był.

Kiedy wypuściła Therru z objęć, ta poszła do komórki i przyniosła stamtąd miotłę Ogiona. Pracowicie zamiotła podłogę w miejscach, gdzie stali mężczyźni z Havnoru, zamiatając ich ślady, wymiatając za drzwi kurz z ich stóp. Przyglądając się jej, Tenar powzięła decyzję.

Podeszła do półki, na której stały trzy wielkie księgi Ogiona i przeszukała ją. Znalazła kilka gęsich piór i na wpół wyschniętą flaszkę atramentu, lecz ani skrawka papieru czy pergaminu. Nie chciała niszczyć czegoś tak świętego jak książka, ale zacisnęła zęby i wyrwała cienki pasek papieru z nie zapisanej wyklejki Księgi Runów. Usiadła przy stole, umoczyła pióro i zaczęła pisać. Ani atrament, ani słowa nie

przychodziły łatwo. Nie pisała chyba niczego od czasu, kiedy siedziała przy tym samym stole ćwierć wieku temu, a Ogion zaglądał przez jej ramię, ucząc ją ruchów hardyckich i Wielkich Runów Mocy. Napisała: idź dębowa farma w dolinie środkowej do clerbrooka powiedz goha przysyła dbać o ogród i owce.

Przeczytanie tego jeszcze raz zajęło jej prawie tyle samo, co napisanie. Therru skończyła już zamiatać i bacznie się jej przyglądała. Tenar dodała dwa słowa: dziś wieczorem.

— Gdzie jest Heather? — zwróciła się do dziecka składając papier.

— Chcę, żeby zaniosła to do domu Cioteczki Moss.

Miała wielką ochotę iść sama, zobaczyć Krogulca, lecz nie śmiała z obawy, że obserwowali ją, aby zaprowadziła ich do niego.

— Ja pójdę — szepnęła Therru. Tenar spojrzała na nią ostro.

— Będziesz musiała iść sama, Therru. Obok miasteczka. Dziewczynka skinęła głową.

— Daj to tylko jemu!

Ponownie skinęła głową.

Tenar wetknęła papier do kieszeni dziecka, objęła je, pocałowała i puściła. Therru poszła, nie kuląc się już i nie posuwając bokiem, lecz biegnąc swobodnie. „Frunąc — pomyślała Tenar, patrząc, jak dziewczynka znika w wieczornym świetle za ciemną futryną drzwi — lecąc jak ptak, smok, dziecko, wolna istota.”

8. SOKOŁY

Therru wróciła niebawem z odpowiedzią Krogulca:

— Powiedział, że odejdzie dziś wieczorem.

Tenar przyjęła tę wiadomość z zadowoleniem, uspokojona, że zaakceptował jej plan, że ucieknie od tych posłańców i wiadomości, których się obawiał. Dopiero, kiedy podała Heather i Therru ich ucztę z żabich udek, położyła dziewczynkę spać, zaśpiewała jej, a potem czuwała sama, bez lampy czy światła ognia płonącego w kominku, dopiero wtedy serce zaczęło w niej zamierać. Odszedł. Nie był silny, był zdezorientowany i niepewny, potrzebował przyjaciół, a ona wysyłała go daleko od tych, którzy pragnęli nimi być. Odszedł, a ona musiała zostać, by trzymać psy gończe z dala od jego tropu, by dowiedzieć się przynajmniej, czy zostali w Goncie, czy pożeglowali z powrotem do Havnoru. Zrozumiała, jak niedorzeczną była jego panika i to, że ona sama się tej panice poddała. Równie bezsensowne było to, że on odszedł. Mógł po prostu ukryć się w domu Moss, który był ostatnim miejscem na całym Ziemiomorzu, gdzie król szukałby arcymaga. Byłoby znacznie lepiej, gdyby pozostał tam, dopóki nie odpłyną wysłańcy. Mógłby wówczas wrócić tu, do domu Ogiona, gdzie było jego miejsce. I wszystko byłoby jak przedtem: ona opiekowałaby się nim, dopóki nie odzyska swojej siły, a on dotrzymywałby jej towarzystwa.

Jakiś cień pojawił się w drzwiach:

— Tsssst! Nie śpisz? — Weszła Cioteczka Moss. — Nareszcie wyruszył — powiedziała tonem spiskowca, pełnym triumfu. — Poszedł drogą przez stary las. Mówił, że jutro pójdzie na skróty do Doliny Środkowej, przez Oak Springs.

— To dobrze — rzekła Tenar.

Moss, śmielsza niż zwykle, usiadła nie czekając na zaproszenie.

— Dałam mu na drogę bochenek chleba i kawałek sera.

— Dziękuję, Moss. To ładnie z twojej strony.

— Pani Goho. — Głos Moss w ciemności przybrał melodyjne brzmienie przywodzące na myśl cichy śpiew i rzucanie uroków. — Jest pewna rzecz, którą chciałam ci powiedzieć, kochanie. Nie chcę przy tym wykraczać poza to, co mogę wiedzieć. Zdaję sobie sprawę, że żyłaś pomiędzy wielkimi ludźmi i sama byłaś jedną z nich i myśl o tym zamyka mi usta. A jednak wiem o rzeczach, o których nie masz pojęcia pomimo całej znajomości runów, Dawnej Mowy i wszystkiego, czego nauczyłaś się od czarnoksiężników i w obcych krajach.

— To prawda, Moss.

— No właśnie. Otóż, kiedy rozmawiałyśmy o tym, w jaki sposób czarownica rozpoznaje czarownicę, a moc rozpoznaje moc,

powiedziałam o tym, który właśnie odszedł, że nie jest teraz żadnym magiem, bez względu na to, czy był nim kiedyś. Ty jednak nie chciałaś przyznać mi racji. Ale ja miałam rację, prawda?

— Tak.

— Tak, miałam.

— Sam to powiedział.

— Oczywiście, że powiedział. Muszę przyznać, że on nie kłamie ani nie mówi, że to jest tamtym, a tamto jest tym, aż człowiek nie wie, o co chodzi. Nie należy też do tych, co próbują powozić furą bez wołu. Ale powiem otwarcie: cieszę się, że odszedł, bo tak nie mogło być, nie mogło tak być dłużej, bo było z nim teraz inaczej i w ogóle.

Pomijając przenośnię o powożeniu furą bez wołu, Tenar nie miała pojęcia, o czym mówi stara kobieta.

— Nie wiem, dlaczego tak się boi — powiedziała. — To znaczy, częściowo wiem, ale nie rozumiem, dlaczego czuje taki wstyd. Wiem jednak, że uważa, iż powinien był umrzeć. I wiem, że życie daje przyjemność i chwałę, kiedy ma się pracę do wykonania i jest się w stanieją wykonać. A jeśli człowiek nie może wykonać pracy, jeśli nie ma takiej możliwości, to co mu pozostaje? Trzeba coś mieć…

Moss słuchała i potakiwała niczym słowom mądrości, lecz po małej pauzie rzekła:

— Dziwna to rzecz dla starca, być piętnastoletnim chłopcem! Bardzo dziwna!

Tenar o mało nie zapytała:", Co ty wygadujesz, Moss?", lecz coś jej przeszkodziło. Uświadomiła sobie, że nasłuchiwała powrotu, Geda z jego włóczęgi po stoku góry, że nasłuch wiała dźwięku jego głosu, że jej ciało zaprzeczało jego nieobecności. Spojrzała na czarownicę — bezkształtną bryłę czerni usadowioną na krześle Ogiona przy pustym kominku.

— Ach — westchnęła, gdyż raptem przyszło jej do głowy mnóstwo myśli naraz.

— Oto, dlaczego — rzekła. — Oto, dlaczego ja nigdy… Po długiej chwili milczenia, Tenar odezwała się:

— Czy oni… czy czarodzieje… czy to jest zaklęcie?

— A jakże, a jakże, kochanie — odrzekła Moss. — Zaczarowują siebie samych. Niektórzy powiedzą ci, że dokonują wymiany, przypominającej małżeństwo odwrócone wstecz, ze ślubami i wszystkim, i stąd czerpią swoją moc. Ale dla mnie to brzmi fałszywie — jak zajmowanie się Starymi Mocami bardziej, niż czyni to prawdziwy czarownik. A stary mag, on powiedział mi, że nie robią nic podobnego. Chociaż znałam kilka czarownic, które to robiły i nie popadły przez to w żadne wielkie nieszczęście.

— Te, które mnie wychowywały, robiły to, przyrzekając dziewictwo.

— O, tak, żadnych mężczyzn, powiedziałaś mi, a tymczasem one… Straszne!

— Ale dlaczego, ale dlaczego… dlaczego nigdy nie pomyślałam… Czarownica zaśmiała się głośno.

— Bo to jest ich moc, kochanie. Nie myślisz! Nie możesz! I oni też nie mogą, skoro raz rzucili swój czar. Jak mogliby? Obdarzeni swoją mocą? Nie mogłoby tak być, prawda? Nie mogłoby tak być. Nie dostajesz, póki nie oddasz tyle samo. Oczywiście, że tak właśnie jest. Więc czarownicy wiedzą o tym, ludzie posiadający moc wiedzą o tym lepiej niż ktokolwiek. Ale wiesz, z drugiej strony, niepokojącą rzeczą jest dla mężczyzny nie być mężczyzną, bez względu na to, czy potrafi przywoływać na dół słońce z nieba. Więc usuwają to dokładnie ze swoich myśli za pomocą zaklęć związywania. Właśnie tak. Nawet w tych złych czasach, kiedy czary schodzą na manowce i w ogóle, nie słyszałam jeszcze o czarodzieju, który złamałby to zaklęcie pragnąc użyć mocy dla zaspokojenia chuci swojego ciała. Nawet najgorszy bałby się to zrobić. Oczywiście są tacy, co będą wypróbowywać swoje własne zaklęcia uwodzenia na wiejskich kobietach, ale z tego, co widzę, nie ma z tych zaklęć zbyt wielkiej pociechy. Sprawa polega na tym, że jedna moc jest równie potężna jak każda inna, a każda idzie własną drogą. Tak ja to widzę.

Tenar siedziała rozmyślając nad tym, co usłyszała. W końcu powiedziała:

— Oni oddzielają się od innych.

— Tak. Czarnoksiężnik musi to robić.

— Ale ty nie.

— Ja? Ja jestem tylko starą czarownicą, kochanie.

— Jak starą?

Po chwili głos Moss odezwał się w ciemności z nutką rozbawienia:

— Na tyle starą, by unikać kłopotów.

— Ale powiedziałaś… Nie żyłaś w celibacie.

— Co to jest, kochanie?

— Jak czarnoksiężnicy.

— Och, nie. Nie, nie! Nigdy nie było, na co patrzeć, ale był sposób, w jaki ja mogłam patrzeć na nich… nie czarując, wiesz, kochanie, wiesz, co mam na myśli… Jest taki sposób patrzenia, że on musiał do mnie przyjść. To było pewne jak to, że wrona zakracze. Za dzień albo dwa, albo trzy musiał do mnie przyjść — „potrzebuję lekarstwa na parchy mojego psa", „potrzebuję naparu z ziół dla mojej chorej babuni" — lecz ja wiedziałam, czego naprawdę potrzebowali i jeśli mi się podobali, mogli to dostać. I dla przyjemności, dla przyjemności — nie jestem jedną z nich, chociaż może niektóre czarownice są, ale one hańbią nasze rzemiosło. Wykonuję swoje rzemiosło dla zapłaty, lecz doświadczam rozkoszy za darmo — oto, co

mówię. Nie, żeby to była sama przyjemność. Szalałam za pewnym mężczyzną przez długi czas, przez lata. Był przystojny, ale miał twarde, zimne serce. Nie żyje od dawna. Ojciec tego Townsenda, co wrócił, żeby tu zamieszkać, znasz go. Och, tak bardzo pragnęłam mężczyzny, że rzeczywiście posłużyłam się swoją sztuką, zużyłam na niego niejedno zaklęcie, ale wszystko na próżno. Wszystko na nic. Nie ma krwi w rzepie… A tutaj, do Re Albi przybyłam jako dziewczyna przede wszystkim dlatego, że popadłam w tarapaty z mężczyzną w Porcie Gont. Nie mogę jednak o tym mówić, bo jego krewni byli bogatymi i potężnymi ludźmi. To oni mieli moc, nie ja! Nie chcieli, żeby ich syn wiązał się z taką pospolitą dziewką jak ja, nazywali mnie plugawą flądrą i usunęliby mnie z drogi, jak gdyby zabijali kota, gdybym nie uciekła tu, na górę. Lecz och, naprawdę podobał mi się ten chłopak, ze swoimi okrągłymi, gładkimi ramionami i nogami i wielkimi, czarnymi oczyma. Widzę go wyraźnie mimo upływu tych wszystkich lat…

Przez długą chwilę milczały w ciemności.

— Kiedy miałaś mężczyznę, Moss… Czy musiałaś zrezygnować ze swojej mocy?

— Ani trochę — odparła zadowolona z siebie czarownica.

— Ale mówiłaś, że nie dostaje się, jeżeli sienie odda. Czy zatem mężczyźni różnią się tym od kobiet?

— A czym się nie różnią?

— Nie wiem — rzekła Tenar. — Wydaje mi się, że wymyślamy większość z tych różnic, a później na nie narzekamy. Nie rozumiem, dlaczego Sztuka Magiczna, dlaczego moc powinna być różna dla czarowników i czarownic. Chyba, że sama moc jest różna. Albo sztuka.

— Mężczyzna rozdaje, kochanie. Kobieta zbiera. Tenar siedziała milcząca, ale nie usatysfakcjonowana.

— Nasza moc wydaje się być niewielką przy ich mocy — powiedziała Moss. — Ale sięga głębiej. Cała jest korzeniami. Jest jak stare zarośla jeżyn. A moc czarnoksiężnika jest jak jodła: może być wielka, wysoka i wspaniała, ale powali ją burza. Nic nie zabije krzaku jeżyny. — Wydała z siebie chichot, najwyraźniej zadowolona ze swego porównania. — Dobrze, zatem! — rzekła dziarsko. — Więc jak powiedziałam, może i dobrze się stało, że poszedł swoją drogą i usunął się z twojej drogi, żeby ludzie w miasteczku nie zaczęli plotkować.

— Plotkować?

— Jesteś szanowaną kobietą, kochanie, a reputacja jest bogactwem kobiety.

— Jej bogactwem — powtórzyła Tenar w ten sam obojętny sposób. Później powiedziała to raz jeszcze: — Jej bogactwem. Jej skarbem. Jej wartością… — Nie mogąc siedzieć bez ruchu, wstała

rozprostowując plecy i ramiona. — Jak smoki które znalazły jaskinię, które zbudowały fortece dla swoich skarbów, żeby być bezpiecznymi, żeby spać na swoim skarbie, żeby stać się swoim skarbem. Zbieraj, zbieraj i nigdy nie rozdawaj!

— Poznasz wartość dobrej reputacji — odezwała się oschle, Moss — kiedy ją stracisz. Ona nie jest wszystkim. Ale trudno zapełnić miejsce po niej.

— Czy zrezygnowałabyś z bycia czarownicą, aby być szanowaną, Moss?

— Nie wiem — odrzekła po chwili Moss w zamyśleniu. — Wątpię, czy wiedziałabym, jak. Być może mam jeden dar, ale nie mam drugiego.

Tenar podeszła do niej i chwyciła ją za ręce. Zaskoczona tym gestem, Moss wstała odsuwając się nieco, lecz Tenar przyciągnęła ją do siebie i ucałowała w policzek.

Starsza kobieta podniosła jedną rękę i nieśmiało dotknęła włosów Tenar — jedna pieszczota, tak jak miał zwyczaj robić Ogion. Potem odsunęła się, mruknęła, że musi iść do domu i zaczęła zbierać się do wyjścia.

— Czy wolałabyś, żebym została — zapytała przy drzwiach — skoro kręcą się tu ci cudzoziemcy?

— Idź — odparła Tenar. — Jestem przyzwyczajona do cudzoziemców.

Tej nocy, kiedy leżała zasypiając, wkroczyła znowu w niezmierzone otchłanie wiatru i światła, lecz światło było zadymione, czerwone, pomarańczowo-czerwone i bursztynowe, jak gdyby samo powietrze było ogniem. Była w tym żywiole i jednocześnie jej nie było. Leciała na wietrze i była wiatrem, powiewem wiatru, siłą, która się uwolniła. I nie wołał jej żaden głos.

Rankiem usiadła na progu rozczesując włosy. Nie była blondynką, jak większość Kargijczyków. Miała bladą cerę, lecz jej włosy były ciemne. Wciąż były ciemne i niemal całkiem pozbawione nitek siwizny. Umyła je używając wody, którą grzała, aby uprać w niej odzież, bowiem postanowiła poświęcić ten dzień na pranie, skoro Ged odszedł i jej dobra reputacja była bezpieczna. Wysuszyła włosy na słońcu, szczotkując je. W gorący, wietrzny poranek, iskry podążały za szczotką i cichutko strzelały na rozwianych końcach włosów kobiety.

Therru podeszła i stanęła za nią przyglądając się jej. Tenar odwróciła się i ujrzała ją tak przejętą, że niemal drżącą.

— O co chodzi, ptaszynko?

— Latający ogień — powiedziało dziecko z obawą albo triumfem. — Na całym niebie!

— To tylko iskry z moich włosów — odrzekała trochę zaskoczona Tenar. Therru uśmiechnęła się. „Chyba nigdy wcześniej tego nie

robiła” — pomyślała kobieta. Dziewczynka wyciągnęła obie ręce, tę całą i tę poparzoną, jak gdyby chciała dotknąć i podążyć za lotem czegoś, co było wokół rozpuszczonych, unoszących się na wietrze włosów Tenar.

— Ognie, wszystkie latające — powtórzyła i zaśmiała się.

W tym momencie Tenar po raz pierwszy postawiła sobie pytanie — jak Therru ją widzi, jak widzi świat? I zdała sobie sprawę z tego, ze nie wie, że nie może wiedzieć, co widzi się okiem, które zostało wypalone. I wróciły do niej słowa Ogiona: „Będą się jej lękać”, lecz nie odczuwała strachu przed dzieckem. Zamiast tego ponownie wyszczotkowała włosy, energicznie, tak żeby poleciały iskry, i raz jeszcze usłyszała ochrypły, radosny śmiech.

Uprała prześcieradła, ścierki do naczyń, swoją bieliznę i zapasową suknię oraz sukienki Therru i, upewniwszy się, że kozy są na pastwisku, rozłożyła to wszystko na łące, aby wyschło na trawie. Obciążyła rzeczy kamieniami, gdyż porywisty wiatr wiał z późno letnią gwałtownością.

Therru rosła. Wciąż była mała i szczupła jak na swój wiek — musiała mieć około ośmiu lat — lecz w ciągu ostatnich paru miesięcy, kiedy jej rany w końcu się zagoiły i nie sprawiały bólu, zaczęła więcej biegać tu i tam i więcej jeść. Szybko wyrastała ze swoich ubrań, które donaszała po najmłodszym dziecku Lark, pięcioletniej dziewczynce.

Tenar pomyślała, że mogłaby pójść do miasteczka, pogawędzić z Tkaczem Fanem i zobaczyć, czy nie ma on resztek tkaniny, które dałby w zamian za pomyje, które ona wysyła dla jego świń. Chciałaby uszyć coś dla Therru. I chciałaby również porozmawiać z Fanem. Śmierć Ogiona i choroba Geda zatrzymywały ją z dala od miasteczka i ludzi, których tam znała. Odciągały ją jak zawsze od tego, co znała, co potrafiła robić, od świata, który wybrała by w nim żyć — świata nie królów i królowych, potężnych mocy i dominiów, wyższych kunsztów, podróży i przygód, lecz zwyczajnych ludzi robiących zwyczajne rzeczy, jak wychodzenie za mąż, wychowywanie dzieci, prowadzenie gospodarstwa, szycie i robienie przepierki. Pomyślała to z pewnego rodzaju mściwością, jak gdyby chciała, żeby usłyszał ją Ged, który bez wątpienia znajdował się teraz w połowie drogi do Doliny Środkowej. Wyobraziła go sobie na drodze, nie opodal doliny, w której ona i Therru spały. Wyobraziła sobie szczupłego mężczyznę o włosach koloni popiołu, idącego samotnie i w milczeniu, z połową bochenka chleba czarownicy w kieszeni i brzemieniem cierpień w sercu.

„Być może nadszedł czas, żebyś się dowiedział — pomyślała. — Czas, żebyś się dowiedział, że nie nauczyłeś się niczego na Roke!”

Kiedy tak przemawiała do niego w myślach, inne wyobrażenie przyszło jej do głowy. Zobaczyła obok Geda jednego z mężczyzn, którzy stali na tej drodze czekając na nią i Therru. Mimowolnie

krzyknęła: — Ged, uważaj! — bojąc się o niego, nie miał bowiem przy sobie nawet kija. To nie tego wielkiego typa o owłosionych wargach ujrzała, lecz innego spośród nich, dość młodego mężczyznę w skórzanej czapce, który intensywnie wpatrywał się w Therru. Myślała o tym wszystkim, a kiedy upewniła się, że Therru jest z Heather, wyruszyła do miasta. Podniosła wzrok, by ujrzeć małą chatkę tuż obok domu Fana, w której mieszkała, kiedy tutaj żyła. Pomiędzy nią a domem przechodził jakiś człowiek. Był to mężczyzna, którego pamiętała, wyobrażała sobie, mężczyzna w skórzanej czapce. Mijał chatkę i dom tkacza. Nie widział jej. Obserwowała, jak nie zatrzymując się szedł ulicą miasteczka. Zmierzał albo do zakrętu drogi, albo do dworu. Tenar śledziła go z pewnej odległości, dopóki nie przekonała się, jaki wybrał kierunek. Poszedł dalej, pod górę, w kierunku posiadłości Władcy Re Alb i, a nie drogą, którą szedł Ged.

Zawróciła, zatem i złożyła wizytę staremu Fanowi. Choć prawie pustelnik, jak wielu tkaczy, Fan był na swój nieśmiały sposób uprzejmy dla kargijskiej dziewczyny i jednocześnie czujny. Duż ludzi strzegło jej reputacji! Fan, teraz niemalże ślepy, miał terminatorkę, która wykonywała większość roboty tkackiej. Cieszył się, że ma gościa. Usiadł uroczyście na starym rzeźbionym krześle, pod przedmiotem, od którego pochodziło jego imię użytkowe: bardzo dużym, malowanym wachlarzem, skarbem jego rodziny — darem, jak głosiła fama, hojnego korsarza dla jego dziadka za pośpieszne utkanie żagla w czas potrzeby.Rozłożony wachlarz wisiał na ścianie. Delikatnie malowani mężczyźni i kobiety, w przezroczystych różowych, jadeitowych i lazurowych szatach, wieże, mosty i chorągwie Wielkiego Portu Havnor — wszystko to Tenar widziała wiele razy. Często przyprowadzano tu podróżnych, żeby obejrzeli wachlarz. Wszyscy zgodnie twierdzili, że jest to najpiękniejsza rzecz w miasteczku. Podziwiała go wiedząc, że sprawi to przyjemność staremu człowiekowi, a także dlatego, że rzeczywiście był bardzo piękny, zaś starzec rzekł:

— Niewiele równie pięknych rzeczy widziałaś w swoich podróżach, co?

— Nie, nie. W Dolinie Środkowej nie ma niczego podobnego — odrzekała.

— Kiedy byłaś tutaj, w mojej chatce, czy pokazałem ci kiedyś jego drugą stronę?

— Drugą stronę? Nie — powiedziała i nie było już innej rady — musiał zdjąć wachlarz ze ściany. Ale to ona musiała wejść na krzesło i odczepić go starannie, ponieważ starzec nie dość dobrze widział i nie był w stanie tego zrobić. Kierował nią z niepokojem. Podała starcowi wachlarz, a ten przyjrzał mu się bacznie swoim zamglonym wzrokiem, złożył go do połowy, aby się upewnić, że żeberka poruszają się

swobodnie, następnie złożył, odwrócił i wręczył kobiecie.

— Rozłóż go powoli — powiedział.

Tak też zrobiła.

Smoki drgnęły, kiedy poruszyły się fałdy wachlarza. Namalowane na pożółkłym jedwabiu, bladoczerwone, niebieskie i zielone smoki ustawiły się tam, gdzie po drugiej stronie stały postacie ludzi, pośród chmur i górskich wierzchołków.

— Podnieś go do światła — rzekł stary Fan.

Zrobiła to i ujrzała dwie strony, dwa obrazy zlewające się w jeden pod wpływem światła sączącego się przez jedwab. Chmury i szczyty były wieżami miasta, mężczyźni i kobiety byli uskrzydleni, a smoki spoglądały ludzkimi oczyma.

— Widzisz?

— Widzę — odrzekła półgłosem.

— Ja teraz nie mogę, ale widzę to oczyma duszy. Niewielu osobom to pokazuję.

— Jest cudowne.

— Zamierzałem pokazać to staremu magowi — powiedział Fan. — Nigdy tego nie zrobiłem.

Tenar raz jeszcze odwróciła wachlarz do światła, po czym umieściła go na dawnym miejscu tak, że smoki ukryły się w mroku, a mężczyźni i kobiety spacerowali w dziennym świetle. Fan zabrał ją ze sobą do chlewa, żeby obejrzała jego świnie, ładną parę tuczącą się na jesienne kiełbasy. Dyskutowali nad wadami Heather jako roznosicielki pomyj dla świń. Tenar powiedziała, że potrzebuje skrawka materiału na sukienkę dla dziecka i tkacz z przyjemnością wyciągnął dla niej pełną szerokość cienkiego lnianego płótna pościelowego, podczas gdy młoda kobieta, która była jego terminatorką i która zdawała się przejąć zarówno jego brak towarzyskości jak i jego rzemiosło, z nachmurzoną twarzą równomiernie klekotała przy szerokim warsztacie tkackim.

W drodze do domu Tenar wyobraziła sobie Therru siedzącą przy tych krosnach. To byłoby przyzwoite źródło utrzymania. Przeważająca część pracy było nudna, wciąż taka sama, lecz tkactwo stanowiło zaszczytne zajęcie, a w niektórych rękach było szlachetną sztuką. Ludzie spodziewali się po tkaczach tego, że będą odrobinę nieśmiali, często nieżonaci i zamknięci w sobie przy swojej pracy, a pomimo tego cieszyli się oni szacunkiem. Poza tym pracując w domu przy warsztacie tkackim, Therru nie musiałaby pokazywać swojej twarzy. Tylko, co z kleszczowatą dłonią? Czy ta dłoń mogłaby obsługiwać krosna? I czy dziewczynka przez całe życie miała się ukrywać?

Ale co miała robić? „Wiedząc, czym musi być jej życie…”.

Tenar zmusiła się do myślenia o czymś innym. O sukience, którą uszyje. Sukienki córeczki Lark uszyte były z grubego samodziału, w

kolorze jednolitym jak błoto. Mogłaby ufarbować połowę tego płótna — może na żółto albo czerwono — marzanną z bagien; a później obszerny fartuch lub biała sukienka z falbanką. Czy dziecko miało być ukryte przy krosnach w mroku i nigdy nie mieć falbanki przy spódniczce? Jeśli będzie kroić rozważnie, zostałoby dosyć na zmianę bielizny i drugi fartuch.

— Therru! — zawołała zbliżając się do domu. Kiedy wychodziła, Heather i Therru były na żamowcowym pastwisku. Zawołała ponownie, pragnąc pokazać Therru materiał i opowiedzieć jej o sukience. Z chłodni nad potokiem nadeszła Heather. Rozglądała się dookoła i ciągnęła na sznurku Sippy.

— Gdzie jest Therru?

— Z tobą — odparła Heather tak pogodnie, że Tenar rozejrzała się szukając wzrokiem dziecka, zanim zrozumiała, że Heather nie ma pojęcia, gdzie ona jest i po prostu wyraziła swoje życzenie.

— Gdzie ją zostawiłaś?

Heather nie wiedziała. Nigdy przedtem nie porzucała Therru; zdawała się rozumieć, że należy ją mieć wciąż mniej lub bardziej na oku, niczym kozę. Lecz może to właśnie Therru rozumiała to przez cały czas i trzymała się w zasięgu wzroku? Tak myślała Te-nar, kiedy, nie doczekawszy się od Heather żadnej zrozumiałej informacji, zaczęła szukać dziecka i wołać je, nie otrzymując jednak żadnej odpowiedzi.Tak długo, jak mogła, trzymała się z dala od krawędzi urwiska. Pierwszego dnia ich pobytu tutaj wytłumaczyła, Therru, że nie wolno jej nigdy samej schodzić spadzistymi polami rozciągającymi się poniżej domu ani wzdłuż stromej granicy na północ od niego, ponieważ patrząc jednym okiem nie można z całkowitą pewnością ocenić odległości czy też głębokości. Dziewczynka była posłuszna. Zawsze była posłuszna. Ale dzieci zapominają. Nie, ona by nie zapomniała. Ale mogła dostać się w pobliże krawędzi nie wiedząc o tym. Nie, na pewno poszła do domu Moss. Na pewno — była tam sama zeszłej nocy, więc poszła tam znowu. Ależ tak, oczywiście. Nie było jej tam. Moss jej nie widziała.

— Znajdę ją, znajdę ją, kochanie — zapewniła czarownica. Ale zamiast pójść na leśną ścieżkę, żeby poszukać dziecka, czego spodziewała się po niej Tenar, Moss zaczęła związywać włosy w węzeł przygotowując się do rzucenia zaklęcia znajdowania.

Tenar pobiegła z powrotem do domu Ogiona, wciąż wołając. I tym razem spojrzała w dół na strome pola poniżej domu, mając nadzieję ujrzeć tam małą figurkę, skuloną i bawiącą się między otoczakami. Lecz wszystkim, co zobaczyła na krańcu tych spadzistych pól, było morze — pofałdowane i mroczne, więc zakręciło jej się w głowie i poczuła rosnące przygnębienie. Poszła na grób Ogiona i trochę dalej leśną ścieżką, wciąż nawołując. Kiedy wróciła przez łąkę,

pustułka polowała w tym samym miejscu, w którym Ged obserwował ją ostatnio. Tym razem rzuciła się na zdobycz, uderzyła i wzbiła się w powietrze z jakimś niewielkim stworzeniem w szponach. Prędko pofrunęła do lasu. „Karmi swoje młode" — pomyślała Tenar. Wszelkiego rodzaju myśli przechodziły jej przez głowę, niezwykle żywe i precyzyjne. Mijała suche już pranie, rozłożone na trawie. Musi je zebrać przed wieczorem. Musi dokładniej poszukać naokoło domu, chłodni i obórki. To była jej wina. To ona spowodowała to, co się stało, tym, że myślała o zrobieniu z Themi tkaczki, zamknięciu jej w odosobnieniu, w ciemności, żeby pracowała, żeby była szanowana. Kiedy Ogion powiedział: „Naucz ją, naucz ją wszystkiego, Tenar!". Kiedy wiedziała, ze zło, które nie może być naprawione, musi zostać przekroczone. Kiedy wiedziała, że to dziecko zostało jej darowane, a ona zaniedbała swoje obowiązki, zawiodła jego zaufanie, straciła je, straciła jedyny wielki skarb. Przeszukawszy każdy kąt pozostałych budynków, weszła do domu, ponownie zajrzała do alkowy i rozejrzała się dookoła drugiego łóżka. Nalała sobie wody, ponieważ jej usta były suche jak piasek. Za drzwiami trzy kije z drewna — laska Ogiona i kije podróżne — poruszyły się w cieniu i jeden z nich powiedział:

— Tutaj.

Dziecko kuliło się w tym ciemnym kącie, wciągnięte w głąb własnego ciała, z głową przechyloną do ramienia, szczelnie ściągniętymi rękoma i nogami i zamkniętym jedynym okiem. Zdawało się być nie większe od małego pieska.

— Ptaszku, wróbelku, płomyczku, co ci jest? Co się stało? Co oni ci teraz zrobili?

Tenar objęła małe ciałko, zamknięte i sztywne jak kamień, kołysząc je w ramionach.

— Jak mogłaś tak mnie przestraszyć? Jak mogłaś chować się przede mną? Och, byłam taka rozgniewana!

Zapłakała, a jej łzy spadały na dziewczęcą twarzyczkę.

— Och, Therru, Therru, Therru, nie kryj się przede mną!

Dreszcz przebiegł przez ściągnięte członki i powoli zaczęły się rozluźniać. Therru poruszyła się i nagle przylgnęła do Tenar przywierając ciaśniej, aż ściskała ją rozpaczliwie. Nie płakała. Nigdy nie płakała. Być może wypalono z niej łzy, nie miała żadnej. Wydała jednak z siebie przeciągły, jękliwy, łkający dźwięk. Tenar trzymała ją kołysząc. Rozpaczliwy uścisk rozluźnił się bardzo, bardzo powoli. Głowa spoczęła na piersi Tenar.

— Powiedz mi — mruknęła kobieta, a dziecko odpowiedziało swoim zduszonym, chrapliwym szeptem:

— On tu przyszedł.

Pierwsza myśl Tenar dotyczyła Geda i jej myśli, wciąż poruszające się z prędkością strachu, uchwyciły to, dostrzegły kim „on" był dla

niej i uśmiechnęły się szerokim, wymuszonym uśmiechem, lecz minęły to w przelocie, podążając na poszukiwanie.

— Kto tu przyszedł?

Żadnej odpowiedzi, tylko pewnego rodzaju wewnętrzne drżenie.

— Mężczyzna — powiedziała spokojnie Tenar. — Mężczyzna w skórzanej czapce.

Therru kiwnęła głową.

— Widziałyśmy go na drodze, kiedy szłyśmy tutaj. Żadnej reakcji.

— Czterej mężczyźni — ci, na których byłam zła, pamiętasz? Był jednym z nich.

Przypomniała sobie jednak, jak Therru trzymała głowę opuszczoną kryjąc poparzoną stronę twarzy, nie podnosząc wzroku, tak jak zawsze robiła przy obcych.

— Znasz go, Therru?

— Tak.

— Od… od czasu, kiedy mieszkałaś w obozie nad rzeką?

Jedno skinienie głowy.

Ramiona Tenar zacisnęły się wokół dziecka.

— Przyszedł tutaj? — zapytała i cały strach, jaki czuła, przemienił się w gniew, we wściekłość, która płonęła w jej ciele niczym słup ognia. Zaśmiała się — „Ha!" — i przypomniała sobie w tym momencie Kalessina i jego śmiech.

Ale nad ogniem trzeba zapanować. A dziecko trzeba pocieszyć.

— Czy on cię widział?

— Schowałam się.

Po chwili Tenar powiedziała głaszcząc Therru:

— On cię nigdy nie dotknie, Therru. Zrozum mnie i uwierz mi: on nigdy więcej cię nie dotknie. Nigdy więcej cię nie zobaczy, chyba że ja będę z tobą, a wtedy będzie miał do czynienia ze mną. Czy rozumiesz, moja kochana, moja drogocenna, moja piękna? Nie musisz się go bać. Nie wolno ci się go bać. On chce, żebyś się go bała. Żywi się twoim strachem. Będziemy go głodzić, Therru. Będziemy morzyć go głodem, dopóki nie pożre sam siebie. Dopóki nie udławi się ogryzając kości własnych rąk… Ach, ach, ach, nie słuchaj mnie teraz, jestem tylko zła, tylko zła… Jestem czerwona? Czy jestem teraz czerwona jak Gontyjka? Jak smok, jestem czerwona? — Próbowała żartować; a Therru spojrzała jej w twarz, podnosząc swoją drżącą, zmiętą przez ogień towarzyszkę i powiedziała:

— Tak. Jesteś czerwonym smokiem.

Myśl o tym, że mężczyzna przyszedł do domu, był w domu, powrócił, żeby przyjrzeć się swojemu dziełu, być może myślał o jego poprawieniu, myśl ta, ilekroć powracała do Tenar, przychodziła mniej jako myśl, a bardziej jako atak mdłości. Lecz obrzydzenie wypaliło się w gniewie. Wstały i umyły się, a Tenar doszła do wniosku, że tym, co

właśnie odczuwa ponad wszystko, jest głód.

— Mam pusty żołądek — rzekła do Therru i rozłożyła przed nimi obfity posiłek składający się z chleba z serem, zimnej fasoli w oleju i ziołach, pokrojonej cebuli i suszonej kiełbasy. Therru zjadła sporo, a Tenar jeszcze więcej.

Kiedy sprzątnęły, powiedziała:

— Na razie, Therru, wcale nie będę cię opuszczać, a ty nie będziesz opuszczać mnie. Dobrze? Powinnyśmy obie pójść teraz do domu Cioteczki Moss. Rzuciła czar, żeby cię odnaleźć i nie musi już zawracać sobie nim głowy, lecz może o tym nie wie.

Therru przestała się poruszać. Rzuciła jedno spojrzenie na otwarte wejście i cofnęła się przed nim.

— Musimy też przynieść pranie. W drodze powrotnej. A kiedy wrócimy, pokażę ci materiał, który dzisiaj dostałam. Na sukienkę. Na nową sukienkę, dla ciebie. Czerwoną sukienkę.

Dziecko stało kurcząc się w sobie.

— Kiedy się ukrywamy, Therru, karmimy go. My będziemy jeść. I będziemy go głodzić. Chodź ze mną.

Trudność, bariera tego wyjścia na zewnątrz była dla Therru olbrzymia. Wzdrygnęła się przed nim, zakryła twarz, dygotała, potykała się. Okrucieństwem było zmuszać ją, by to przekroczyła, okrucieństwem wypędzać ją z ukrycia, lecz Tenar nie miała litości.

— Chodź — rzekła i dziecko ruszyło.

Ręka w rękę poszły przez pola do domu Moss. Raz czy dwa razy Therru zdołała podnieść głowę.

Moss nie była zdziwiona ich widokiem, ale zachowywała się dziwnie. Kazała Therru pobiec do wnętrza domu, żeby zobaczyć młode pisklęta kury z pierścieniem na szyi i wybrać z nich dwa dla siebie; Therru natychmiast zniknęła w tym schronieniu.

— Cały czas była w domu — oznajmiła Tenar. — Schowała się.

— Dobrze zrobiła — odrzekła Moss.

— Dlaczego? — spytała szorstko Tenar. Nie była w nastroju do ukrywania się.

— W pobliżu… w pobliżu są istoty — rzekła czarownica nie złowrogo, lecz z niepokojem.

— W pobliżu są łotrzy — odparła Tenar, a Moss spojrzała na nią i cofnęła się nieco.

— No, no — powiedziała. — No, kochanie. Masz wokół siebie ogień, blask ognia wokół twojej głowy. Rzuciłam czar, żeby znaleźć dziecko, ale nie poszedł dobrze. W jakiś sposób poszedł własną drogą i nie wiem jeszcze, czy dobiegł do końca. Jestem oszołomiona. Widziałam wielkie istoty. Szukałam małej dziewczynki, ale zobaczyłam je, latające w górach, latające w chmurach. A teraz ty masz coś wokół siebie, jakby twoje włosy były w ogniu. Co jest nie

tak, co się stało?

— Mężczyzna w skórzanej czapce — rzekła Tenar. — Dość młody mężczyzna. Dosyć przystojny. Na ramieniu kubraka ma rozdarty szew. Widziałaś go w pobliżu?

Moss skinęła głową.

— Zatrudnili go przy sianokosach na dworze.

— Mówiłam ci, że ona — Tenar spojrzała na dom — była z kobietą i dwoma mężczyznami? To jeden z nich.

— Chcesz powiedzieć, jeden z tych, co…

— Tak.

Moss stanęła jak drewniany posąg starej kobiety.

— Nie wiem — powiedziała w końcu. — Myślałam, że wiem dosyć. Ale to nieprawda. Po co… Po co przyszedł? Żeby ją zobaczyć?

— Jeśli jest ojcem, być może przyszedł, żeby jej zażądać.

— Zażądać jej?

— Jest jego własnością.

Tenar mówiła jednostajnie. Podniosła oczy na masyw Góry Gont.

— Myślę jednak, że to nie ojciec. Myślę, że to ten drugi. Ten, który przyszedł i powiedział mojej przyjaciółce w wiosce, że dziecko „zraniło się".

Moss była wciąż oszołomiona, wciąż przestraszona swoim własnym zaklęciem i wizją zawziętej Tenar, obecnością ohydnego zła. Z zatroskaniem potrząsnęła głową.

— Nie wiem — powiedziała. — Myślałam, że wiem dosyć. Jak on mógł wrócić?

— Żeby jeść — odrzekła Tenar. — Żeby jeść. Nie będę więcej zostawiać jej samej. Ale jutro, Moss, może poproszę cię, żebyś zatrzymała ją tu jakąś godzinę, wczesnym rankiem. Czy byłabyś tak dobra i zrobiła to, kiedy ja pójdę do dworu?

— Tak, kochanie. Oczywiście. Mogłabym nałożyć na nią czar ukrycia, jeśli chcesz. Ale… Ale oni są tam na górze, wielcy ludzie z Królewskiego Miasta…

— W takim razie mogą zobaczyć, jak żyje prosty lud — odparła Tenar i Moss ponownie cofnęła się, jak gdyby przed prądem iskier przyniesionych w jej stronę z ognia na wietrze.

9. ODNAJDYWANIE SŁÓW

Rozciągnięci długim sznurem w poprzek zbocza, kosili siano na lordowskiej łące, w jaskrawych cieniach poranka. Z tej odległości Tenar widziała, że wśród kosiarzy są trzy kobiety, jeden chłopiec i zgarbiony, posiwiały mężczyzna. Wspięła się wśród rzędów skoszonego siana i zapytała jedną z kobiet o mężczyznę w skórzanej czapce.

— Ach, ten z Yalmouth — powiedziała kosiarka. — Nie wiem, gdzie się podział.

Zbliżyli się inni, zadowoleni z przerwy w pracy. Żadne z nich nie wiedziało, gdzie jest mężczyzna z Doliny Środkowej ani dlaczego nie kosi razem z nimi.

— Tacy długo nie wytrzymują — powiedział mężczyzna. — Niezaradny. Znasz go, pani?

— Nie z własnej woli — odrzekła Tenar. — Kręcił się koło mojego domu, przestraszył dziecko. Nie wiem nawet, jak się nazywa.

— Nazywa się Handy — wyrwał się chłopiec. Inni patrzyli na nią w milczeniu albo odwrócili wzrok. Zaczynali zdawać sobie sprawę z tego, kim musi być ta kargijska kobieta w domu starego maga. Byli dzierżawcami Władcy Re Albi, nieufnymi wobec wieśniaków, źle patrzącymi na wszystko, co miało coś wspólnego z Ogionem. Naostrzyli kosy, odwrócili się, ponownie rozciągnęli się długim sznurem i zabrali się energicznie do pracy. Tenar zeszła ze zboczy, minęła szereg drzew orzechowych i skierowała się ku drodze. Stał na niej mężczyzna i najwyraźniej czekał na kogoś. Serce Tenar zadrżało. Przyspieszyła kroku. Był to Aspen, czarodziej z dworu. Stał we wdzięcznej pozie, oparłszy się na swojej wysokiej, sosnowej lasce w cieniu przydrożnego drzewa. Kiedy kobieta wyszła na drogę, zapytał:

— Szukasz pracy?

— Nie.

— Mój pan potrzebuje rąk do pracy w polu. Ta upalna pogoda wkrótce się zmieni, siano musi być zebrane.

Dla Gohy, wdowy po Flincie, to, co powiedział, było odpowiednie, więc Goha odpowiedziała mu grzecznie:

— Bez wątpienia twoja zręczność zdoła odwrócić deszcz od pól do czasu, kiedy siano zostanie zebrane.

Wiedział jednak, że była kobietą, której Ogion umierając wyjawił swoje prawdziwe imię, a skoro tak, to jego słowa były tak obrzydliwe i rozmyślnie fałszywe, że mogły służyć za wyraźne ostrzeżenie. Miała właśnie zapytać go, czy nie wie, gdzie jest mężczyzna imieniem Handy. Zamiast tego powiedziała:

— Przyszłam, żeby powiedzieć tutejszemu nadzorcy, że człowiek,

którego przyjął do pracy przy sianokosach, opuścił moją wieś jako złodziej i coś jeszcze gorszego i nie jest godzien przebywać w pobliżu tego domu. Ale wygląda na to, że ten człowiek się wyniósł.

Spokojnie przypatrywała się Aspenowi, dopóki nie odpowiedział z wysiłkiem:

— Nie wiem nic o tych ludziach.

Tego ranka po śmierci Ogiona sądziła, że Aspen jest wysokim, przystojnym młodzieńcem w szarym płaszczu i ze srebrną laską. Teraz nie wyglądał na takiego młodego, za jakiego go uważała, czy też był młody, lecz w jakiś sposób wysuszony i zwiędły. Jego spojrzenie i głos były teraz otwarcie pogardliwe i kobieta odpowiedziała mu głosem Gony:

— Niewątpliwie. Proszę o wybaczenie. Nie chciała mieć z nim żadnych kłopotów. Zabierała się do odejścia w drogę powrotną do miasteczka, ale Aspen krzyknął:

— Czekaj! Zatrzymała się.

— Złodziej i coś gorszego, mówisz, ale oszczerstwo jest tanie, a język kobiety gorszy niż jakikolwiek złodziej. Przyszłaś tu na górę, żeby narobić złej krwi pomiędzy robotnikami pracującymi w polu rzucając kalumnie i kłamstwa, smocze nasienie, które rozsiewa za sobą każda wiedźma. Czy myślałaś, że nie wiem, że jesteś czarownicą? Kiedy zobaczyłem to plugawe diablę, które lgnie do ciebie, czy myślisz, że nie wiedziałem, w jaki sposób zostało zrodzone i dla jakich celów? Dobrze uczynił człowiek, który próbował zniszczyć tego stwora, ale dzieło nie zostało ukończone. Przeciwstawiłaś mi się kiedyś nad ciałem starego czarnoksiężnika i wtedy powstrzymałem się od ukarania cię, przez wzgląd na niego i na obecność innych. Ale teraz posunęłaś się za daleko i ostrzegam cię, kobieto! Nie pozwolę ci postawić stopy na terenie tej posiadłości. A jeśli postąpisz wbrew mojej woli albo ośmielisz się tak bardzo, by znowu się do mnie odezwać, karzę wypędzić cię z Re Albi i z Overfell, z psami u pięt. Zrozumiałaś mnie?

— Nie — odrzekła Tenar. — Nigdy nie rozumiałam takich ludzi jak ty.

Odwróciła się i ruszyła w drogę. Coś niczym głaskający dotyk przebiegło jej po plecach i włosy podniosły się jej na głowie. Odwróciła się gwałtownie, żeby ujrzeć, jak czarodziej wyciąga laskę w jej kierunku, jak gromadzą się wokół niej mroczne błyskawice i jak jego wargi rozchylają się, by przemówić. Pomyślała w tym momencie:, „Ponieważ Ged utracił swoją magię, myślałam, że stracili ją wszyscy, ale byłam w błędzie!” W tym samym momencie usłyszała:

— No, no. Co my tu mamy?

Dwaj spośród mężczyzn z Havnoru wyszli na drogę z wiśniowych sadów znajdujących się po drugiej jej stronie. Spoglądali to na Aspena,

to na Tenar, z uprzejmym wyrazem twarzy, jak gdyby żałując, że muszą przeszkodzić czarodziejowi w rzucaniu klątwy na wdowę w średnim wieku. Ale to musiało być tylko złudzenie.

— Pani Goha — rzekł mężczyzna w haftowanej złotem koszuli i skłonił się przed nią.

Drugi, jasnooki, również pozdrowił ją z uśmiechem.

— Pani Goha — powiedział — jest jedyną, która niczym król nosi swoje prawdziwe imię otwarcie i, jak sądzę, bez obawy. Mieszkając na Goncie może woleć, abyśmy używali jej gontyjskiego imienia. Lecz, znając jej czyny, proszę o okazanie jej szacunku, gdyż nosiła ona Pierścień, którego nie nosiła żadna kobieta od czasów Elfarran. — Opadł na jedno kolano, jak gdyby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie, bardzo lekko i szybko ujął prawą dłoń Tenar i dotknął czołem jej nadgarstka. Uwolnił ją i wstał uśmiechając się tym uprzejmym, porozumiewawczym uśmiechem.

— Ach! — westchnęła Tenar, podniecona i na wskroś przejęta gorącem. — Na świecie istnieją wszelkiego rodzaju moce! Dziękuję.

Czarodziej stał bez ruchu patrząc szeroko otwartymi oczyma. Zmełł w ustach klątwę i cofnął laskę, lecz wokół niej i wokół jego oczu wciąż widoczna była ciemność. Nie miała pojęcia, czy wiedział, czy też dopiero teraz się dowiedział, że ona jest Tenar Noszącą Pierścień. To nie miało znaczenia, Nie mógł jej bardziej nienawidzić. Jej wina polegała na tym, że była kobietą. Nic nie mogło pomóc w tej sytuacji ani nic jej naprawić. Żadna kara nie była wystarczająca. Patrzył na to, co zrobiono Therru i pochwalał to.

— Panie — zwróciła się teraz do starszego mężczyzny — cokolwiek mniejszego niż uczciwość i szczerość wydaje się brakiem szacunku wobec króla, w którego imieniu przemawiacie i działacie. Chciałabym szanować króla i jego posłańców. Lecz mój własny honor wymaga milczenia, dopóki nie zwolni mnie z niego mój przyjaciel. Ja… Jestem pewna, moi panowie, że wyśle on do was jakąś wiadomość w swoim czasie. Tylko dajcie mu czas, błagam was.

— Z całą pewnością — odrzekł jeden, a drugi dodał:

— Tyle czasu, ile potrzebuje. A twoje zaufanie, pani, zaszczyca nas nade wszystko.

Ruszyła w końcu drogą do Re Albi, wstrząśnięta bezlitosną nienawiścią czarodzieja, swoją własną gniewną pogardą, swoim przerażeniem, kiedy nagle dowiedziała się o jego woli i mocy uczynienia jej krzywdy, nagłym kresem tego przerażenia w schronieniu zaofiarowanym przez wysłanników króla — ludzi, którzy przybyli statkiem o białych żaglach z samego portu, Wieży Miecza i Tronu, centrum prawa i porządku. Jej serce uniosło się z wdzięcznością. Rzeczywiście był król na tym tronie, a w jego koronie najważniejszym klejnotem będzie Run Pokoju.

Podobała jej się twarz młodszego mężczyzny — mądra i dobrotliwa — i sposób, w jaki ukląkł przed nią niczym przed królową. I jego uśmiech, w którym ukryty był żart. Odwróciła się, by spojrzeć za siebie. Dwaj wysłannicy kroczyli drogą do dworu z czarodziejem Aspenem. Zdawali się konwersować z nim po przyjacielsku, jak gdyby nic się nie stało. Stłumiło to falę jej pełnego nadziei zaufania. Co prawda byli dworzanami. Nie ich sprawą było spierać się, osądzać i potępiać. A on był czarodziejem i to czarodziejem ich gospodarza. „Mimo to — pomyślała — nie musieli spacerować i rozmawiać z nim tak swobodnie."

Ludzie z Havnoru pozostali jeszcze kilka dni w gościnie u Władcy Re Albi, mając być może nadzieję, że arcymag zmieni zdanie i przybędzie do nich, lecz nie szukali go ani też nie nagabywali Tenar o miejsce jego pobytu. Kiedy wreszcie odpłynęli, Tenar powiedziała sobie, że musi zdecydować się, co robić. Nie było żadnego istotnego powodu, żeby tu została i dwa przekonywające powody do odejścia: Aspen i Handy. Żadnemu nie mogła ufać, że zostawiają i Themi w spokoju.

A jednak trudno jej było się zdecydować, ponieważ trudno było nawet myśleć o odejściu. Opuszczając teraz Re Albi porzucała Ogiona, traciła go tak, jak nie traciła go, kiedy prowadziła jego gospodarstwo i pełła jego cebulę. I myślała: 'Tam w dole, nigdy nie będę marzyła o niebie. Tu, gdzie przyleciał Kalessin, byłam Tenar" Na dole, w Dolinie Środkowej, znowu będzie tylko Goha. Zwlekała. Powiedziała do siebie: „Czy mam się bać tych łajdaków, uciec przed nimi? Właśnie tego ode mnie chcą. Czy mają mnie zmusić, żebym przychodziła i odchodziła zależnie od ich woli?" I dodawała: „Tylko skończę robić ser". Trzymała Themi zawsze przy sobie. A dni mijały.

Moss przyszła z plotką do opowiedzenia. Tenar pytała ją o czarodzieja Aspena, nie opowiadając jej całej historii, lecz mówiąc, że jej groził — i rzeczywiście mogło to być wszystkim, co zamierzał zrobić. Moss na ogół nie zbliżała się do posiadłości starego władcy, była jednak ciekawa, co się tam działo i skłonna znaleźć okazję, by pogawędzić z kilkoma tamtejszymi znajomymi, z kobietą, od której nauczyła się położnictwa i z innymi, którym służyła jako znachorka i poszukiwaczka. Nakłoniła je do rozmowy o wypadkach we dworze. Wszystkie one nienawidziły Aspena, a więc gotowe były o nim mówić, lecz trzeba było odbierać ich opowieści jako efekt złośliwości i strachu. Mimo to pomiędzy fantazjami były fakty. Sama Moss poświadczała, że dopóki trzy lata temu nie przybył Aspen, młodszy władca, wnuk, był zdrowym, choć nieśmiałym, ponurym mężczyzną. „Jakby przestraszonym" — powiedziała. Później, mniej więcej wtedy, kiedy zmarła matka młodego władcy, stary władca posłał na Roke po czarodzieja. — „Po co? Mimo, że pan Ogion był w odległości niespełna

mili? A oni wszyscy we dworze sami są czarownikami”.

Ale Aspen przybył. Złożył Ogionowi swoje uszanowanie i nic więcej i zawsze — mówiła Moss — pozostawał na górze, w rezydencji. Odtąd coraz mniej widywano wnuka i mówiono, że dniem i nocą leży w łóżku. „Jak chore dziecko, zupełnie uschnięty” — powiedziała jedna z kobiet, które były we dworze w jakiejś sprawie. Lecz stary władca — mający sto lat albo więcej, twierdziła Moss, która nie lękała się liczb i nie miała dla nich szacunku — stary władca kwitł. „Pełen soku” — mówili. Zaś jeden z mężczyzn, gdyż życzyli sobie, aby tylko mężczyźni usługiwali im we dworze, powiedział jednej z kobiet, że stary władca najął czarodzieja, by ten uczynił go wiecznie żywym, i że czarodziej robił to żywiąc go życiem wnuka. I mężczyzna nie widział w tym nic złego, mówiąc:

— Kto by nie chciał żyć wiecznie?

— No cóż — rzekła zaskoczona Tenar. — To brzydka historia. Czy nie mówią o tym w miasteczku?

Moss wzruszyła ramionami. Znowu była to kwestia „Daj spokój”. Poczynania potężnych nie powinny być osądzane przez nie posiadających mocy. Istniała także niejasna ślepa krolewskosc, zakorzenienie w miejscu: starzec był ich władcą, Władcą Re Albi i to, co czynił, nikogo nie powinno zajmować… Najwyraźniej Moss sama to czuła.

— Ryzykowne — rzekła. — Taka sztuczka nie może się udać. — Nie nazwała jej jednak nikczemną.

We dworze nie widać było śladu po człowieku imieniem Handy. Pragnąc upewnić się, że opuścił on Overfell, Tenar zapytała paru znajomych w miasteczku, czy nie widzieli takiego człowieka, lecz otrzymywała niechętne i wymijające odpowiedzi. Nie chcieli w żaden sposób mieszać się w jej sprawy. „Daj spokój…”. Jedynie stary Fan traktował ją jak przyjaciółkę i współwieśniaczkę. Być może, dlatego, że jego wzrok był tak zamglony, iż nie mógł wyraźnie dostrzec Therru.

Zabierała teraz dziecko ze sobą, kiedy szła do miasteczka czy też w ogóle oddalała się od domu.

Therru nie uważała tej niewoli za męczącą. Trzymała się blisko Tenar, jak małe dziecko, pracując z nią lub bawiąc się. Bawiła się kocią kołyską, wyplataniem koszyków i parą kościanych figurek, które Tenar znalazła w małej torebce z trawy na jednej z półek Ogiona. Było to zwierzę, które mogło być psem albo owcą, i postać mogąca być kobietą lub mężczyzną. Dla Tenar nie miały one znamion mocy ani niebezpieczeństwa, a Moss rzekła: „Po prostu zabawki”. Dla Therru były wielką magią. Czasem godzinami przestawiała je z miejsca na miejsce we wzorach jakiejś milczącej opowieści. Nie odzywała się podczas zabawy. Czasami budowała domy dla osoby i zwierzęcia, kamienne kopce, chaty z błota i słomy. Byli zawsze w jej kieszeni, w

swoim woreczku z trawy. Uczyła się prząść. Potrafiła trzymać kądziel w poparzonej dłoni i obracać wrzeciono drugą. Odkąd tu były, regularnie przeczesywała kozy i miały już do uprzedzenia pełen worek jedwabistej koziej sierści.

„Ależ ja powinnam ją uczyć — myślała strapiona Tenar. — Naucz ją wszystkiego, powiedział Ogion, a czego ja ją uczę? Gotowania i przędzenia?" — Wtem inna część jej umysłu odezwała się głosem Gony: — „A czy nie są to prawdziwe kunszty, potrzebne i szczytne? Czy mądrość to tylko słowa?" Niemniej jednak martwiła się tą sprawą i pewnego popołudnia, kiedy Therru szarpała kozią wełnę, by ją oczyścić i rozplatać, a ona gręplowała ją w cieniu brzoskwiniowego drzewa, powiedziała:

— Therru, być może już czas, żebyś zaczęła się uczyć prawdziwych imion rzeczy. Jest język, w którym wszystkie rzeczy noszą swoje prawdziwe imiona, a czyn i słowo są jednym. Mówiąc tym językiem Segoy wydźwignął wyspy z głębin. Jest to język, którym przemawiają smoki.

Dziecko słuchało w milczeniu. Tenar odłożyła swoje zgrzebła i podniosła z ziemi mały kamyk.

— W tej mowie — rzekła — to jest tolk.

Therru przyglądała się temu, co robiła i powtórzyła słowo tolk, lecz bezgłośnie, jedynie formując je ustami, ściągniętymi nieco z prawej strony przez bliznę. Kamień leżał na dłoni Tenar. Kamień.

Obie milczały.

— Jeszcze nie — odezwała się Tenar. — To nie jest to, czego muszę cię teraz nauczyć. — Upuściła kamyk na ziemię i podniosła swoje zgrzebła oraz garść kłębiastej wełny, którą Therru przygotowywała do gręplowania. — Może, kiedy będziesz miała prawdziwe imię, może wtedy przyjdzie pora. Nie teraz. Teraz słuchaj. Teraz jest pora na opowieści, czas, abyś zaczęła się uczyć opowieści. Mogę opowiedzieć ci historię z Archipelagu i z Krajów Kargadu. Opowiadałam ci historię, której nauczyłam się od mojego przyjaciela Aihala Milczącego. Teraz opowiem ci tę, której nauczyłam się od mojej przyjaciółki Lark, kiedy opowiadała ją swoim dzieciom i moim. Jest to historia o Andaurze i Avad. Tak dawno, jak wieczność, tak daleko jak Selidor, żył mężczyzna zwany Andaurem, drwal, który wędrował samotnie po wzgórzach. Pewnego dnia, głęboko w lesie, ściął olbrzymi dąb. Padając, drzewo zawołało doń ludzkim głosem…

Było to dla nich przyjemne popołudnie. Lecz nocą, leżąc obok pogrążonego we śnie dziecka, Tenar nie mogła spać. Była niespokojna, niepokoiła ją jedna drobna obawa za drugą — „czy zamknęłam bramę pastwiska?", „czy ręka boli mnie od gręplowania, czy to początek artretyzmu?" i tak dalej. Później zaniepokoiła się bardzo, wydawało jej się, bowiem, że słyszy hałasy pod domem. „Dlaczego nie

postarałam się o psa?" — pomyślała. Głupia. Nie mieć psa. Kobieta i dziecko, które mieszkają same, powinny mieć psa w dzisiejszych czasach. „Ależ to jest dom Ogio-na! Nikt nie przyszedłby tu, żeby czynić zło. Ale Ogion jest martwy, pogrzebany w korzeniach drzewa na skraju lasu. I nikt nie przyjdzie. Krogulec odszedł, uciekł. Nawet już nie Krogulec, czło-wiek-cień, żadnego pożytku dla kogokolwiek, martwy człowiek zmuszony do tego, by żyć. a ja nie mam żadnej siły, nie ma we mnie dobra. Wymawiam słowo Tworzenia i zamiera ono w moich ustach, jest bez znaczenia. Kamień. Jestem kobietą, starą kobietą, słabą, głupią. Wszystko, co robię, jest złe. Wszystko, czego dotykam, przemienia się w popioły, cień, kamień. Jestem stworem ciemności, obrzmiałym ciemnością. Jedynie ogień może mnie oczyścić. Tylko ogień może mnie pożreć, strawić mnie, jak…"

Podniosła się i wrzasnęła na cały głos w swoim własnym języku: „Bądź odrzucona, klątwo i odwróć się!" — po czym wyciągnęła prawe ramię i opuściła je wskazując wprost na zamknięte drzwi. Następnie, wyskoczywszy z łóżka, podeszła do drzwi, otworzyła je gwałtowym ruchem i krzyknęła w pochmurną noc:

— Przychodzisz za późno, Aspen. Zostałam pożarta dawno temu. Idź oczyścić własny dom!

Nie było żadnej odpowiedzi, żadnego dźwięku, tylko mdły, kwaśny, ohydny swąd spalenizny — przypalonej tkaniny lub włosów. Zamknęła drzwi, postawiła przy nich laskę Ogiona i sprawdziła, czy Therru wciąż śpi. Ona sama nie spała tej nocy.

Rankiem zabrała Therru do miasteczka, aby zapytać Fana, czy nie będzie potrzebował ich przędzy. Był to pretekst, żeby wydostać się z domu i choć przez małą chwilę być pomiędzy ludźmi. Starzec powiedział, że chętnie utka przędzę i rozmawiali przez kilka minut pod olbrzymim malowanym wachlarzem, podczas gdy terminatorka rzucała gniewne spojrzenia i zawzięcie klekotała krosnami. Kiedy opuściły dom Fana, ktoś uskoczył za róg małej chatki, w której Tenar niegdyś mieszkała. Coś, osy lub pszczoły, kąsało szyję i głowę Tenar i wszędzie dokoła słychać było stukot deszczu, ulewy z piorunami, lecz nie było chmur. Kamienie. Ujrzała, jak otoczaki uderzają w ziemię. Therru przystanęła, zaintrygowana, rozglądając się dookoła. Paru chłopców wybiegało zza chatki, kryjąc się w cieniu jej ścian. Głośno krzyczeli do siebie nawzajem i śmiali się.

— Chodź — rzekła Tenar i poszły do Ogionowego domu.

Tenar drżała i drżenie zwiększało się w miarę, jak szły. Próbowała ukryć je przed Therru, która — nie rozumiejąc, co się stało — wyglądała na zmartwioną, lecz nie przestraszoną. Skoro tylko weszły do domu, Tenar wiedziała, że ktoś był tam podczas ich wizyty w miasteczku. Cuchnęło spalonym mięsem i włosami. Narzuta ich łóżka była zmięta. Kiedy próbowała zastanowić się, co robić, zrozumiała, że

ciąży na niej zaklęcie. Zostało rzucone i czekało na nią. Nie mogła powstrzymać drżenia, a jej umysł był zmieszany, powolny, niezdolny do podjęcia decyzji. Nie mogła myśleć. Wypowiedziała słowo, prawdziwe imię kamienia i rzucono nim w nią, w jej twarz, w twarz zła, odrażającą twarz… Ośmieliła się mówić… Nie mogła mówić…

Pomyślała w swoim własnym języku: „Nie mogę myśleć po hardycku. Nie wolno mi".

Mogła myśleć po kargijsku. Niezbyt szybko. Było tak, jakby musiała prosić dziewczynę imieniem Arha, którą była dawno temu, aby wyszła z mroku i myślała za nią. Żeby jej pomogła. Tak jak pomagała jej zeszłej nocy, odwracając klątwę czarodzieja z powrotem na niego. Arha nie znała wielu rzeczy, które znały Tenar i Goha, lecz wiedziała, jak rzucać klątwę, jak żyć w ciemności i jak milczeć. Trudno było to zrobić — milczeć. Chciała krzyczeć. Chciała rozmawiać — pójść do Moss i opowiedzieć jej, co się stało, dlaczego musi iść, przynajmniej pożegnać się. Próbowała powiedzieć do Heather:

— Kozy są teraz twoje, Heather. — I zdołała wypowiedzieć to po hardycku, tak aby Heather zrozumiała, lecz Heather nie rozumiała. Wytrzeszczała oczy i zaśmiała się:

— O, to kozy pana Ogiona! — odparła.

„Zatem… ty… — starała się powiedzieć Tenar — trzymaj je dalej dla niego", lecz weszła w nią śmiertelna choroba i usłyszała swój głos mówiący ostro:

— Wariatko, półgłówku, idiotko, babo!

Heather spojrzała na nią wytrzeszczonymi oczyma i przestała się śmiać. Tenar zasłoniła usta ręką. Wzięła Heather i obróciła ją tak, aby patrzyła na sery dojrzewające w obórce, i wskazywała na nie i na Heather, tam i z powrotem, aż Heather skinęła niezdecydowanie głową i ponownie się zaśmiała, ponieważ kobieta zachowywała się tak dziecinnie. Tenar kiwnęła do Therru.

— Chodź! — weszła do domu, gdzie obrzydliwy fetor przybrał na sile, sprawiając, że Therru skuliła się.

Tenar wyjęła ich tobołki i podróżne obuwie. Do swojego tobołka włożyła zapasową suknię i bieliznę, dwie stare sukienki Therru, do połowy uszytą nową i zaoszczędzony materiał, wrzeciona, które wystrugała dla siebie i Therru, oraz trochę żywności i glinianą butelkę wody na drogę.

Do tobołka Therru powędrowały jej najlepsze koszyki, kościana postać i kościane zwierzę w swojej torebce z trawy, kilka piór, mała mata-labirynt, które dała jej Moss, oraz woreczek orzechów i rodzynek.

Chciała powiedzieć: „Idź podlać brzoskwinię", lecz nie śmiała. Wyprowadziła dziewczynkę przed dom i pokazała jej. Therru

troskliwie podlała maleńki kiełek. Zamiotły i uporządkowały dom, pracując szybko, w milczeniu. Tenar postawiła dzban z powrotem na półce i zobaczyła na drugim jej korku trzy olbrzymie księgi, księgi Ogiona.

Ujrzała je Arha i były one dla niej niczym, wielkimi skórzanymi pudłami pełnymi papieru.

Lecz Tenar utkwiła w nich wzrok i zagryzła knykieć, z wysiłkiem marszcząc brwi, aby się zdecydować, aby wiedzieć, co robić i aby wiedzieć, jak je przenieść. Nie mogła ich nieść. Ale musiała. Nie mogły zostać tu, w zbezczeszczonym domu. W domu, do którego zawitała nienawiść. Były jego. Ogiona. Geda. Jej. Wiedza. Naucz ją wszystkiego! Opróżniła z wełny i przędzy worek, w którym zamierzała je nieść, włożyła księgi, jedna na drugą, i związała szyjkę torby skórzanym paskiem z pętlą do trzymania. Po czym rzekła:

— Musimy już iść, Therru.

Mówiła po kargijsku, lecz imię dziecka było takie samo, było kargijskim słowem — płomień, płonięcie. I dziecko podeszło nie zadając żadnych pytań, niosąc swój mały skarb w tobołku na plecach. Podniosły swoje kije podróżne, pęd leszczyny i gałąź olchy. Postawiły laskę Ogiona w ciemnym kącie przy drzwiach. Drzwi domu zostawiły otwarte dla wiatru od morza.

Zwierzęcy zmysł poprowadził Tenar z dala od pól i z dala od drogi na wzgórzu, obok której przeszła. Trzymając Therru za rękę, poszła na skróty opadającymi stromo pastwiskami, w kierunku drogi dla wozów, która wiodła zygzakiem w dół, do Portu Gont. Wiedziała, że jeśli spotka Aspena, będzie zgubiona i obawiała się, że może czekać na nią na drodze. Ale może nie na tej drodze.

Po przebyciu jakiejś mili mogła już jasno myśleć. Pierwszą rzeczą, o której pomyślała, było to, że wybrała właściwą drogę. Wracały, bowiem do niej hardyckie słowa, a po chwili — słowa Prawdziwej Mowy. Schyliła się, podniosła kamień i trzymała go w dłoni, mówiąc w myślach: tolk, po czym włożyła ten kamień do kieszeni. Spojrzała w dal na rozległe płaszczyzny powietrza i chmur i powiedziała w myślach: Kalessin. I jej umysł rozjaśnił się, stając się równie czystym jak to powietrze.

Weszły w długą przesiekę zacienioną przez wysokie, trawiaste nasypy i odkrywki skały. Tu znowu poczuła lekki niepokój. Kiedy dotarły do zakrętu, ujrzały u swych stóp ciemnobłękitną zatokę i wyłaniający się z niej, pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami, piękny okręt pod pełnymi żaglami. Tenar lękała się ostatniego takiego statku, lecz nie tego. Chciała zbiec drogą na jego spotkanie.

Tego nie mogła zrobić. Szły krokiem Therru. Było to lepsze tempo niż dwa miesiące temu, a schodzenie z góry ułatwiało im marsz. Jednak okręt pędził im na spotkanie. W jego żagle daj magiczny wiatr;

przemknął przez zatokę niczym lecący łabędź. Wpłynął do portu, zanim Tenar i Therru znalazły się w połowie drogi do następnego zakrętu traktu.

Wszelkie miasta były dla Tenar miejscami niezwykłymi. Nigdy w nich nie mieszkała. Widziała największe miasto Ziemiomorza, Havnor, raz, przez chwilę; i pożeglowała z Gedem do Portu Gont przed laty, ale wspięli się na drogę do Overfell nie zatrzymując się na ulicach. Jedynym innym miastem, jakie znała, było Yalmouth — senne, słoneczne, portowe miasteczko, w którym przybycie statku przywożącego towary z Andradów było wielkim wydarzeniem, a większość rozmów mieszkańców dotyczyła suszonych ryb.

Ona i dziecko weszły na ulice Portu Gont, kiedy słońce było wciąż dość wysoko ponad zachodnim morzem. Therru przeszła piętnaście mil bez słowa skargi, choć oczywiście była zmęczona. Tenar również była zmęczona, gdyż nie spała poprzedniej nocy. Księgi Ogiona także stanowiły ciężkie brzemię. W połowie drogi włożyła je do tobołka, który niosła na plecach, a żywność i odzież do worka na wełnę. Było to lepsze rozwiązanie, lecz nie doskonałe. Tak więc, krocząc z mozołem między pojedynczymi domami, doszły do bramy miasta, gdzie droga, przebiegając pomiędzy dwoma wyrzeźbionymi w kamieniu smokami, przemieniała się w ulicę. Tam też mężczyzna, strażnik bramy, zmierzył je wzrokiem. Therru pochyliła poparzoną twarz w kierunku ramienia i ukryła spaloną dłoń pod fartuszkiem sukienki.

— Czy udajesz się do domu w mieście, pani? — zapytał strażnik, badawczo przyglądając się Therru.

Tenar nie wiedziała, co powiedzieć. Nie wiedziała, że przy bramach miasta są strażnicy. Nie miała, czym zapłacić poborcy myta ani oberżyście. Nie znała nikogo w Porcie Gont — oprócz — pomyślała — czarodzieja, tego, który przyszedł, aby pochować Ogiona, jak on się nazywał? Lecz nie wiedziała, jak się nazywał. Stała tam z otwartymi ustami, niczym Heather.

— Idźcie, idźcie — powiedział strażnik, znudzony i odwrócił się.

Chciała go zapytać, gdzie znajdzie drogę na południe przez przylądki, drogę wiodącą wybrzeżem do Yalmouth, lecz nie śmiała ponownie wzbudzić jego zainteresowania, żeby nie zdecydował, że mimo wszystko jest włóczęgą albo czarownicą, albo czymkolwiek, czego on i kamienne smoki nie powinni wpuszczać do Portu Gont. Przeszły, więc pomiędzy smokami — Therru podniosła głowę, trochę, aby je zobaczyć — i podreptały po kocich łbach, coraz bardziej zdumione, oszołomione i zmieszane. Tenar wydawało się, że nie było nikogo ani niczego, czego nie wpuszczono by do Portu Gont. Było tam wszystko. Wysokie domy z kamienia, fury, wozy, bydło, osły, place targowe, sklepy, tłumy, ludzie, ludzie — im dalej szły, tym więcej było

ludzi. Therru przylgnęła do ręki Tenar, idąc bokiem i ukrywając twarz we włosach. Tenar trzymała kurczowo rękę Therru.

Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby tu pozostać, jedyną więc rzeczą do zrobienia było wyruszyć na południe i iść aż do zapadnięcia zmroku, mając nadzieję, że rozbiją obóz w lesie. Tenar wybrała szeroką kobietę w szerokim białym fartuchu, która zamykała okiennice sklepu, i przeszła przez ulicę zdecydowana zapytać ją o drogę z miasta na południe. Jędrna, czerwona twarz kobiety wyglądała dość sympatycznie, lecz kiedy Tenar zbierała się na odwagę, by do niej przymówić, Therru chwyciła ją mocno, jakby próbując się przed nią ukryć, i podniósłszy wzrok Tenar ujrzała nadchodzącego w jej kierunku mężczyznę w skórzanej czapce. Zauważył ją w tej samej chwili. Zatrzymał się. Tenar schwyciła Therru i na poły ciągnęła ją za sobą, na poły odwracała jej twarz.

— Chodź! — powiedziała i wielkimi krokami ruszyła prosto przed siebie, obok mężczyzny. Skoro pozostawiła go w tyle, przyspieszyła kroku, schodząc w kierunku migoczącej zachodem słońca wody oraz doków i nabrzeży rozciągających się u stóp spadzistej ulicy. Therru biegła razem z nią, oddychając ciężko, tak jak oddychała po tym, jak została poparzona.

Wysokie maszty kołysały się na tle czerwono-żółtego nieba. Okręt ze zwiniętymi żaglami stał przy kamiennym molo, za wiosłową galerą. Tenar obejrzała się za siebie. Mężczyzna szedł tuż za nimi. Nie spieszył się. Wybiegła na molo, lecz po przebyciu długiej drogi, Therru potykała się i nie mogła iść dalej, niezdolna do złapania oddechu. Tenar podniosła ją i dziecko uchwyciło się jej, kryjąc twarz na ramieniu kobiety. Lecz Tenar ledwo mogła się poruszać, obciążona w ten sposób. Drżały pod nią nogi. Zrobiła krok i jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Doszła do małego, drewnianego pomostu przerzuconego między molo a pokładem statku. Położyła dłoń na jego poręczy. Z pokładu przypatrywał się jej żeglarz — łysy, żylasty, muskularny.

— Co się stało, proszę pani? — zapytał.

— Czy… Czy to statek z Havnoru?

— Z Królewskiego Miasta, pewnie.

— Wpuść mnie na pokład!

— No, nie mogę tego zrobić — odparł mężczyzna, szczerząc zęby, lecz jego wzrok przesuwał się; żeglarz spoglądał teraz na człowieka, który podszedł i stanął obok Tenar.

— Nie musisz uciekać — zwrócił się do niej Handy. — Nie zamierzam ci zrobić nic złego. Nie chcę cię skrzywdzić. Nie rozumiesz. To ja sprowadziłem dla niej pomoc, prawda? Naprawdę żałowałem tego, co się stało. Chcę ci przy niej pomóc. — Wyciągnął rękę, jak gdyby czuł nieprzepartą chęć dotknięcia Therru. Tenar nie mogła się ruszyć. Przyrzekła Therru, że on nigdy więcej jej nie dotknie.

Zobaczyła, jak jego ręka dotyka nagiego, drżącego ramienia dziecka.

— Czego od niej chcesz? — odezwał się inny głos. Inny żeglarz zajął miejsce łysego: młody mężczyzna. Tenar wydawało się, że to jej syn.

Handy był skory do mówienia:

— Ona ma… ona zabrała mojego dzieciaka. Moją siostrzenicę. Ona jest moja. Zaczarowała ją, uciekła z nią, widzisz…

Zupełnie nie mogła mówić. Słowa znowu od niej odeszły, zostały jej odebrane. Młody żeglarz nie był jej synem. Miał szczupłą i surową twarz o bystrych oczach. Patrząc na niego, odnalazła słowa:

— Pozwól mi wejść na pokład. Proszę! Młody człowiek wyciągnął rękę. Ujęła ją, a on wciągnął ją przez kładkę na pokład okrętu.

— Czekaj tu — rzekł do Handy'ego, a do niej powiedział:

— Chodź za mną.

Lecz nogi nie chciały jej podtrzymywać. Runęła jak kłoda na pokład statku z Havnoru, wypuszczając z rąk ciężki worek, ale przywierając do dziecka.

— Nie pozwólcie mu jej zabrać, och, nie oddawajcie im jej, już nie, już nie, już nie!

10. DELFIN

Nie chciała puścić dziecka, nie chciała im go oddać. Na pokładzie statku byli sami mężczyźni. Dopiero do długim czasie zaczęło do niej docierać to, co mówili, co się stało, co się działo. Kiedy pojęła, kim jest młody mężczyzna, ten, którego wzięła za swojego syna, zdawało się jej, że rozumiała to od samego początku, tylko nie była w stanie o tym myśleć. Nie była w stanie myśleć o czymkolwiek.

Wrócił na pokład z doków i stał teraz obok kładki rozmawiając z siwowłosym mężczyzną, sądząc z wyglądu — kapitanem statku. Spoglądał na Tenar, którą pozostawiono skuloną, z Therru, w rogu pokładu pomiędzy balustradą a wielką windą kotwiczną. Zmęczenie po długim dniu odniosło zwycięstwo nad strachem Therru. Spała głębokim snem, przytulona do Tenar, ze swoim mały zawiniątkiem zamiast poduszki i płaszczem zamiast koca. Tenar wstała powoli, a młody człowiek natychmiast do niej podszedł. Wygładziła spódnicę i próbowała poprawić włosy.

— Jestem Tenar z Atuanu — rzekła. Mężczyzna stał bez ruchu. Powiedziała: — Myślę, że jesteś królem.

Był bardzo młody, młodszy od jej syna, Sparka. Mógł mieć zaledwie dwadzieścia lat. Lecz dostrzegła w jego wyglądzie coś, co wcale nie było młode. Coś w jego spojrzeniu, co sprawiło, że pomyślała: „On przeszedł przez ogień”.

— Nazywam się Lebannen z Enladu, pani — powiedział i miał właśnie złożyć jej ukłon lub nawet uklęknąć przed nią. Chwyciła jego dłonie tak, że stanęli twarzą w twarz.

— Nie przede mną — zawołała — ani ja przed tobą! Roześmiał się ze zdziwieniem i trzymał ją za ręce, utkwiwszy w niej szczere spojrzenie.

— Skąd wiedziałaś, że cię szukam? Czy szłaś do mnie, kiedy ten człowiek…?

— Nie, nie. Uciekałam… przed nim… przed… przed bandytami… Próbowałam wrócić do domu, to wszystko.

— Do Atuanu?

— Och, nie! Na moją farmę. W Dolinie Środkowej. Tu, na Goncie. — Ona również się zaśmiała, przez łzy. Teraz można było wypłakać łzy. Puściła dłonie króla, aby móc wytrzeć oczy.

— Gdzie to jest — Dolina Środkowa? — zapytał.

— Na południowym wschodzie, nie opodal tamtych przylądków. Yalmouth jest portem.

— Zabierzemy cię tam — rzekł zadowolony, że może jej to zaoferować.

Uśmiechnęła się i wytarła oczy, kiwając głową na znak zgody.

— Szklanka wina. Trochę jedzenia, trochę odpoczynku — powiedział — i łóżko dla twojego dziecka. — Kapitan statku, przysłuchujący się dyskretnie, wydał rozkazy.

Łysy żeglarz, którego pamiętała — jak jej się wydawało — z dawnych czasów, wystąpił naprzód. Zamierzał podnieść Therru. Tenar stanęła między nim a dzieckiem. Nie mogła pozwolić mu jej dotknąć.

— Ja ja zaniosę — powiedziała nienaturalnie wysokim głosem.

— Tam są schody, proszę pani. Ja to zrobię — odparł żeglarz i wiedziała, że jest uprzejmy, a jednak nie mogła pozwolić mu dotknąć Therru.

— Pozwólcie mnie — powiedział młody człowiek, król, pytając ją wzrokiem o pozwolenie. Ukląkł, wziął śpiące dziecko z desek pokładu, podszedł do luku i ostrożnie zniósł dziewczynkę po stromych schodach. Tenar podążała za nim. Położył dziewczynkę na koi w maleńkiej kabinie, z zakłopotaniem, czule. Otulił ją płaszczem. Tenar pozwoliła mu to zrobić.

W większej kabinie, która przebiegała przez rufę statku, z długim oknem wychodzącym na oblaną światłem zmierzchu zatokę, poprosił ją, aby usiadła przy dębowym stole. Wziął tacę od chłopca, który ją przyniósł, rozlał czerwone wino do kielichów z ciężkiego szkła, podał jej owoce i ciastka. Skosztowała wina.

— Jest bardzo dobre, ale nie z Roku Smoka — oznajmiła. Spojrzała na nią ze zdumieniem, jak pierwszy lepszy chłopak.

— Z Enlandu, nie z Andradów — odrzekł potulnie.

— Jest bardzo delikatne — zapewniała go i ponownie wypiła. Wzięła ciastko. Było to kruche ciasto, bardzo pożywne. Zielone i bursztynowe winogrona były słodkie i cierpkie. Żywy smak pożywienia i wina był niczym liny, którymi przycumowano statek — na nowo wiązał ją ze światem, z jej myślami.

— Bardzo się bałam — rzekła w formie przeprosin. — Myślę, że wkrótce znowu będę sobą. Wczoraj… nie, dzisiaj, dzisiaj rano… rzucono na mnie… zaklęcie… — Wypowiedzenie tego słowa było niemal niemożliwe, zająknęła się na nim: — K… klątwę. Odebrała mi mowę i rozum, jak sądzę. U… uciekłyśmy przed nią, ale pobiegłyśmy prosto do człowieka, człowieka, który…

Z rozpaczą podniosła oczy na młodzieńca. Jego poważny wzrok pozwolił jej powiedzieć to, co musiało zostać powiedziane.

— Był jednym z ludzi, którzy okaleczyli dziecko. On i jej rodzice. Zgwałcili, pobili i poparzyli ją; te rzeczy się zdarzają, mój panie. Te rzeczy zdarzają się dzieciom. I on wciąż ją śledzi, żeby się do niej dobrać. I…

Powstrzymała się i wypiła wino.

— I tak od niego przybiegłam do ciebie. Do przystani.

Spojrzała na niskie, rzeźbione belki kajuty, wypolerowany stół,

srebrną tacę, szczupłą, spokojną twarz młodego człowieka. Miał ciemne, miękkie włosy i brązowo-czerwoną skórę. Ubrany był dobrze i prosto, bez żadnych łańcuchów, pierścieni czy innych zewnętrznych oznak władzy. „Lecz wygląda tak, jak powinien wyglądać król” — pomyślała.

— Przykro mi, że pozwoliłem temu człowiekowi odejść — powiedział. — Ale można go odnaleźć. Kim był ten, który rzucił na ciebie zaklęcie?

— Czarodziejem. — Nie chciała wyjawić imienia. Nie chciała myśleć o tym wszystkim. Pragnęła mieć ich wszystkich za sobą. Żadnej zemsty, żadnego pościgu. Zostawić ich i ich nienawiść, pozostawić ich za sobą, zapomnieć.

Lebannen nie nalegał, lecz zapytał:

— Czy na swojej farmie będziesz bezpieczna od tych ludzi?

— Myślę, że tak. Gdybym nie była taka zmęczona, taka zdezorientowana przez… przez… gdybym nie miała takiego zamętu w głowie, że nie mogłam myśleć, nie bałabym się Handy'ego. Co on mógł zrobić? W obecności wszystkich ludzi na ulicy? Nie powinnam była przed nim uciekać. Ale wszystkim, co czułam, był jej strach. Ona jest taka mała, wszystko, co może zrobić, to bać się go. Będzie musiała się nauczyć nie czuć tego strachu. Muszę ją tego nauczyć… — Majaczyła. Myśli przychodziły jej do głowy w języku kargijskim. Czy mówiła po kargijsku? Młodzieniec pomyślałby, że jest szalona — stara, szalona, paplająca kobieta. Spojrzała na niego ukradkiem. Jego ciemne oczy nie patrzyły na nią; przypatrywał się małemu, nieruchomemu, czystemu płomieniowi szklanej lampy, która zwisała nisko ponad stołem. Jego twarz była zbyt smutna, jak na twarz młodego człowieka.

— Przybyłeś, żeby go odnaleźć — odezwała się. — Arcymaga. Krogulca.

— Geda — rzekł spoglądając na nią z nikłym uśmiechem. — I on i ja jesteśmy znani pod naszymi prawdziwymi imionami.

— Ty i ja, tak. Ale on tylko dla ciebie i dla mnie. Skinął głową.

— Grozi mu niebezpieczeństwo od zawistnych ludzi, ludzi złej woli i nie ma on teraz żadnej… żadnej obrony. Wiesz o tym?

Nie mogła zmusić się do tego, aby wyrazić się jaśniej, lecz Lebannen odrzekł:

— Powiedział mi, że jego moc, jako maga, jest stracona. Została zużyta w akcie, który ocalił mnie i nas wszystkich. Lecz trudno było w to uwierzyć. Nie chciałem w to wierzyć.

— Ja również. Ale tak jest. I dlatego on… — Znowu się zawahała. — Chce być sam, dopóki jego rany się nie zagoją — powiedziała wreszcie ostrożnie.

Lebannen rzekł:

— On i ja byliśmy razem w mrocznej krainie, suchej krainie.

Umarliśmy razem. Razem przeprawialiśmy się przez tamte góry. Jest droga. Znał ją. Lecz imię tych gór brzmi: Ból. Kamienie… Kamienie ranią i rany te goją się długo.

Spuścił wzrok na swoje ręce. Tenar pomyślała o dłoniach Geda, porysowanych i pokrytych bliznami, zaciśniętych na swoich ranach.

Jej własna dłoń zamykała się na małym kamyku w jej kieszeni, słowie, które podniosła na stromej drodze.

— Dlaczego ukrywa się przede mną? — krzyknął z żalem młodzieniec. Potem dodał spokojnie: — Rzeczywiście, miałem nadzieję go zobaczyć. Lecz jeśli sobie tego nie życzy, koniec na tym, rzecz jasna. — Rozpoznała dworskość, uprzejmość, godność posłańców z Havnoru i doceniła ją, znała jej wartość. Lecz kochała go za jego żal.

— Na pewno do ciebie przyjdzie. Tylko daj mu czas. Odniósł tak poważne rany… wszystko zostało mu odebrane… Ale kiedy o tobie mówił, kiedy wymawiał twoje imię, och, wtedy widziałam go przez chwilę takim, jakim był… jakim znowu będzie… Sama duma!

— Duma? — powtórzył Lebannen, jakby zaskoczony.

— Tak. Oczywiście, duma. Kto ma być dumny, jeśli nie on?

— Zawsze myślałem o nim jako… Był taki cierpliwy — powiedział Lebannen, a później zaśmiał się z nietrafności swego określenia.

— Teraz nie ma cierpliwości — rzekła Tenar — i jest dla siebie surowy poza wszelkie granice rozsądku. Myślę, że nie możemy nic dla niego zrobić. Możemy tylko pozwolić mu pójść własną drogą i znaleźć się na końcu swojego postronka, jak mówią na Goncie, kiedy ktoś jest u kresu sił… — Nagle znalazła się na końcu swojego własnego postronka, tak zmęczona, że czuła się chora. — Wydaje mi się, że muszę teraz odpocząć — powiedziała. Natychmiast wstał.

— Pani Tenar, powiedziałaś, że uciekłaś przed jednym wrogiem, a znalazłaś innego. Ale ja przybyłem poszukując przyjaciela i znalazłem innego.

Uśmiechnęła się na tę jego uprzejmość. „Jakiż to miły chłopiec” — pomyślała.

Kiedy się obudziła, cały statek był w ruchu: rozbrzmiewał skrzypieniem i jękiem wręg, głuchym odgłosem stóp biegających po pokładzie, łopotem płótna i krzykami żeglarzy. Trudno było do-budzić Therru i wstała zaspana, być może rozgorączkowana, chociaż zawsze była taka ciepła, że Tenar trudno było ocenić jej temperaturę. Skruszona za to, że ciągnęła słabowite dziecko piętnaście mil piechotą i za wszystko, co się wczoraj wydarzyło, Tenar próbowała ją rozweselić opowiadając o tym, że są teraz na statku, że na pokładzie jest prawdziwy król i że mała izdebka, w której się znajdują, jest własnym pokojem króla, że statek zabiera je do domu, na farmę, i ciocia Lark będzie na nie czekać w domu, a być może będzie tam

również Krogulec. Nawet to nie wzbudziło zainteresowania Therru. Była obojętna, apatyczna, niema.

Na jej małej, szczupłej rączce Tenar dostrzegła ślad: cztery palce, czerwone niczym piętno, jak od miażdżącego uścisku. Lecz Handy nie chwycił jej. Dotknął tylko. Tenar powiedziała jej, przyrzekła, że on nigdy więcej jej nie dotknie. Obietnica została złamana. Jej słowo nic nie znaczyło. Jakie słowo znaczyło cokolwiek wobec głuchej przemocy?

Schyliła się i pocałowała znaki na rączce Therru.

— Szkoda, że nie miałam czasu, żeby skończyć twoją czerwoną sukienkę — rzekła. — Król pewnie chciałby ją zobaczyć. Ale z drugiej strony, przypuszczam, że ludzie nie noszą na statku swoich najlepszych strojów, nawet królowie.

Themi usiadła na koi, z przechyloną głową i nie odpowiedziała. Tenar wyszczotkowała jej włosy. Odrastały wreszcie gęsto, tworząc jedwabistą, czarną zasłonę nad poparzonymi częściami skóry głowy.

— Jesteś głodna, ptaszynko? Wczoraj wieczorem nie jadłaś nic na kolację. Może król da nam śniadanie. Ubiegłej nocy dał mi ciastka i winogrona.

Żadnej odpowiedzi. Kiedy Tenar powiedziała, że już czas opuścić kajutę, Therru usłuchała.

Na pokładzie stała z głową przechyloną do ramienia. Nie podniosła wzroku na białe żagle pełne porannego wiatru ani na iskrzącą się wodę, ani na Górę Gont, wznoszącą ku niebu swoje cielsko i majestat lasu, urwiska i wierzchołek. Nie podniosła głowy, kiedy przemówił do niej Lebannen.

— Therru — powiedziała miękko Tenar, klękając przy niej. — Odpowiedz, kiedy mówi do ciebie król.

Milczała. Wyraz twarzy Lebannena, kiedy ten się jej przypatrywał, był nieprzenikniony. Być może była to maska, uprzejma maska pokrywająca odrazę, wstrząs. Lecz spojrzenie jego ciemnych oczu było spokojne. Bardzo lekko dotkną} ramienia dziecka i rzekł:

— To musi być dla ciebie niezwykłe: obudzić się na środku morza.

Zjadła tylko trochę owoców. Kiedy Tenar zapytała ją, czy chce wrócić do kajuty, skinęła głową. Z bólem serca Tenar pozostawiła ją skuloną w koi i powróciła na pokład. Okręt przepły wał pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami — wyniosłymi, posępnymi ścianami, które zdawały się pochylać nad żaglami. Łucznicy stojący na warcie w niewielkich fortach przypominających gniazda jaskółek błotnych wysoko, na urwiskach, spoglądali w dół na tych na pokładzie, a żeglarze krzyczeli do nich ochoczo.

— Droga dla króla! — wołali, a z góry dobiegła odpowiedź niewiele głośniejsza od krzyku jaskółek z wysokości: „Król!”

Lebannen stał na wysokim dziobie statku z kapitanem i starszym, szczupłym, wąskookim mężczyzną w szarym płaszczu maga z Wyspy Roke. Ged nosił taki płaszcz, czysty i delikatny, w dniu, w którym przynieśli Pierścień Erreth-Akbego do Wieży Miecza; stary, poplamiony, brudny i znoszony w podróży, służył mu za koc na zimnych kamieniach grobowców Atuanu i na ziemi pustynnych gór, kiedy razem przemierzali tamte góry. Myślała o tym, gdy piana przeleciała obok burt okrętu i wysokie urwiska pozostały daleko w tyle. Kiedy statek wypłynął poza ostatnie rafy i kołysząc się pożeglował na wschód, podeszli do niej trzej mężczyźni. Lebannen rzekł:

— Pani, oto Mistrz Wiatrów z Wyspy Roke.

Mag ukłonił się, spoglądając na nią z pochwałą w swych przenikliwych oczach, a także z ciekawością. „Człowiek, który lubi wiedzieć, którędy wieje wiatr" — pomyślała.

— Teraz nie muszę żywić nadziei, że ta piękna pogoda się utrzyma, lecz mogę na to liczyć — zwróciła się do niego.

— Jestem tylko ładunkiem w taki dzień jak ten — odparł mag. — Poza tym, kiedy statkiem kieruje taki żeglarz jak Mistrz Serrathen, któż potrzebuje zaklinacza pogody?

„Jesteśmy tacy uprzejmi — pomyślała — same Panie, Panowie i Mistrzowie, same ukłony i komplementy." Rzuciła spojrzenie młodemu królowi. Patrzył na nią z uśmiechem, lecz z rezerwą.

Poczuła się tak, jak czuła się w Havnorze jako dziewczyna: obcą, niezręczną pośród ich gładkich słówek. Ale ponieważ nie była teraz dziewczyną, nie była przerażona, lecz tylko dziwiła się temu, w jaki sposób mężczyźni porządkują swój świat w ten taniec masek i jak łatwo kobieta może nauczyć się go tańczyć. Powiedzieli jej, że dopłynięcie do Yalmouth zabierze im tylko jeden dzień. Z tym pomyślnym wiatrem w żaglach zawiną tam późnym popołudniem.

Wciąż bardzo zmęczona długim strapieniem i wysiłkiem poprzedniego dnia, z ulgą usadowiła się na siedzeniu, które łysy żeglarz sporządził dla niej ze słomianego siennika i kawałka płótna żaglowego. Przypatrywała się falom i zarysowi Góry Gont — błękitnemu i niewyraźnemu w świetle południa, zmieniającemu się, kiedy okrążali strome wybrzeża oddaleni od nich jedynie o milę lub dwie. Przyniosła Therru na górę i dziecko leżało obok niej w słońcu, rozglądając się lub drzemiąc.

Inny żeglarz, ogorzały, bezzębny, podszedł na bosych stopach o podeszwach przypominających kopyta i odrażająco zdeformowanych palcach i położył coś na płótnie obok Therru.

— Dla małej dziewczynki — powiedział ochryple i oddalił się niezwłocznie, choć niezbyt daleko. Od czasu do czasu z nadzieją spoglądał znad swojej roboty, aby sprawdzić, czy podobał jej się

podarunek, ale po chwili gwałtownie spuszczał wzrok, udając pochłoniętego pracą.

Therru nie chciała dotknąć małej, owiniętej w materiał paczuszki. Musiała otworzyć ją Tenar. Była to doskonała rzeźba długości kciuka, przedstawiająca delfina, z kości i kości słoniowej.

— Może mieszkać w twojej torebce z trawy — rzekła Tenar. — Z innymi kościanymi ludźmi.

Na to Therru ożywiła się na tyle, żeby wyjąć swoją torebkę z trawy i włożyć do niej delfina. Ale to Tenar musiała pójść podziękować skromnemu dawcy. Therru nie chciała na niego patrzeć ani też się doń odezwać. Po chwili poprosiła, aby wróciły do kabiny i Tenar pozostawiła ją tam w towarzystwie kościanej osoby, kościanego zwierzęcia i delfina.

'Tak łatwo — pomyślała z wściekłością — tak łatwo było Handy'emu odebrać jej blask słońca, odebrać jej okręt, króla i jej dzieciństwo, a tak trudno to zwrócić! Rok spędziłam próbując jej to dać, a on jednym dotknięciem odbiera i wyrzuca precz. I jaką ma z tego korzyść — jaka jest jego nagroda, jego moc? Czy mocą jest to… pustka?"

Dołączyła do króla i maga przy balustradzie statku. Słońce miało się już dobrze ku zachodowi i okręt sunął poprzez splendor światła, które sprawiło, że pomyślała o swoim śnie w locie ze smokami.

— Pani Tenar — przemówił król. — Nie powierzam ci żadnej wiadomości dla naszego przyjaciela. Wydaje mi się, że gdybym to zrobił, nałożyłbym na ciebie brzemię, a także naruszyłbym jego wolność. Nie chcę uczynić żadnej z tych rzeczy. Mam być ukoronowany w ciągu miesiąca. Gdyby to on trzymał koronę, moje panowanie rozpoczęłoby się tak, jak pragnie moje serce. Lecz czy będzie tam, czy też nie — to on przywiódł mnie do mego królestwa. On uczynił mnie królem. Nie zapomnę o tym.

— Wiem, że o tym nie zapomnisz — odrzekła łagodnie. Był taki skupiony, taki poważny, uzbrojony w potęgę swojej władzy, a mimo to taki wrażliwy w swej uczciwości, czystości swojej woli. Współczuła mu w duchu. Myślała, że poznał ból, ale będzie go poznawał raz za razem, przez całe życie i niczego z tego nie zapomni.

Przeto nie chciał, jak Handy, wybrać najłatwiejszego wyjścia.

— Chętnie zaniosę wiadomość — powiedziała. — To żadne brzemię. Czy ją usłyszy — to zależy od niego. Mistrz Wiatrów uśmiechnął się szeroko.

— Jak zawsze — wtrącił. — Cokolwiek czynił, zależało od niego.

— Długo go znasz?

— Nawet dłużej niż ty, pani. Uczyłem go — odrzekł mag. — Tego, czego mogłem… Przybył do Szkoły na Roke, wiesz, jako chłopiec, z listem od Ogiona, informującym nas, że posiada on wielką

moc. Lecz kiedy po raz pierwszy byłem z nim w łodzi, żeby nauczyć go, jak przemawiać do wiatru, to wiesz, wywołał trąbę wodną. Zrozumiałem wtedy, co nas czeka. Pomyślałem: „Albo utopi się, zanim osiągnie wiek szesnastu lat, albo zostanie arcymagiem przed czterdziestką…" A może tylko lubię myśleć, że tak pomyślałem.

— Czy on wciąż jest arcymagiem? — zapytała Tenar. Pytanie zdawało się zdradzać straszną ignorancję, a kiedy powitało je milczenie, przestraszyła się, że świadczyło o czymś gorszym niż ignorancja. Mag odezwał się w końcu:

— Nie ma teraz Arcymaga Roke. Ton jego głosu był niezmiernie ostrożny i precyzyjny.

Nie śmiała zapytać, co chciał przez to powiedzieć.

— Myślę — rzekł król — że ten, który uzdrowił Run Pokoju, może należeć do każdej rady tego królestwa: Nie sądzisz, panie? Po kolejnej pauzie i najwyraźniej z wysiłkiem, mag przyznał:

— Oczywiście.

Król czekał, ale on nie odezwał się więcej. Lebannen spojrzał w dal na jasną taflę wody i rzekł, jak gdyby zaczynał opowieść:

— Kiedy on i ja przybyliśmy na Roke z najdalszego zachodu, unoszeni przez smoka… — Zrobił przerwę, a imię smoka — Kallessin — wypowiadało się w myślach Tenar jak uderzenie gongu.

— …smok zostawił mnie tam, a jego poniósł w dal. Odźwierny Domu Roke powiedział wówczas: „Skończył z czynieniem. Wraca do domu". I przedtem — na plaży Selidoru — kazał mi zostawić swoją laskę i powiedział, że nie jest już teraz magiem. Więc Mistrzowie z Roke zgromadzili się, aby wybrać nowego arcymaga. Przyjęli mnie pomiędzy siebie, abym mógł dowiedzieć się tego, co król powinien wiedzieć o Radzie Mędrców. Zastępowałem również jednego spośród nich: Thoriona, Mistrza Przywołań, którego sztuka została obrócona przeciwko niemu samemu przez potężne zło, które odnalazł i któremu położył kres mój pan, Krogulec. Kiedy byliśmy tam, w suchej krainie, między murem i łańcuchem gór, widziałem Thoriona. Mój pan przemawiał doń, wskazując mu drogę powrotną do życia, wiodącą przez mur. Lecz on nie skorzystał z niej. Nie powrócił.

Młodzieniec mocno trzymał się nadburcia swymi silnymi, pięknymi dłońmi. Kiedy mówił, wciąż wpatrywał się w morze. Milczał przez chwilę, a później podjął opowieść.

— Tak, więc powiększyłem liczbę dziewięciu tych, którzy spotkali się, aby wybrać nowego arcymaga.

— Oni są… rozumnymi ludźmi — rzekł rzucając Tenar spojrzenie. — Nie tylko uczonymi w swoim kunszcie, ale mądrymi. Wykorzystują swoje różnice, jak widziałem wcześniej, aby umocnić swą decyzję. Ale tym razem…

— Faktem jest — wtrącił Mistrz Wiatrów widząc, że Lebannen nie

chce, by wyglądało na to, że krytykuje Mistrzów z Roke — że były między nami same różnice i żadnej decyzji. Nie mogliśmy dojść do żadnego porozumienia. Przecież arcymag nie był martwy — żył. Jednak nie był magiem — a mimo to wciąż był panem smoków, jak się zdawało… I ponieważ nasz Mistrz Przemian wciąż był wstrząśnięty obróceniem się jego własnej sztuki przeciwko niemu i wierzył, że Przywołacz powróci ze śmierci, i błagał nas, abyśmy na niego zaczekali… I ponieważ Mistrz Wzorów wcale nie chciał zabierać głosu. Jest Kargiem, pani, jak ty sama; wiedziałaś o tym? Przybył do nas z Karego-At. — Przyglądał się jej swym przenikliwym wzrokiem: Którędy wieje wiatr? — A więc z powodu tego wszystkiego znaleźliśmy się w kropce. Kiedy Odźwierny poprosił o imiona tych, spośród których mieliśmy wybrać, nie padło ani jedno imię. Każdy patrzył na pozostałych…

— Ja patrzyłem w ziemię — przyznał Lebannen.

— Więc w końcu spojrzeliśmy w stronę tego, który zna imiona: Mistrz Imion. On zaś przyglądał się Mistrzowi Wzorów, który nie odezwał się ani słowem, lecz siedział tam pomiędzy swoimi drzewami niczym pniak. To właśnie w Gaju się spotkaliśmy, wiesz, wśród tych drzew, których korzenie są głębsze niż wyspy. Było to późnym wieczorem. Czasem pomiędzy tymi drzewami jest światło, lecz nie tej nocy. Było ciemno, żadnego światła gwiazd, pochmurne niebo ponad listowiem. I wtedy Mistrz Wzorów wstał i przemówił — ale w swoim własnym języku, nie w Dawnej Mowie, nie po hardycku, lecz w języku kargijskim. Niewielu spośród nas go znało czy choćby wiedziało, jaka to była mowa, nie wiedzieliśmy więc, co o tym myśleć. Lecz Dawca Imion wyjaśnił nam, co powiedział Mistrz Wzorów. Rzekł: „Kobieta na Goncie”. Przerwał. Nie patrzył już na nią. Po chwili zapytała:

— Nic więcej?

— Ani słowa więcej. Kiedy nalegaliśmy, patrzył na nas szeroko otwartymi oczyma i nie potrafił odpowiedzieć. Miał wizję, widzisz — dostrzegał on kształt rzeczy, wzorzec. Niewiele z tego można ułożyć w słowa, a jeszcze mniej w myśli. Nie wiedział, co myśleć o tym, co powiedział. A w każdym razie wiedział tyle, co i my. Lecz było to wszystko, co mieliśmy. Mistrzowie z Roke byli nauczycielami, a Mistrz Wiatrów był bardzo dobrym nauczycielem; nie mógł się więc powstrzymać od uczynienia swej opowieści zrozumiałą. Być może bardziej zrozumiałą, niż sobie życzył. Raz jeszcze spojrzał na Tenar i odwrócił wzrok.

— Tak, więc, widzisz, wyglądało na to, że powinniśmy przybyć na Gont. Ale, po co? Szukając, kogo? „Kobieta” — niewiele, żeby przystąpić do działania. Najwyraźniej kobieta ta ma nas prowadzić, w jakiś sposób wskazać nam drogę do naszego arcymaga. A zarazem, jak może się domyślasz, pani, to o tobie była mowa — o jakiejż, bowiem

innej kobiecie z Gontu kiedykolwiek słyszeliśmy. Nie jest to wielka wyspa, lecz twoja sława jest wielka. Później jeden z nas powiedział: „Ona zaprowadzi nas do Ogiona". Wiedzieliśmy jectoak wszyscy, że Ogion dawno temu odmówił zostania arcymagiem i pewnie nie zechciałby przyjąć tej godności teraz, kiedy był stary i schorowany. I rzeczywiście, jak sądzę, Ogion umierał podczas naszej rozmowy. Wtem inny zawołał: „Ależ ona zaprowadzi nas również do Krogulca!". I wtedy naprawdę znaleźliśmy się w mroku.

— Naprawdę — wtrącił Lebannen. — Bo zaczął padać deszcz, tam, między drzewami. — Uśmiechnął się. — Myślałem, że już nigdy więcej nie usłyszę, jak pada deszcz. Sprawiło mi to wielką radość.

— Dziewięciu z nas mokrych — rzekł Mistrz Wiatrów — i jeden z nas szczęśliwy.

Tenar zaśmiała się. To było silniejsze od niej — lubiła tego mężczyznę. Jeśli tak się jej wystrzegał, wypadało jej wystrzegać się jego. Lecz wobec Lebannena i w obecności Lebannena tylko szczerość popłacała.

— Zatem wasza „kobieta na Goncie" nie może być mną, gdyż ja nie zaprowadzę was do Krogulca.

— Moim zdaniem — odrzekł mag z widoczną i być może prawdziwą szczerością — to nie mogłaś być ty, pani. Przede wszystkim Mistrz Wiatrów wypowiedziałby twoje imię, kiedy miał wizję. Bardzo niewielu ludzi nosi otwarcie swoje prawdziwe imiona. Lecz Rada Roke poleciła mi zapytać cię, czy wiesz o jakiejś kobiecie na tej wyspie, która mogłaby być tą, której szukamy — siostrą lub matką człowieka posiadającego moc, lub nawet jego nauczycielką; istnieją, bowiem czarownice bardzo mądre na swój sposób. Może Ogion znał taką kobietę? Mówią, że znał każdą duszę na tej wyspie, mimo że mieszkał sam i wędrował po odludziu. Chciałbym, żeby żył, aby nas teraz wspomóc. Myślała już o rybaczce z opowieści Ogiona. Jednak kobieta ta była stara, kiedy znał ją Ogion, przed laty, i do tej pory musiała już umrzeć. „Chociaż — pomyślała — mawiano, że smoki żyją bardzo długo."

Nie odzywała się przez chwilę, a potem rzekła tylko:

— Nie znam nikogo tego pokroju.

Czuła pohamowane zniecierpliwienie maga. „Czego ona chce?" — myślał niewątpliwie. A ona zastanawiała się, dlaczego nie może mu powiedzieć. Jego głuchota zmuszała ją do milczenia. Nie mogła nawet powiedzieć mu, że jest głuchy.

— A więc — odezwała się wreszcie — nie ma żadnego arcymaga Ziemiomorza. Ale jest król.

— W którym dobrze ulokowaliśmy naszą nadzieję i zaufanie — dodał mag z serdecznością, z którą było mu do twarzy. Lebannen, przyglądając się i słuchając, uśmiechnął się.

— W minionych latach — rzekła Tenar niezdecydowanie — wiele było zmartwień, wiele było nieszczęść. Moja… mała dziewczynka… Takie rzeczy były aż nadto powszednie. I słyszałam, jak mężczyźni i kobiety posiadający moc mówili o zaniku czy też zmianie swojej mocy.

— Ten, którego arcymag i mój pan pokonał w suchej krainie, ten Cob, stał się przyczyną nieopisanego zła i zniszczenia. Długo jeszcze będziemy naprawiać naszą sztukę, uzdrawiać naszych czarnoksiężników i nasze czamoksięstwo — powiedział stanowczo mag.

— Zastanawiam się, czy mogłoby być więcej do zrobienia niż naprawianie i uzdrawianie — rzekła. — Chociaż to też, oczywiście. — Ale zastanawiam się, czy to możliwe, że… że ktoś taki jak Cob mógł posiąść taką moc, ponieważ rzeczy już się zmieniały… i że następowała, nastąpiła, zmiana, wielka zmiana? I że to właśnie z powodu tej zmiany mamy znowu króla w Ziemiomorzu — być może króla zamiast arcymaga?

Mistrz Wiatrów spojrzał na nią, jak gdyby zobaczył bardzo odległą chmurę burzową na najdalszym horyzoncie. Podniósł nawet prawą rękę w ulotnym geście, pierwszym szkicu zaklęcia związującego wiatr, po czym ponownie ją opuścił.

— Nie obawiaj się, pani — powiedział. — Roke i Sztuka Magiczna przetrwa. Nasz skarb jest dobrze strzeżony!

— Powiedz to Kalessinowi — odparła nagle nie mogąc ścierpieć całkowitej nieświadomości jego braku szacunku. Sprawiło to, rzecz jasna, że otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Usłyszał imię smoka. Lecz to nie zmusiło go, aby usłyszał Tenar.

W jakiż sposób on, który nigdy nie słuchał kobiety, odkąd jego matka śpiewała mu ostatnią kołysankę, mógłby ją usłyszeć?

— To prawda — zabrał głos Lebannen. — Kalessin przybył na wyspę Roke, o której mówią, że jest całkowicie bezpieczna od smoków. I to nie dzięki jakiemuś zaklęciu mojego pana, gdyż nie posiadał on już wówczas mocy… Nie sądzę jednak, Mistrzu Wiatrów, żeby pani Tenar obawiała się o siebie.

Mag uczynił żarliwą próbę naprawienia swego występku.

— Przepraszam, pani — rzekł. — Mówiłem jak do zwyczajnej kobiety. O mało się nie roześmiała. Mogła nim wstrząsnąć. Powiedziała tylko obojętnym tonem:

— Moje obawy są zwyczajnymi obawami. — Bez sensu; nie słyszał jej.

Lecz młody król milczał i słuchał.

Chłopiec okrętowy wysoko, w przyprawiającym o zawrót głowy, kołyszącym się świecie masztów, żagli i takielunku, zawołał czysto i słodko:

— Miasto za przylądkiem! — I po chwili ci, którzy byli na dole, na pokładzie, ujrzeli natłok ciemnoszarych dachów, iglice błękitnego dymu, kilka szklanych okien, łowiących blask zachodzącego słońca, oraz doki i mola zatoki Yalmouth na tle atłasowo błękitnej wody.

— Czy mam wprowadzić stadek do portu, czy ty to zrobisz panie? — zapytał kapitan okrętu, a Mistrz Wiatrów odrzekł: — Wprowadź go, mistrzu. Nie chcę mieć do czynienia z tą kupą wraków! — machając ręką wskazał na tuziny statków rybackich zaśmiecających zatokę.

Więc królewski okręt, niczym łabędź wśród kacząteк, wpłynął do portu halsując wolno, pozdrawiany przez każdą łódź, jaką mijał.

Tenar przeglądała doki, lecz nie było tam żadnego innego statku żeglugi morskiej.

— Mam syna żeglarza — zwróciła się do Lebannena. — Myślałam, że jego statek będzie w porcie.

— Jaki to statek?

— Był trzecim matem na „Mewie z Eskel", ale to było ponad dwa lata temu. Mógł zmienić statek. Jest niespokojnym człowiekiem. — Uśmiechnęła się. — Kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy, myślałam, że jesteś moim synem. W niczym go nie przypominasz, jedynie w tym, że jesteś wysoki, szczupły i młody. A ja byłam zdezorientowana, przerażona… Zwyczajne obawy.

Mag wspiął się na stanowisko kapitańskie na dziobie statku. Tenar i Lebannen zostali sami.

— Zbyt dużo jest zwyczajnego strachu — rzekł młodzieniec. Była to jej jedyna szansa porozmawiania z nim na osobności. Wypowiadała pośpieszne i niepewne słowa:

— Chciałam powiedzieć… ale to nie ma sensu… lecz czy nie mogłoby tak być, że na Goncie jest kobieta, nie wiem kto, nie mam pojęcia, ale możliwe, że jest albo będzie, albo może być, kobieta i że oni szukają — że potrzebują — jej. Czy to niemożliwe?

Słuchał. On nie był głuchy. Zmarszczył brwi, skupiony, jak gdyby starał się zrozumieć obcy język. I odrzekł tylko, półszeptem: — Być może.

Rybaczka wrzasnęła w swej maleńkiej łódce: — Skąd? — a chłopak w takielunku odkrzyknął niczym piejący kogut: — Z Królewskiego Miasta!

— Jak się nazywa ten statek — zapytała Tenar. — Mój syn zapyta, jakim statkiem płynęłam.

— „Delfin" — odpowiedział Lebannen uśmiechając się do niej. „Mój synu, mój królu, mój drogi chłopcze — pomyślała. — Jakże chciałabym mieć cię blisko siebie."

— Muszę iść po moją małą — rzekła.

— W jaki sposób dostaniesz się do domu?

— Piechotą. To tylko kilka mil w górę kotliny. — Wskazała za miasto, w głąb lądu, gdzie pomiędzy dwoma ramionami góry, niczym w podołku, leżała rozległa i skąpana w słońcu Dolina Środkowa. — Wioska jest nad rzeką, a moja farma — pół mili od wioski. To piękny zakątek twojego królestwa.

— Ale czy będziesz bezpieczna?

— O tak. Dzisiejszą noc spędzę z moją córką, tu, w Yalmouth. A w wiosce na wszystkich można polegać. Nie będę sama.

Ich oczy spotkały się na chwilę, lecz żadne nie wymówiło imienia, o którym oboje myśleli.

— Czy oni przybędą znowu z Roke? — zapytała. — Poszukując „kobiety na Goncie" albo jego?

— Nie jego. Tego, jeśli ponownie to zaproponują, ja im zabronię — odrzekł Lebannen nie uświadamiając sobie, jak wiele powiedział jej w tych trzech słowach. — Lecz co się tyczy ich poszukiwań nowego arcymaga lub kobiety z wizji Mistrza Wzorów, to tak, one mogą przywieść ich tutaj. I być może do ciebie.

— Będą mile widziani w Dolinie Środkowej — rzekła. — Choć nie tak mile widziani, jak byłbyś ty.

— Przyjadę, kiedy będę mógł — powiedział trochę surowo, a trochę tęsknie. — Jeżeli będę mógł.

11. DOM

Kiedy mieszkańcy Yalmouth dowiedzieli się, że przypłynął okręt z Havnoru, większość z nich zeszła do portu, aby zobaczyć młodego króla, opiewanego w pieśniach. Nie znali jeszcze tych pieśni, lecz znali dawne, a stary Relli przyszedł ze swoją harfą i zaśpiewał fragment Czynów Morreda, gdyż król Ziemiomorza na pewno był spadkobiercą Morreda. Niebawem sam władca wyszedł na pokład — najmłodszy, najwyższy i najprzystojniejszy, jaki mógł być. Obok niego stał mag z Roke oraz kobieta i mała dziewczynka w starych płaszczach, niewiele lepszych od żebraczych łachów. Król traktował je, jakby były królową i księżniczką, więc może nimi były.

— Może to jego matka? — zaciekawiła się Shinny, a Apple odrzekła:

— Moja. A to jest Therru. — Jednak nie zaczęła przepychać się przez tłum, nawet, kiedy oficer ze statku zszedł na ląd, zapraszając starego Relliego na pokład, aby zagrał dla króla.

Czekała wraz z innymi. Widziała, jak król przyjmuje dostojników z Yalmouth i słyszała, jak śpiewa dlań Relli. Patrzyła, jak żegna swych gości, gdyż — jak mówili ludzie — okręt zamierzał jeszcze przed zmrokiem wypłynąć ponownie na pełne morze i udać się w drogę do domu, do Havnoru. Ostatnimi, które przeszły przez trap, były Themi i Tenar. Król oficjalnie uścisnął obie, przykładając policzek do policzka i klękając, by objąć Themi. „Ach!" — westchnął tłum na nabrzeżu. Słońce zachodziło w złotej mgle, kładąc przez zatokę wielki złoty szlak, kiedy ta dwójka schodziła na ląd. Tenar taszczyła ciężki tobołek i torbę. Therru schyliła głowę i ukryła twarz we włosach. Wciągnięto trap, żeglarze skoczyli do takielun-ku i okręt „Delfin", rozbrzmiewający komendami oficerów, odwrócił się i wyruszył w drogę. Wówczas Apple nareszcie utorowała sobie drogę przez tłum.

— Witaj, matko — rzekła, a Tenar odpowiedziała: — Witaj córko. Ucałowały się, Apple podniosła Therru i zawołała:

— Jak ty urosłaś? Jesteś dwa razy większa, niż byłaś. Chodźcie, chodźcie ze mną do domu.

A jednak Apple była nieco onieśmielona w obecności swojej matki, tego wieczora, w miłym domu swego męża, kupca. Spojrzała na nią kilka razy zadumanym, niemal ostrożnym wzrokiem.

— Wesz, matko, nigdy nie znaczyło to dla mnie wiele — powiedziała przy drzwiach sypialni Tenar. — To wszystko: Run Pokoju i ty, przynosząca Pierścień do Havnoru. To było zupełnie jak jedna z pieśni. Tysiąc lat temu! Ale to naprawdę byłaś ty — prawda?

— To była dziewczyna z Atuanu — odrzekła Tenar. — Tysiąc lat temu. Wydaje mi się, że mogłabym spać przez tysiąc lat Właśnie teraz.

— No to idź do łóżka. — Apple odwróciła się, po czym zawróciła z lampą w ręku. — Królewska całuśnico.

— Co ty opowiadasz? — burknęła Tenar.

Apple i jej mąż chcieli zatrzymać Tenar przez parę dni, lecz zdecydowała ona udać się na farmę. Apple i Therru poszły z nią wzdłuż spokojnej, srebrzystej Kahedy. Lato przeradzało się w jesień. Słońce wciąż było upalne, lecz wiał chłodny wiatr. Zakurzone listowie drzew wyglądało jak zmęczone. Pola były skoszone lub trwały na nich żniwa.

Apple mówiła o tym, o ile silniejsza jest Therru i z jakim wigorem teraz kroczy.

— Szkoda, że nie widziałaś jej w Re Albi — rzekła Tenar. — Zanim… — i przerwała. Postanowiła nie martwić tym wszystkim swojej córki.

— Co się stało? — zapytała Apple, tak wyraźnie zdecydowana wiedzieć, że Tenar poddała się i odrzekła niskim głosem: — Jeden z nich.

Therru była kilka jardów przed nimi — długonoga, w sukience, z której wyrosła. Idąc wypatrywała jeżyn w żywopłotach.

— Jej ojciec? — spytała Apple, a myśl ta wywołała w niej obrzydzenie.

— Lark mówiła, że ten, który wydaje się być ojcem, nazywa się Hake. Ten jest młodszy. To ten, który przyszedł, do Lark, żeby jej powiedzieć. Nazywa się Handy. On… włóczył się po Re Albi. A później pechowo wpadłyśmy na niego w Porcie Gont. Ale król go odprawił. I teraz ja jestem tutaj, a on tam i wszystko skończone.

— Ale Therru się bała — rzekła surowo Apple. Tenar skinęła głową.

— Dlaczego poszłaś do Portu Gont?

— Och, otóż ten Handy pracował dla człowieka… czarodzieja w domu władcy Re Albi, który poczuł do mnie niechęć… — Próbowała przypomnieć sobie imię użytkowe czarodzieja i nie potrafiła; wszystkim, co przychodziło jej na myśl, było Tuaho, kargijskie słowo oznaczające pewne drzewo, ale nie pamiętała, jakie dokładnie.

— Więc?

— No cóż, wyglądało na to, że lepiej będzie po prostu wrócić do domu.

— Ale za co ten czarodziej cię nie lubił?

— Głównie za to, że jestem kobietą.

— Pni. Skórka starego sera.

— Skórka młodego sera, w tym przypadku.

— Jeszcze gorzej. Nikt, kogo znam lu w pobliżu, nie widział jej rodziców, jeśli to jest właściwe słowo na ich określenie. Jeżeli jednak wciąż się tu kręcą, to nie chcę, żebyś była sama w domu na farmie.

Przyjemnie jest być otaczaną matczyną opieką przez córkę i przyjmować tę opiekę jak dziecko. Tenar jednak odparła niecierpliwie:

— Nic mi się nie stanie!

— Mogłabyś przynajmniej postarać się o psa.

— Myślałam o tym. Może ktoś w wiosce ma szczeniaka. Zapytamy Lark, kiedy do niej wstąpimy.

— Nie szczeniaka, matko. Psa.

— Ale młodego. Takiego, z którym mogłaby się bawić Therru — broniła się.

— Miłego szczeniaka, który będzie się łasił do włamywaczy — odparła Apple. Kroczyła dalej, hoża i szarooka, śmiejąc się ze swej matki.

Dotarły do wioski około południa. Lark powitała Tenar i Therru obfitością uścisków, pocałunków, pytań i jedzenia. Łagodny mąż Lark i inni wieśniacy wstępowali, by przywitać się z Tenar. Czuła szczęście powrotu do domu.

Lark i dwoje najmłodszych spośród jej siedmiorga dzieci towarzyszyli im w drodze na farmę. Dzieci znały oczywiście Therru od czasu, kiedy Lark po raz pierwszy przyniosła ją do domu i były do niej przyzwyczajone. Jednak dwumiesięczna rozłąka sprawiła, że z początku byty nieśmiałe. Wobec nich, a nawet wobec Lark, Therru pozostała zamknięta w sobie, bierna, jak za dawnych, złych czasów.

— Jest wyczerpana, zdezorientowana tymi wszystkimi podróżami. Przezwycięży to. Nadzwyczaj szybko wraca do zdrowia — powiedziała Tenar do Lark, lecz Apple nie miała zamiaru pozwolić jej poprzestać na tym.

— Jeden z nich zjawił się i nastraszył ją i matkę — rzekła. I po trochu, wspólnymi siłami, córka i przyjaciółka wydobyły od Tenar relację ze wszystkich przeżyć. A kiedy otworzyły wyziębiony, duszny, wypełniony kurzem dom, przewietrzyły pościel, pokiwały głowami nad kiełkującą cebulą, włożyły odrobinę żywności do spiżarni i wstawiły wielki kocioł zupy na wieczerzę, Tenar trudno było opowiadać. Teraz jakoś nie mogła im powiedzieć, co uczynił czarodziej. „Zaklęcie — rzekła wymijająco — a być może to on wysłał za nią Handy'ego”. Kiedy jednak zaczęła mówić o królu, słowa popłynęły nieprzerwanym strumieniem.

— A tam był on — król! Niczym ostrze szpady. I Handy cofnął się i kurczył przed nim. A ja myślałam, że to Spark! Myślałam, naprawdę myślałam przez moment, byłam taka… taka zdenerwowana…

— No — rzekła Apple. — To wszystko w porządku, bo Shinny myślała, że jesteś jego matką. Kiedy na przystani przyglądałyśmy się, jak przybywasz w chwale. Pocałowała go, wiesz, Ciociu Lark. Pocałowała króla — ot tak. Myślałam, że ucałuje też tego maga. Ale nie zrobiła tego.

— Do głowy mi by nie przyszło, coś takiego. Jakiego maga? — odezwała się Lark z głową w kredensie. — Gdzie jest twój worek z mąką, Goha?

— Trzymasz na nim rękę. Rokijski mag, przybył poszukując nowego arcymaga.

— Tutaj?

— Czemu nie? — odparła Apple. — Ostatni był z Gontu, nieprawdaż? Niewiele jednak czasu spędzili na szukaniu. Pożeglowali z powrotem prosto do Havnoru, jak tylko pozbyli się matki.

— Co ty powiesz?

— Mówił, że szuka kobiety — mówiła dalej Tenar. — „Kobiety na Goncie". Lecz nie wydawał się być zbytnio uradowany swoim zadaniem.

— Czarnoksiężnik szukający kobiety? O, to coś nowego — zdziwiła się Lark. — Myślałam, że do tego czasu stoczą ją wołki, ale jest zupełnie dobra. Upiekę parę bochenków chleba, dobrze? Gdzie jest olej?

— Będę musiała spuścić trochę z garnka w chłodni. O, Shandy! A więc jesteś! Jak się masz? Jak się ma Clearbrook? Co słychać? Sprzedałaś jagnięta?

Zasiedli w dziewiątkę do wieczerzy. W łagodnym, żółtym blasku wieczora, w kuchni o kamiennej podłodze, przy długim, gospodarskim stole Therru zaczęła unosić nieco głowę i odezwała się kilka razy do innych dzieci. Wciąż jednak kuliła się i kiedy zapadł zmierzch, usiadła tak, by jej widzące oko mogło obserwować okno.

Dopiero, kiedy Lark wraz ze swymi dziećmi poszła do domu, a Apple śpiewała Therru do snu, Tenar — zmywając naczynia z Shandy — zapytała o Geda. Jakoś nie chciała tego robić, kiedy słuchały Lark i Apple. Musiałaby wiele wyjaśniać. Zupełnie zapomniała wspomnieć o jego pobycie w Re Albi. I nie chciała już więcej rozmawiać o Re Albi. Jej umysł zdawał się mrocznieć, kiedy próbowała o tym myśleć.

— Czy w zeszłym miesiącu przyszedł tu ode mnie mężczyzna… żeby pomóc przy pracy?

— Och, zupełnie zapomniałam! — zawołała Shandy. — Masz na myśli Sokoła — tego z bliznami na twarzy?

— Tak — odrzekła Tenar. — Sokoła.

— O, tak, cóż, przypuszczam, że będzie na Górze Gorących Źródeł, nad Lissu, z owcami Serry'ego. Przyszedł tu i mówił, jak to go przysłałaś, a tutaj nie było dla niego ani odrobiny pracy, wiesz, skoro Clearbrook i jak doglądamy owiec, ja zajmuję się mleczarnią, a stary Tiff i Sis pomagają mi, kiedy trzeba, więc łamałam sobie głowę, ale Clearbrook mówi tak: „Idź spytać człowieka Ser-ry'ego, nadzorcę Rolnika Serry'ego nad Kahedanan, czy na wysokich pastwiskach nie

potrzebują pasterzy” — powiedział mu Clearbrook i to właśnie zrobił. I z miejsca przyjęli go do pracy. Więc niewątpliwie jesienią wróci na dół ze stadami. Tam na górze, na Długich Turniach nad Lissu, na wysokich pastwiskach. Myślę, że może to do kóz go chcieli. Miły gość. Owce albo kozy, nie pamiętam, które. Mam nadzieję, że to dla ciebie dobrze, że nie zatrzymaliśmy go tutaj, Goha, ale naprawdę nie było dla niego ani odrobiny pracy, skoro jestem ja, Clearbrook i stary Tiff. I Sis zebrała len. A on powiedział, że był pasterzem tam, skąd pochodzi, za górą, gdzieś nad Armouth, chociaż mówił, że nigdy nie pasał owiec. Może to przy kozach go zatrudnili.

— Być może — odrzekła Tenar. Zrobiło jej się lżej na sercu, a jednocześnie poczuła rozczarowanie. Chciała wiedzieć, że jest bezpieczny i zdrów, ale pragnęła również zastać go tutaj.

„Wystarczy jednak — powiedziała do siebie — po prostu być w domu”. I może lepiej, że go tu nie było, że nie było tu tego wszystkiego. Raz na zawsze pozostawiła za sobą wszystkie smutki, sny, czary i obawy Re Albi. Była tutaj, teraz i to był dom — te kamienne podłogi i ściany, te okna o małych szybach, za którymi w blasku gwiazd stały mroczne dęby, te spokojne, posprzątane pokoje. Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Jej córka spała w sąsiedniej izbie, w pokoju dziecinnym z Themi, a Tenar leżała w swoim łóżku, w łóżku swego męża, sama.

Zasnęła. Kiedy się obudziła, nie pamiętała żadnego snu.

Po kilku dniach na farmie, przestała już niemal wracać myślą do lata spędzonego na Overfell. To było dawno temu i daleko stad. Mimo, że Shandy upierała się przy tym, że w gospodarstwie nie było ani odrobiny pracy, Tenar odkryła mnóstwo rzeczy, które wymagały zrobienia: wszystko, co nie zostało załatwione przez całe lato i wszystko, co musiało być zrobione w porze zbiorów na polach i w mleczarni. Pracowała od świtu do zmroku, a jeśli przypadkiem miała godzinę na odpoczynek — przędła albo szyła dla Therru. Skończyła wreszcie czerwoną sukienkę i była to piękna sukienka z białym fartuszkiem od święta i pomarańczowo-brązowym, na co dzień.

— Teraz wyglądasz pięknie! — rzekła Tenar z dumą, kiedy Therru po raz pierwszy ją przymierzyła. Therru odwróciła twarz.

— Jesteś piękna — powiedziała, Tenar innym tonem. — Posłuchaj mnie, Therru. Chodź tutaj. Masz blizny, szpetne blizny, ponieważ uczyniono ci krzywdę. Coś strasznego. Ludzie widzą blizny. Lecz widzą również ciebie, a ty nie jesteś tymi bliznami. Nie jesteś szpetna. Nie jesteś zła. Jesteś Therru i jesteś piękna. Jesteś Therru, która może pracować, chodzić, biegać i pięknie tańczyć w czerwonej sukience.

Dziewczynka słuchała z miękką, nieuszkodzoną częścią twarzy równie pozbawioną wyrazu jak część nieruchoma, pokryta maską

blizn. Spuściła wzrok na dłonie Tenar i nagle dotknęła ich swymi małymi paluszkami.

— To piękna sukienka — odezwała się swoim słabym, ochrypłym głosem.

Kiedy Tenar została sama i zwijała skrawki czerwonej tkaniny, piekące łzy napłynęły jej do oczu. Czuła się skarcona. Dobrze zrobiła, że uszyła tę sukienkę i powiedziała dziecku prawdę. Lecz dobro i prawda nie wystarczyły. Poza dobrem i prawdą była luka, pustka, przepaść. Miłość, jej miłość dla Therru i Therru dla niej, zbudowała most ponad tą przepaścią, most z pajęczej sieci, ale ten most nie zamknął przepaści. Ona pozostała. I dziecko wiedziało o tym lepiej niż ona.

Nadszedł dzień równonocy. Jaskrawe słońce jesieni płonęło poprzez mgłę. Pierwszy brąz błysnął w liściach dębów. Szorując miski po śmietanie w mleczarni, przy oknie i drzwiach szeroko otwartych na wonne powietrze, Tenar myślała o tym, że jej młody król zostanie tego dnia ukoronowany w Havnorze. Panowie i panie będą się przechadzać w swoich błękitnych, zielonych i karmazyno-wych szatach, lecz on będzie ubrany na biało. Wejdzie do Wieży Miecza, po tych samych stopniach, na które wspinali się ona i Ged. Na jego głowie umieszczą koronę Morreda. Odwróci się, kiedy zabrzmią trąbki i zasiądzie na tronie, który był pusty przez tak wiele lat. Spojrzy na swoje królestwo tymi ciemnymi oczyma, które poznały, czym jest ból i czym jest strach.

„Panuj dobrze, panuj długo, biedny chłopcze! — pomyślała. — To Ged powinien był włożyć koronę na jego głowę. Powinien był pojechać."

Ale Ged wypasał owce czy też kozy bogacza, na wysokich pastwiskach. Była piękna, sucha, złota jesień i siadanie zostaną sprowadzone na dół, dopóki tam, wysoko, nie spadnie śnieg. Kiedy Tenar poszła do miasteczka, nie omieszkała zajrzeć do chatki Ivy, na końcu Mili Lane. To, że poznała Moss w Re Albi, sprawiło, że zapragnęła poznać lepiej Ivy, o ile zdołałaby pokonać podejrzliwość i zawiść czarownicy. Brakowało jej Moss, mimo że tutaj miała przy sobie Lark. Uczyła się od niej i pokochała ją, a Moss dała zarówno jej, jak i Therru coś, czego potrzebowały. Miała nadzieję znaleźć tu coś podobnego. Jednak Ivy, choć o wiele czystsza i rzetelniejsza od Moss, nie miała zamiaru zrezygnować z niechęci do Tenar. Traktowała dowody jej przyjaźni ze wzgardą, na którą — przyznawała Tenar — być może zasługiwały. „Ty idziesz swoją drogą, ja idę swoją" — mówiła jej czarownica bez słów. I Tenar była posłuszna, chociaż nadal odnosiła się do Ivy z wyraźnym szacunkiem, kiedy się spotykały. Uważała, że lekceważyła ją zbyt często i zbyt długo i winna jej była wynagrodzenie. Najwyraźniej akceptując to, czarownica przyjmowała

swoją należność z niezmiennym gniewem.

W połowie jesieni do doliny przybył czarownik Beech, wezwany przez bogatego rolnika, aby wyleczyć jego podagrę. Zatrzymywał się, jak zawsze, na krótko we wsiach Doliny Środkowej i spędził jedno popołudnie na Dębowej Farmie badając stan zdrowia Therru i rozmawiając z Tenar. Chciał wiedzieć wszystko, co mogła mu powiedzieć na temat ostatnich dni Ogiona. Był uczniem ucznia Ogiona i gorącym wielbicielem maga Gontu. Tenar przekonała się, że może mówić o Ogionie równie łatwo, jak o innych ludziach z Re Albi, powiedziała więc wszystko, co potrafiła. Kiedy skończyła, zapytał ostrożnie:

— A arcymag — czy on przyjechał?

— Tak — odrzekła Tenar.

Beech, gładkoskóry, czterdziestoletni mężczyzna o łagodnym wyglądzie, ze skłonnością do otyłości, z ciemnymi półkolami pod oczyma, które przeczyły uprzejmości oblicza, spojrzał na nią i nie spytał o nic.

— Przybył po śmierci Ogiona. I odszedł — rzekła. I zaraz dodała: — Nie jest już arcymagiem. Wiedziałeś o tym? Beech skinął głową.

— Czy jest jakaś wieść o wyborze nowego arcymaga? Czarownik potrząsnął głową.

— Niedawno przypłynął statek z Enladów, ale jego załoga nie mówiła o niczym poza koronacją. Byli nią całkowicie pochłonięci! I mam wrażenie, że wszystkie wróżby były pomyślne. Jeśli dobra wola magów jest cenna, to nasz młody król jest bogatym człowiekiem… I aktywnym, jak się zdaje. Tuż zanim opuściłem Yalmouth, z Portu Gont nadszedł lądem rozkaz dla szlachty, kupców oraz burmistrza i jego rady, aby zgromadzili się i dopilnowali, by bailiffowie okręgu byli zacnymi i odpowiedzialnymi ludźmi, gdyż są oni teraz przedstawicielami króla, mają wypełniać jego wolę i stanowią jego prawo. Cóż, możesz sobie wyobrazić, jak powitał to Lord Heno!

Heno był sławnym patronem piratów i większość bailiffów i szeryfów morskich z Południowego Gontu długo siedziała u niego w kieszeni.

— Znaleźli się jednak ludzie, którzy z poparciem króla skłonni byli stawić czoła Lordowi Heno — mówił dalej Beech. — Z miejsca zdymisjonowali starą klikę i mianowali piętnastu nowych bailiffów, przyzwoitych ludzi, opłacanych z funduszu burmistrza. Heno wypadł stamtąd jak burza, poprzysięgając zemstę. To nowy czas! Oczywiście nie od razu, lecz już nadchodzi. Szkoda, że Mistrz Ogion tego nie dożył.

— Dożył — odrzekła Tenar. — Kiedy umierał, uśmiechnął się i powiedział: „Wszystko się zmieniło…”

Beech przyjął jej słowa ze zwykłym spokojem powoli kiwając głową.

— Wszystko się zmieniło — powtórzył. Po chwili powiedział:

— Mała ma się bardzo dobrze.

— Tak… Czasami jednak myślę, że nie dość dobrze.

— Pani Goho — rzekł czarownik. — Gdybym ja czy jakikolwiek czarownik albo czarownica, czy też, ośmielam się powiedzieć, czarnoksiężnik opiekował się nią i użył dla niej całej uzdrowicielskiej mocy Sztuki Magicznej przez wszystkie te miesiące od czasu, kiedy została skrzywdzona, nie powodziłoby jej się lepiej. Być może nie tak dobrze, jak teraz. Zrobiłaś wszystko, co można było zrobić, pani. Uczyniłaś cud.

Wzruszyła ją jego szczera pochwała, a mimo to zasmuciła i powiedziała mu, dlaczego.

— To nie wystarczy — rzekła. — Nie potrafię jej uleczyć. Ona jest… Co mam robić? Co się z nią stanie? Boję się.

— O nią?

— Boję się, ponieważ jej strach przyciąga do niej przyczynę jej obaw. Boję się, ponieważ… Lecz nie mogła znaleźć na to słów.

— Jeśli będzie żyła w strachu, będzie czynić zło — rzekła wreszcie. — Tego się boję.

Czarownik zadumał się.

— Myślałem — odezwał się w końcu z wahaniem — że może, jeśli posiada dar, a przypuszczam, że tak, to mogłaby przyuczyć się trochę Sztuki. I gdyby została czarownicą, jej… wygląd nie przemawiałby tak bardzo przeciwko niej. Być może… — Odchrząknął. — Są czarownice, które wykonują bardzo zaszczytną pracę — dodał.

Tenar przeciągnęła między palcami trochę nici, którą uprzędła, sprawdzając jej gładkość i wytrzymałość.

— Ogion przykazał mi ją uczyć. „Naucz ją wszystkiego” — powiedział, a potem dodał: „Nie Roke”. Nie wiem, co miał na myśli. Beech odpowiedział bez wahania.

— Chciał powiedzieć, że nauka na Roke — Wyższe Kunszty — nie byłaby odpowiednia dla dziewczyny. Nie mówiąc już o dziewczynie tak upośledzonej. Ale jeśli powiedział, żeby nauczyć ją wszystkiego oprócz tej wiedzy, wyglądałoby na to, że on również zauważył, iż jej droga mogłaby śmiało być drogą czarownicy. — Znowu się zamyślił, z większą pewnością, gdyż miał po swej stronie wagę opinii Ogiona. — Za rok lub dwa, kiedy podrośnie i będzie silniejsza, mogłabyś pomyśleć o poproszeniu Ivy, żeby zaczęła ją odrobinę uczyć. Nie za dużo, oczywiście, dopóki nie otrzyma swego prawdziwego imienia. Tenar odczuła nagły, silny opór wobec tej sugestii. Nie odezwała się ani słowem, ale Beech był wrażliwym człowiekiem.

— Ivy jest surowa — rzekł. — Lecz to, co potrafi, robi uczciwie. A nie można tego powiedzieć o wszystkich czarownicach. Słaby jak babskie czary, wiesz i złośliwy jak babskie czary \ Znam jednak czarownice obdarzone prawdziwą mocą uzdrawiania. Uzdrawianie przystoi kobiecie. Jest dla niej naturalne. A dziewczynka mogłaby mieć do tego szczególne zacięcie… skoro sama jest tak poraniona.

Tenar pomyślała, że jego życzliwość jest niewinna. Podziękowała mu mówiąc, że musi dobrze zastanowić się nad tym, co powiedział. I naprawdę to zrobiła.

Przed końcem miesiąca wieśniacy z Doliny Środkowej zgromadzili się w Okrągłej Stodole Sodevy, aby mianować swoich własnych bailiffów i urzędników pokoju i nałożyć na siebie podatek, przeznaczony na pobory dla nich. Takie były królewskie rozkazy, przyniesione burmistrzom i starszyźnie wiosek i były wypełniane z ochotą, gdyż na drogach, jak zawsze, było wielu bezczelnych żebraków i złodziei, a rolnicy i wieśniacy gorąco pragnęli porządku i bezpieczeństwa. Powtarzali sobie kilka nieprzyjemnych pogłosek, takich jak ta, że Lord Heno utworzył Radę Łotrów i werbował wszystkich szubrawców w okolicy, by chodzili bandami i rozbijali głowy urzędników królewskich, ale większość ludzi rzekła na to „Niech tylko spróbują!" Rozeszli się do domów mówiąc sobie nawzajem, ze teraz uczciwy człowiek może nocą spać bezpiecznie w łóżku i że to, co idzie źle, król doprowadza do ładu, chociaż podatki przekraczają wszelkie granice rozsądku i ludzie nigdy nie wyjdą z nędzy, próbując je spłacić.

Tenar rada była dowiedzieć się o tym wszystkim, ale nie przejęła się tym za bardzo. Pracowała bardzo ciężko. Odkąd dotarła do domu, niemal bezwiednie postanowiła, że nie pozwoli myśli o Handym czy jakimkolwiek podobnym łotrze rządzić życiem Therru lub jej własnym. Nie mogła stale trzymać dziewczynki przy sobie, a tym samym odnawiała jej obawy, wiecznie przypominające o tym, co nie pozwalało jej żyć. Aby zdrowo się rozwijać, dziecko musi być wolne i musi wiedzieć, że jest wolne.

Stopniowo pozbyła się bojaźliwego sposobu bycia, wyprostowała się i sama chodziła po farmie i bocznych drogach, a nawet do wioski. Tenar nie udzielała jej ani słowa przestrogi, nawet, kiedy musiała się od tego powstrzymywać. Therru był bezpieczna na farmie, bezpieczna w wiosce, nikt nie zamierzał jej zranić — to należało traktować jako rzecz nie ulegającą wątpliwości. I rzeczywiście Tenar niezbyt często poddawała to w wątpliwość. Z nią samą, z Shandy i Clearbrookiem w pobliżu domu, z Sis i Tiffem na dole w niższym domu, z rodziną Lark w całej wiosce i ze słodką jesienią Doliny Środkowej — jaka krzywda mogła się stać dziecku?

Wystarała się również o psa, kiedy usłyszała o takim, jakiego

chciała: jednym z wielkich, szarych, kudłatych gontyjskich owczarków.

Od czasu do czasu myślała jak kiedyś, w Re Albi: „Muszę uczyć to dziecko! Ogion tak powiedział". A jednak wydawało się, że dziecko nie nauczyło się niczego oprócz pracy na farmie i opowieści — wieczorami, kiedy te stawały się krótsze i Tenar zaczęła siadywać z Therru po kolacji przy kuchennym ogniu, tuż przed snem. Być może Beech miał rację i Therru powinna zostać wysłana do czarownicy, żeby nauczyć się tego, co wiedziały czarownice. To było lepsze niż posłanie jej na praktykę do tkacza, jak zamierzała uczynić Tenar. Lecz nie aż tak dalece lepsze. Wciąż była niezbyt duża i niewiele wiedziała jak na swój wiek, gdyż nie uczono jej niczego, zanim przybyła na Dębową Farmę. Była niczym małe zwierzątko, ledwo znające ludzką mowę i nie posiadające żadnych ludzkich umiejętności. Uczyła się szybko i była o wiele bardziej pracowita od niesfornych dziewczynek i roześmianych, leniwych chłopców Lark. Umiała sprzątać, podawać do stołu i prząść, trochę gotować, trochę szyć, doglądać drobiu, przyprowadzać krowy i wykonywać doskonałą pracę w mleczami. Prawdziwa gospodarska dziewka — nazwał ją stary Tiff, odrobinę się przypochlebiając. Tenar widziała również, jak ukradkiem uczynił znak chroniący przed złem, kiedy mijała go Therru. Jak większość ludzi, Tiff sądził, że człowiek jest tym, co mu się przydarza. Bogaty i silny musi posiadać cnoty; ten, któremu wyrządzono zło, musi być zły i może zostać słusznie ukarany.

W takim razie nie na wiele zdałoby się, gdyby Therru została najprawdziwszą gospodarską dziewką na Goncie. Nawet dobrobyt nie pomniejszyłby widocznego piętna tego, co jej zrobiono. Beech myślał o tym, by została czarownicą akceptując to piętno i robiąc z niego użytek. Czy właśnie to miał na myśli Ogion, gdy powiedział: „Nie Roke"; gdy powiedział: „Będą się jej lękać"? Czy to było wszystko?

Pewnego dnia, kiedy przypadkiem zetknęły się na wiejskiej ulicy, Tenar zwróciła się do Ivy:

— Chcę ci zadać pewne pytanie, pani Ivy. W sprawie twego fachu. Wiedźma zmierzyła ją jadowitym spojrzeniem.

— Mego fachu, czyżby? Tenar skinęła głową.

— Chodź, zatem — rzekła Ivy wzruszywszy ramionami i poprowadziła ją uliczką Mili Lane do swego małego domu.

Nie był on siedliskiem infamii i kurcząt, jak dom Moss, lecz był domem czarownicy: belki gęsto zawieszone suszącymi się ziołami, ogień zasypany szarym popiołem z jednym maleńkim węgielkiem mrugającym jak czerwone oko, tłusty czarny kot z jednym białym wąsem, śpiący na wysokiej półce, i wszędzie obfitość małych pudełek, garnków, dzbanków, tacek i zakorkowanych butelek, wszystko aromatyczne, cierpkie, słodkie i dziwne.

— Co mogę dla ciebie zrobić, pani Goho? — zapytała oschle Ivy, kiedy znalazły się w środku.

— Powiedz mi, z łaski swojej, czy myślisz, że moja wychowanka Therru, ma jakiś dar do twojej sztuki — jakąś moc w sobie?

— Ona? Oczywiście — odrzekła wiedźma.

Rychła i lekceważąca odpowiedź nieco zbiła Tenar z tropu.

— No cóż — odezwała się — zdaje się, że Beech też tak sądził.

— Ślepy nietoperz w jaskini by to dostrzegł — powiedziała Ivy. — Czy to wszystko?

— Nie. Potrzebuję twojej rady. Kiedy zadam pytanie, będziesz mogła mi podać cenę odpowiedzi. Zgoda?

— Zgoda.

— Czy powinnam oddać Therru do terminu na czarownicę, kiedy będzie trochę starsza?

Ivy milczała przez chwilę, decydując się na swoje honorarium, jak sądziła Tenar. Zamiast tego odpowiedziała na pytanie.

— Nie wzięłabym jej — rzekła.

— Dlaczego?

— Bałabym się — odparła wiedźma, utkwiwszy nagle w Tenar dzikie spojrzenie.

— Bała? Czego?

— Jej! Czym ona jest?

— Dzieckiem. Dzieckiem, z którym brutalnie postąpiono!

— To nie wszystko, czym jest.

Mroczny gniew wstąpił w Tenar i zapytała:

— Czy w takim razie uczennica wiedźmy musi być dziewicą? Ivy wytrzeszczyła na nią oczy. Po chwili rzekła:

— Nie to miałam na myśli.

— A co miałaś na myśli?

— Chcę powiedzieć, że nie wiem, czym ona jest. Chcę powiedzieć, że kiedy patrzy na mnie tym jednym widzącym i jednym ślepym okiem, nie wiem, co widzi. Widzę, jak przechadzasz się z nią, jakby była pierwszym lepszym dzieckiem i myślę: „Czym one są?" Jaką siłę posiada ta kobieta, nie jest, bowiem wariatką, żeby trzymać za rękę ogień, żeby prząść nić trąbą powietrzną? Mówię, pani, że jako dziecko sama mieszkałaś z Dawnymi, Mrocznymi, Tymi, Którzy Są Pod Stopami, i że byłaś królową i sługą tych mocy. Może właśnie, dlatego nie boisz się tej. Jaką ona jest mocą, nie wiem, nie mówię. Lecz wiem, że to przekracza granice mojej wiedzy, czy Beecha, czy też wszystkich czarownic i czarodziejów, jakich kiedykolwiek znałam! Udzielę ci rady, pani, za darmo. Oto ona: Strzeż się! Strzeż się jej w dniu, w którym odnajdzie swoją siłę! To wszystko.

— Dziękuję ci, pani Ivy — odrzekła Tenar z ceremonialnością Kapłanki Grobowców Atuanu i wyszła z ciepłej izby aa słaby,

przenikliwy wiatr końca jesieni.

Wciąż była rozgniewana. Nikt nie chciał jej pomóc — myślała. Wiedziała, że to zadanie przekracza jej siły, nie musieli jej tego mówić — lecz żadne z nich nie chciało jej pomóc. Ogion umarł, stara Moss deklamowała, Ivy ostrzegała, Beech trzymał się z dala, a Ged — jedyny, który naprawdę mógł pomóc — Ged uciekł. Umknął jak zbity pies i nie przysłał jej żadnego znaku ani wiadomości, nigdy nie pomyślał o niej czy o Therru, lecz tylko o swojej drogocennej hańbie. To było jego dziecko, jego wychowanka. To było wszystko, o co dbał. Nigdy nie troszczył się o nią, nie myślał o niej, tylko o mocy — jej mocy, swojej mocy, w jaki sposób mógł z niej korzystać, w jaki sposób mógł wydobyć z niej więcej mocy. Składając złamany Pierścień, tworząc Run, osądzając króla na tronie. A kiedy stracił swoją moc, wciąż była ona wszystkim, o czym potrafił myśleć: że została stracona, zgubiona, pozostawiła go samemu sobie, jego hańbie, jego pustce.

„Nie jesteś uczciwa" — rzekła Goha do Tenar.

„Uczciwa! — żachnęła się Tenar. — A czy on grał uczciwie?"

'Tak — odrzekła Goha. — Grał. Albo próbował."

„Cóż, zatem może grać uczciwie z kozami, które wypasa; nic mnie to nie obchodzi" — odparła Tenar, mozolnie maszerując w stronę domu, na wietrze i w pierwszym, rzadkim, zimnym deszczu.

— Może dziś w nocy spadnie śnieg — powiedział dzierżawca Tlff, spotkawszy ją na drodze wśród łąk nad Kahedą.

— Śnieg tak wcześnie? Mam nadzieję, że nie.

I kiedy słońce było już nisko, chwycił mróz: deszczowe kałuże i poidła zaszkliły się, a potem pokryły się lodem; trzciny nad Kahedą znieruchomiały; sam wiatr ucichł jakby zamarznięty, niezdolny do tego, aby się poruszyć. Przy ogniu — wonniejszym niż ogień Ivy, gdyż drzewo pochodziło ze starej jabłoni, która została ścięta w sadzie zeszłej wiosny — usiadła Tenar i Therru, by prząść i rozmawiać po kolacji.

— Opowiedz historię o kocich duchach — poprosiła Therru swoim ochrypłym głosem, kiedy puściła w ruch kołowrotek, aby uprząść kłąb ciemnej, jedwabistej koziej wełny.

— To letnia historia. Therru zadarła głowę.

— Zimowe historie powinny być wielkimi historiami. Zimą uczysz się Stworzenia Ea, tak abyś mogła śpiewać ją na Długim Tańcu, gdy przyjdzie lato. Zimą uczysz się Zimowej Kolędy i Czynów Młodego Króla, a na Festiwalu Powrotu Słońca, kiedy słońce zwraca się na północ, żeby sprowadzić wiosnę, możesz je zaśpiewać.

— Nie umiem śpiewać — wyszeptała dziewczynka. Tenar odwijała uprzedzoną wełnę z kądzieli i zwijała ją w kłębek zgrabnymi i miarowymi ruchami rąk.

— Nie tylko głos śpiewa — rzekła. — Umysł śpiewa.

Najładniejszy głos na świecie na nic się nie zda, jeśli umysł nie zna pieśni. — Rozsupłała ostatni kawałek nici, który został uprzedzony jako pierwszy. — Posiadasz siłę, Therru, a siła, która jest nieświadoma, jest niebezpieczna.

— Jak ci, którzy nie chcieli się uczyć — powiedziała Themi. — Dzicy. — Tenar nie wiedziała, co ma na myśli i rzuciła jej pytające spojrzenie. — Ci, którzy zostali na zachodzie — dodała Therru.

— Aha — smoki — w pieśni Kobiety z Kemay. Tak. Właśnie. A więc:, od której zaczniemy — jak wyspy zostały wydźwignięte z morza czy jak Król Morred przegnał Czarne Okręty?

— Wyspy — szepnęła Therru. Tenar miała raczej nadzieję, że wybierze Czyny Młodego Króla, ponieważ widziała twarz Lebannena jako oblicze Morreda; jednak wybór dziecka był słuszny.

— Bardzo dobrze — odrzekła. Podniosła wzrok na wielkie Księgi Wiedzy Ogiona na półce nad kominkiem, dodając sobie odwagi, że gdyby zapomniała, może znaleźć tam słowa; wciągnęła powietrze i zaczęła.

Przed snem Therru dowiedziała się o tym, jak Segoy wydźwignął z głębin Czasu pierwszą z wysp. Zamiast jej śpiewać, Tenar usiadła na łóżku otuliwszy dziewczynkę kołdrą i razem recytowały cicho pierwszą strofę pieśni Tworzenia. Tenar zaniosła małą lampkę oliwną z powrotem do kuchni, wsłuchując się w absolutną ciszę. Mróz skuł świat, uwięził go. Nie było widać żadnej gwiazdy. Ciemność napierała na pojedyncze okno kuchni. Od kamiennych podłóg ciągnęło chłodem. Wróciła do ognia, bo nie była jeszcze śpiąca. Wzniosłe słowa pieśni poruszyły jej ducha, a od czasu rozmowy z Ivy wciąż jeszcze była rozgniewana i niespokojna. Wzięła pogrzebacz, aby wzniecić mały płomień z polana znajdującego się w głębi kominka. Kiedy uderzyła w polano, dźwięk rozległ się echem na tyłach domu.

Wyprostowała się i stanęła nasłuchując.

Znowu: ciche, stłumione, głuche uderzenie — przed domem. W okno mleczami?

Wciąż z pogrzebaczem w ręku, Tenar przeszła mroczną sienią do drzwi, które wychodziły na chłodnię. Za chłodnią była mleczarnia. Dom został zbudowany na niskim pagórku i oba te pomieszczenia zagłębiały się na powrót we wzgórze, niczym piwnice. Chłodnia miała tylko otwory wentylacyjne; mleczarnia miała drzwi i okno, niskie i szerokie jak okno w kuchni. Stojąc przy drzwiach chłodni Tenar słyszała odgłosy wyważania tego okna i szepczące męskie głosy.

Flint był metodycznym gospodarzem. Wszystkie drzwi tego domu, oprócz jednych, posiadały po każdej stronie zasuwę, tęgi kawał żeliwa umieszczony w prowadnicach. Wszystkie były utrzymane w czystości i naoliwione; żadne nie były nigdy zamknięte. Zasunęła rygiel w poprzek drzwi chłodni. Bezgłośnie wśliznął się na miejsce,

przylegające ściśle do ciężkiej żelaznej szczeliny w ościeżu. Słyszała, jak otwarto zewnętrzne drzwi mleczarni. Jeden z mężczyzn pomyślał w końcu o tym, aby je sprawdzić, zanim wyłamali okno i odkrył, że nie były zamknięte. Ponownie usłyszała szepty. Później zapadła cisza, na tyle długa, żeby Tenar usłyszała bicie swego serca bębniące jej w uszach tak głośno, że przeraziła się, iż nie usłyszy spoza niego żadnego dźwięku. Czuła, jak drżą jej nogi i jak chłód podłogi zakrada się pod jej spódnicę niczym lodowata dłoń.

— Otwarte — szepnął obok niej męski głos, a jej serce zabiło boleśnie. Położyła dłoń na ryglu myśląc, że jest otwarty — odemknęła go, nie zamknęła. — Niemal przesunęła go z powrotem, kiedy usłyszała, że drzwi pomiędzy chłodnią a mleczarnią skrzypią, otwierając się. Znała ten zgrzyt górnego zawiasu. Znała również głos, który się odezwał.

— To jest spiżarnia — powiedział Handy, a później, kiedy drzwi, pod którymi stała, załomotały o zasuwę, dodał: — Te są zamknięte.

Ponownie załomotały. Cienki brzeszczot światła, jak ostrze noża, śmignął pomiędzy drzwiami a ościeżem. Dotknął jej piersi i kobieta cofnęła się, jak gdyby ją skaleczył. Drzwi zastukały jeszcze raz, lecz nieznacznie. Były solidne, pewnie zawieszone na zawiasach i zasuwa była mocna.

Szeptali po drugiej stronie drzwi. Wiedziała, że planowali obejść dom i sprawdzić drzwi frontowe. Pobiegła do nich i zaryglowała je, chociaż nie była w pełni świadoma tego, co robi. Może to był koszmar senny. Miała kiedyś ten sen, że próbowali dostać się do domu, że wciskali cienkie noże przez szpary w drzwiach. Drzwi — czy były jakieś inne drzwi, przez które mogliby się dostać do środka? Okna — okiennice w sypialni. Jej oddech stał się tak krótki, że myślała, iż nie dotrze do pokoju Therru, lecz była tam, zamknęła na szybie ciężkie, drewniane okiennice. Zawiasy były sztywne i poruszyły się z trzaskiem. Teraz wiedzieli. Teraz nadchodzili. Przyjdą pod okno sąsiedniej izby. Będą tam, zanim zdąży zamknąć okiennice. I byli. Ujrzała twarze, plamy poruszające się w mroku na zewnątrz, kiedy próbowała uwolnić lewą okiennicę ze skobla. Zacięła się. Nie mogła jej poruszyć. Biała ręka dotknęła szyby, przyklejając się do niej.

— Jest tam.

— Wpuść nas. Nie zrobimy ci krzywdy.

— Chcemy tylko z tobą porozmawiać.

— On chce tylko zobaczyć swoją małą dziewczynkę.

Uwolniła okiennicę i przyciągnęła ją do okna. Gdyby jednak rozbili szybę, mogliby otworzyć okiennicę jednym pchnięciem. Jedyne zamknięcie stanowił haczyk, który wyskoczyłby z drewna, jeśli użyliby siły.

— Wpuść nas, a my cię nie skrzywdzimy — powiedział jeden z

głosów.

Słyszała ich stopy na zamarzniętej ziemi, skrzypiące w opadłych liściach. Czy Therru się przebudziła? Łoskot zamykanych okiennic mógł ją obudzić, lecz nie wydała żadnego dźwięku. Tenar stanęła w drzwiach pomiędzy swoją izbą a sypialnią Therru. Było ciemno i cicho. Bała się dotknąć dziewczynki i obudzić ją. Musiała zostać z nią w pokoju. Musiała o nią walczyć. Miała w ręku pogrzebacz; gdzie go podziała? Odłożyła go, żeby zamknąć okiennice. Nie mogła go znaleźć. Szukała po omacku w mroku izby, która zdawała się nie mieć ścian. Drzwi frontowe, które prowadziły do kuchni, załomotały, wstrząsane w swojej framudze. Gdyby mogła znaleźć pogrzebacz, pozostałaby tu, walczyłaby z nimi.

— Tutaj! — zawołał jeden z nich i kobieta wiedziała, co znalazł. Spoglądał na kuchenne okno, szerokie, z nie zamkniętymi okiennicami.

Podeszła — bardzo wolno, po omacku — do drzwi izby. Teraz był to pokój Therru. Kiedyś była to izba jej dzieci. Pokój dziecinny. Właśnie, dlatego po wewnętrznej stronie drzwi nie było zamka. Żeby dzieci nie mogły zamknąć się w środku i przestraszyć się, gdyby rygiel się zaciął.

Po przeciwnej stronie wzgórza, za sadem, Ciearbrook i Shandy spali w swojej chacie. Gdyby zawołała, może usłyszałaby Shandy. Gdyby otworzyła okno sypialni i krzyknęła — albo jeśliby obudziła Therru i gdyby wyskoczyły przez okno i przebiegły przez sad — lecz mężczyźni byli tam, właśnie tam, i czekali. To było więcej, niż mogła znieść. Okowy mroźnego przerażenia, które ją wiązały, pękły. W gniewie pobiega do kuchni, która w jej oczach była czerwonym światłem, porwała z pnia długi, ostry, rzeźnicki nóż, odsunęła zasuwę i stanęła w drzwiach.

— Chodźcie, zatem! — krzyknęła.

Usłyszała wycie, chrapliwy oddech i zaraz potem, wrzask: — Uważaj! — Inny ryknął: — Tutaj! Tutaj!

Potem zapadła cisza.

Światło z otwartych drzwi przemknęło po czarnym lodzie kałuż, zalśniło na czarnych gałęziach dębów i na opadłych, srebrnych liściach, a kiedy jej oczy przyzwyczaiły się do ciemności, ujrzała, że coś podpełza do niej ścieżką, jakaś ciemna bryła podkrada się do niej wydając wysokie zawodzące łkanie. Czarna postać podbiegła i błyskawicznie rzuciła się naprzód, zabłysły długie ostrza.

— Tenar!

— Zatrzymaj się tam — krzyknęła podnosząc nóż.

— Tenar! To ja — Sokół, Krogulec!

— Zostań tam — powtórzyła.

Postać stanęła nieruchomo obok czarnej masy leżącej na ścieżce.

Nikłe światło padało na korpus, twarz, widły o długich zębach, trzymane na sztorc niczym laska czarnoksiężnika.

— Czy to ty? — zapytała.

Klęczał teraz przy ciemnym kształcie leżącym na ścieżce.

— Chyba go zabiłem — powiedział. Spojrzał przez ramię, wstał. Nie było znaku obecności innych mężczyzn.

— Gdzie oni są?

— Uciekli. Podaj mi dłoń, Tenar.

W jednej dłoni trzymała nóż. Drugą chwyciła rękę mężczyzny, który leżał skulony na ścieżce. Ged ujął go pod ramię i przetaszczyli go przez próg, do domu. Leżał na kamiennej podłodze kuchni, a krew wypływała z jego piersi i brzucha jak woda z dzbana. Górna warga obnażała zęby i widać było tylko białka jego oczu.

— Zamknij drzwi — powiedział Ged i Tenar wykonała jego polecenie.

— Płótna są w szafie — rzekła, a on przyniósł prześcieradło i podarł je na bandaże. Obwiązała nimi brzuch i pierś mężczyzny, w którą trzy z czterech zębów wideł wbiły się z całej siły, pozostawiając trzy poszarpane źródła krwi, która ściekała strugami, kiedy Ged podtrzymywał tors mężczyzny tak, aby Tenar mogła owinąć bandaże.

— Co ty tu robisz? Przyszedłeś z nimi?

— Tak. Ale oni o tym nie wiedzieli. To mniej więcej wszystko, co możesz zrobić, Tenar. — Opuścił ciało mężczyzny i odchylił się oddychając ciężko i wycierając twarz grzbietem zakrwawionej dłoni.

— Chyba go zabiłem — powiedział znowu.

— Możliwe. — Tenar przyglądała się, jak jaskrawoczerwone plamy pokrywały powoli ciężkie płótno, które spowijało szczupłą, owłosioną pierś i brzuch mężczyzny. Wstała i zakołysała się, bardzo kręciło jej się w głowie. — Usiądź przy ogniu — rzekła. — Musisz być zmarznięty.

Nie wiedziała, w jaki sposób poznała go w mroku na zewnątrz. Być może po głosie. Miał na sobie gruby, pasterski, zimowy płaszcz ze strzyżonej wełny, obrócony skórzaną stroną na wierzch, i wyciągniętą, zrobioną na drutach pasterską czapkę; jego bladą twarz pokrywały bruzdy, włosy były długie i siwe. Pachniał dymem drzewnym, mrozem i kozą. Miał dreszcze, drżał na całym ciele.

— Usiądź przy ogniu — powtórzyła. — Dołóż do niego drewna. Tak też zrobił. Tenar napełniła kociołek i zawiesiła go na jego żelaznym ramieniu nad ogniem.

Na jej spódnicy była krew, użyła więc resztek płótna umoczonych w zimnej wodzie, by ją oczyścić. Podała ścierkę Gedowi, aby usunął krew ze swoich dłoni.

— Co masz na myśli — zapytała. — Przyszedłeś z nimi, ale oni o tym nie wiedzieli?

— Schodziłem. Z góry. Na drodze ze źródeł Kahedy. — Mówił matowym głosem, jakby zadyszany, a drżenie sprawiało, że jego mowa była niewyraźna. — Usłyszałem za sobą ludzi i zszedłem na bok. Do lasu. Nie miałem ochoty rozmawiać. Nie wiem. Coś w nich było. Bałem się ich.

Niecierpliwie skinęła głową i usiadła po drugiej stronie kominka, pochylając się do przodu, aby słuchać, z dłońmi silnie zaciśniętymi na podołku. Wilgotna spódnica ziębiła jej nogi.

— Kiedy przechodzili obok, usłyszałem, jak jeden z nich powiedział: „Dębowa Farma". Wtedy poszedłem za nimi. Jeden z nich nie przestawał mówić. O dziecku.

— Co mówił?

Milczał. W końcu rzekł:

— Że zamierzają odzyskać. Ukarać ją, powiedział. I odpłacić ci pięknym za nadobne. Za to, że ją ukradłaś, powiedział. Powiedział… — Ged przerwał.

— Że mnie również ukarze.

— Oni wszyscy mówili. O, o tym.

— Ten nie jest Handym. — Wskazała głową w kierunku mężczyzny leżącego na podłodze. — Czy to…

— Powiedział, że ona jest jego. — Ged również spojrzał na mężczyznę i z powrotem na ogień. — On umiera. Powinniśmy sprowadzić pomoc.

— Nie umrze — odparła Tenar. — Rankiem pójdę od Ivy. Inni są ciągle tam na zewnątrz. Ilu ich jest?

— Dwóch.

— Jak umrze, to umrze, jeżeli będzie żył, będzie żył. Żadne z nas nie wychodzi. — Zerwała się na równe nogi w przypływie strachu. — Czy ty przyniosłeś widły, Ged?

Wskazał na nie. Cztery długie zęby lśniły, oparte o ścianę przy drzwiach.

Ponownie usiadła na zydlu przy kominku, lecz teraz ona drżała, trzęsła się od stóp do głów, jak wcześniej on. Sięgnął przez kominek, by dotknąć jej ręki.

— Już dobrze — powiedział.

— Co będzie, jeśli ciągle są tam, na zewnątrz?

— Uciekli.

— Mogli wrócić.

— Dwóch przeciwko dwojgu? I my mamy widły. Ściszyła głos do szeptu i powiedziała z przerażeniem:

— Kosy są w przybudówce stodoły. Potrząsnął głową.

— Uciekli. Zobaczyli — jego i ciebie w drzwiach.

— Co zrobiliście?

— Zaatakował mnie. Więc i ja zaatakowałem jego.

— Chodzi mi o to, co było wcześniej. Na drodze.

— Zmarzli w czasie marszu. Zaczęło padać, a oni zmarzli i zaczęli rozmawiać o przyjściu tutaj. Przedtem tylko ten jeden rozmawiał o dziecku i o tobie, o daniu… daniu nauczki… — Zaschło mu w gardle. — Chce mi się pić — powiedział.

— Mnie też. Woda się jeszcze nie gotuje. Mów dalej. Odetchnął i spróbował opowiedzieć spoiście swoją historię.

— Pozostali dwaj niewiele go słuchali. Być może słyszeli to wszystko wcześniej. Śpieszyli się. Żeby dotrzeć do Yalmouth. Jak gdyby uciekali przed kimś. Umykali. Ale zrobiło się zimno, a on wciąż mówił o Dębowej Farmie i ten w czapce powiedział: „A więc czemuż by nie pójść tam po prostu i nie spędzić nocy z…”

— Z wdową, tak?

Ged ukrył twarz w dłoniach. Czekała.

Poprawił polana w kominku i kontynuował spokojnie.

— Później zgubiłem ich na chwilę. Droga weszła w dolinę, nie mogłem, więc podążać wzdłuż traktu, lasem, tuż za nimi. Musiałem zejść na bok, przez pola, trzymając się z dala od ich wzroku. Nie znam tego kraju, tylko drogi. Bałem się, że jeśli przetnę pola, zgubię się, nie trafię do domu. I ściemniało się. Pomyślałem, że przegapiłem dom, minąłem go. Wróciłem na trakt i prawie wpadłem na nich — tam na zakręcie. Widzieli mijającego ich starca. Zdecydowali się zaczekać, aż się ściemni i będą pewni, że nikt inny nie przyjdzie. Czekali w stodole. Ja zostałem na zewnątrz. Zaledwie przez ścianę od nich.

— Musiałeś zmarznąć — rzekła Tenar głucho.

— Było zimno. — Wyciągnął ręce do ognia, jak gdyby myśl o tym ponownie przejęła go chłodem. — Znalazłem widły przy drzwiach przybudówki. Kiedy wyszli, udali się na tyły domu. Mogłem wtedy podejść do frontowych drzwi, żeby cię ostrzec — oto, co powinienem był zrobić, lecz wszystkim, o czym potrafiłem myśleć, było to, aby ich zaskoczyć. Myślałem, że to moja jedyna przewaga, szansa… Myślałem, że dom będzie zamknięty i będą musieli się włamać. Ale później usłyszałem, jak wchodzą do środka, tam z tyłu. Wszedłem za nimi do mleczarni. Ledwo się wydostałem, kiedy podeszli do zamkniętych drzwi. — Zaśmiał się niepewnie. — Przeszli tuż obok mnie w ciemności. Mogłem im podstawić nogę… Jeden z nich miał krzemień i krzesiwo, spalił trochę hubki, kiedy chcieli zobaczyć zamek. Wyszli przed dom. Słyszałem, jak zamykasz okiennice; wiedziałem, że ich usłyszałaś. Rozmawiali o rozbiciu okna, przy którym cię zobaczyli. Potem ten w czapce dostrzegł okno — to okno… — Kiwnął głową w stronę kuchennego okna, z jego szerokim wewnętrznym parapetem. — Powiedział: „Dajcie mi kamień, wywalę je”, a oni podeszli tam, gdzie był i mieli właśnie podsadzić go na parapet. Zawyłem, więc i on upadł, a jeden z nich — ten — rzucił się biegiem prosto na mnie.

— Ach, ach — chwytał powietrze mężczyzna leżący na podłodze, jak gdyby opowiadał historię Geda za niego. Ged wstał i pochylił się nad nim.

— On chyba umiera.

— Nie, nie umiera — odrzekła Tenar. Nie mogła całkowicie powstrzymać dygotania, lecz było to teraz tylko wewnętrzne drżenie. Kociołek szumiał. Zrobiła dzbanek herbaty i położyła dłonie na grubych, glinianych ściankach imbryka. Napełniła dwa kubki, potem trzeci, do którego dolała trochę zimnej wody. — Jest za gorąca do picia — powiedziała Gedowi — potrzymaj ją najpierw chwilę. Zobaczę, czy to w niego wejdzie. — Usiadła na podłodze obok głowy mężczyzny, podniosła ją na jednej ręce, przyłożyła kubek ostudzonej herbaty do jego ust, wepchnęła krawędź naczynia między obnażone zęby. Ciepły płyn wpłynął mu do ust. Przełknął. Nie umrze — stwierdziła. — Podłoga jest jak lód. Pomóż mi go przenieść bliżej ognia.

Ged zabrał się do zdejmowania pledu z ławy, która biegła wzdłuż ściany pomiędzy kominkiem a sienią.

— Nie bierz tego, to dobry kawałek roboty tkackiej — powstrzymała go Tenar, poszła do ustępu i przyniosła stamtąd znoszony wojskowy płaszcz, który rozścieliła jako posłanie dla mężczyzny.

Wciągnęli nań bezwładne ciało i otulili je nim. Przemoczone, czerwone plamy na bandażach nie powiększały się już. Tenar podniosła się i stanęła bez ruchu.

— Therru — powiedziała.

Ged rozejrzał się dokoła, lecz nie było tam dziecka. Tenar pośpiesznie wyszła z izby.

Pokój dziecinny, pokój dziecka, był całkowicie ciemny i cichy. Po omacku znalazła drogę do łóżka i położyła rękę na ciepłym zagięciu koca ponad ramieniem Therru.

— Therru?

Dziecko oddychało spokojnie. Nie obudziło się. Tenar czuła ciepło jej ciała niczym promieniowanie w zimnej izbie.

Wychodząc przesunęła dłonią po komodzie i dotknęła zimnego metalu: pogrzebacz, który położyła, kiedy zamykała okiennice. Zaniosła go z powrotem do kuchni, przekroczyła ciało mężczyzny i zawiesiła pogrzebacz na haczyku na kominku. Stanęła spoglądając w dół na ogień.

— Nie mogłam nic zrobić — odezwała się. — Co powinnam była uczynić? Uciec — od razu — krzyczeć i pobiec do Clearbrooka i Shandy. Nie mieliby czasu, żeby skrzywdzić Themi.

— Oni byliby w domu z nią, a ty na zewnątrz, ze starym mężczyzną i kobietą. Albo mogli zabrać ją i uciec. Zrobiłaś, co mogłaś.

To, co uczyniłaś, było właściwe. Zrobione we właściwym momencie. Światło z domu, ty wychodząca z nożem i ja tam — widzieli wtedy widły — i jego na ziemi. Więc uciekli.

— Ci, co mogli — rzekła Tenar. Odwróciła się i szturchnęła nieco nogę mężczyzny czubkiem buta, jak gdyby był obiektem, którego była trochę ciekawa, a który wzbudzał w niej trochę wstręt, jak martwa żmija.

— Ty zrobiłeś właściwą rzecz — powiedziała.

— Myślę, że nawet ich nie widział. Wbiegł prosto na nie. To było jak… — Nie powiedział, jakie to było. Powiedział: — Wypij swoją herbatę. — I dolał sobie z dzbanka stojącego na cegłach paleniska. — Jest dobra. Usiądź — rzekł, a ona zrobiła to.

— Kiedy byłem chłopcem — odezwał się po pewnym czasie — Kargowie najechali moją wieś. Mieli piki — długie, z piórami przywiązanymi do drzewca…

Skinęła głową.

— Wojownicy Boskich Braci — rzekła.

— Uczyniłem… czar mgły. Żeby ich zdezorientować. Ale przyszli… Kilku z nich. Widziałem, jak jeden wbiegł prosto na widły — jak ten. Tylko przeszły przez niego na wylot Poniżej pasa.

— Ty ugodziłeś w żebro — powiedziała Tenar. Kiwnął głową.

— To był jedyny błąd, jaki zrobiłeś — dodała. Teraz ona szczękała zębami. Wypiła herbatę. — Ged — rzekła — co będzie, jeśli oni wrócą?

— Nie wrócą.

— Mogliby podpalić dom.

— Ten dom? — Rozejrzał się po kamiennych ścianach.

— Stodołę.

— Oni nie wrócą — odparł uparcie.

— Nie.

Ostrożnie trzymali kubki, grzejąc na nich dłonie.

— Przespała to.

— Dobrze zrobiła.

— Ale zobaczy go… tutaj… rano… Spojrzeli na siebie.

— Gdybym go zabił — gdyby umarł! — rzekł Ged z wściekłością. — Mógłbym go wywlec i pogrzebać.

— Zrób to.

Potrząsnął tylko gniewnie głową.

— Co to za różnica, dlaczego, dlaczego nie możemy tego zrobić! — zapytała Tenar.

— Nie wiem.

— Skoro tylko się przejaśni…

— Wyniosę go z domu. Taczki. Starzec może mi pomóc.

— Nie może już niczego dźwigać. Ja ci pomogę.

— Zawiozę go do wioski. Jest tam jakiś uzdrawiacz?

— Czarownica, Ivy.

Poczuła się nagle bezgranicznie zmęczona. Ledwie mogła utrzymać kubek w dłoni.

— Jest więcej herbaty — powiedziała ze zdrętwiałym językiem.

Nalał sobie jeszcze jeden kubek.

Ogień tańczył przed jej oczami. Płomienie pląsały, strzelały w górę, opadały, rozjaśniały się znowu kontrastując z zakopconym kamieniem, bladym niebem, otchłaniami wieczoru, głębiami powietrza i światła ponad światem. Żółte, pomarańczowe, pomarańczowo-czerwone płomienie, czerwone języki ognia, ogniste języki, słowa, których nie mogła wypowiedzieć.

— Tenar.

— Nazywamy tę gwiazdę Tehanu — odezwała się.

— Tenar, moja droga. Chodź. Chodź ze mną.

Nie byli przy ogniu. Byli w ciemności — w mrocznej sieni. W ciemnym korytarzu. Byli tam wcześniej, prowadzili się nawzajem, podążali za sobą nawzajem, w mroku pod ziemią.

— Oto droga — powiedziała.

12. ZIMA

Budziła się, nie chcąc się obudzić. Nikła szarość przeświecała przez wąskie szpary w okiennicach. Dlaczego okiennice były zamknięte? Pośpiesznie wstała i przeszła sienią do kuchni. Nikt nie siedział przy ogniu, nikt nie leżał na podłodze. Nie było ani śladu po kimkolwiek, czymkolwiek. Poza imbrykiem i trzema kubkami na stole.

Therru wstała o wschodzie słońca i, jak co dzień, zjadły śniadanie. Sprzątając ze stołu, dziewczynka zapytała: — Co się stało? — Uniosła róg mokrego płótna z balii stojącej w spiżarni. Woda w balii była zmętniała od brązowej czerwieni.

— Och, mój okres nadszedł wcześnie — odrzekła Tenar, wstrząśnięta swoim kłamstwem.

Therru stała przez moment bez ruchu, z rozszerzonymi nozdrzami i nieruchomą głową, niczym węszące zwierzę. Potem wrzuciła płótno z powrotem do wody i wyszła nakarmić kurczęta.

Tenar czuła się chora, łamało ją w kościach. Wciąż było zimno, pozostawała, więc pod dachem najdłużej, jak mogła. Próbowała zatrzymać Therru w domu, lecz kiedy przy przenikliwym wietrze wyszło słońce, Therru zapragnęła wybiec na dwór.

— Zostań z Shandy w sadzie — poleciła Tenar.

Therru wyszła nie mówiąc ani słowa.

Zniszczenie mięśni i gruba blizna usztywniły poparzoną i zdeformowaną stronę twarzy dziewczynki, lecz kiedy blizny zestarzały się, a Tenar po latach prób nauczyła się nie odwracać wzroku od jej szpetoty, ale dostrzegać ją jako twarz, zauważyła, że posiada ona swoją własną mimikę. Kiedy Therru była przestraszona, spalona i ociemniała strona „zamykała się" — jak myślała Tenar — ściągając się, tężejąc… Kiedy była podniecona lub przejęta, nawet ślepy oczodół zdawał się spoglądać, a blizny czerwieniały i były gorące w dotyku. Teraz, kiedy wychodziła, wyglądała przedziwnie, jak gdyby jej twarz wcale nie była ludzka; zwierzę, jakieś niezwykłe, dzikie stworzenie o zrogowaciałej skórze, z jednym błyszczącym okiem, milczące, płochliwe.

Tenar wiedziała, że skoro po raz pierwszy ją okłamała, Therru po raz pierwszy zamierzała nie być jej posłuszną. Po raz pierwszy, lecz nie ostatni.

Z ciężkim westchnieniem usiadła przy kominku i przez chwilę oddawała się bezczynności.

Pukanie do drzwi: Clearbrook i Ged — nie, musi nazywać go Sokołem — Sokół stojący na progu. Stary Clearbrook był przepełniony chęcią rozmowy i poczuciem ważności. Ged — ponury, cichy i potężny w swoim oblepionym brudem płaszczu z owczej skóry.

— Wejdźcie — powiedziała. — Napijcie się herbaty. Co słychać?

— Próbowali uciec do Yalmouth, ale ludzie z Kahedanan, urzędnicy miejscy, znaleźli ich w szopie Cherry'ego — oznajmił Clearbrook wymachując pięścią.

— Uciekł? — Ogarnęło ją przerażenie.

— Pozostali dwaj — odrzekł Ged. — Nie on.

— Widzisz, znaleźli ciało w starych jatkach na Okrągłym Wzgórzu, całe porozbijane na kawałki, tam na górze w starych jatkach, koło Kahedanan, więc dziesięciu, dwunastu z nich z miejsca mianowało się urzędnikami i wyruszyło za nimi w pościg. Zeszłej nocy trwały poszukiwania po wszystkich wsiach, a dzisiejszego ranka, przed samym świtem, znaleźli ich ukrytych w szopie Cherry'ego. Byli na pół zamarznięci.

— Zatem on nie żyje? — zapytała zdezorientowana.

Ged wyłuskał się z ciężkiego płaszcza i siedział teraz przy drzwiach na krześle o trzcinowym siedzeniu, rozwiązując skórzane getry.

— On żyje — powiedział swoim spokojnym głosem. — Jest u Ivy. Zawiozłem go dziś rano furą do gnoju. Przed świtem na trakcie byli ludzie ścigający całą ich trójkę. Zabili kobietę na wzgórzach.

— Jaką kobietę? — wyszeptała Tenar.

Spojrzała Gedowi w oczy. Nieznacznie skinął głową.

Clearbrook chciał sam opowiedzieć historię i mówił dalej, głośno:

— Gadałem z niektórymi ludźmi stamtąd i powiedzieli mi, że cała czwórka włóczyła się w pobliżu Kahedanan, a kobieta przychodziła do miasteczka na żebry, cała pobita i z oparzeniami i siniakami na całym ciele. To ci mężczyźni ją posyłali, widzisz, żeby tak żebrała i potem wracała do nich, a ludziom mówiła, że jak wróci z niczym, zbiją ją jeszcze bardziej, odpowiadali, więc:, po co wracać? Ale mówiła, że gdyby nie wróciła, przyszliby po nią, widzisz, i zawsze z nimi odchodziła. Lecz potem w końcu posunęli się za daleko i zatłukli ją na śmierć. Zostawili jej ciało w starych jatkach, tam gdzie zostało jeszcze trochę smrodu, wiesz, może myśleli, że ukryją to, co zrobili. Później odeszli, tu na dół, właśnie zeszłej nocy. Dlaczego nie krzyczałaś ani nie wzywałaś pomocy zeszłego wieczora, Goha? Sokół mówi, że byli tutaj, zakradali się w pobliże domu, kiedy na nich natrafił. Na pewno bym usłyszał albo Shandy, ma lepszy słuch ode mnie. Mówiłaś jej już? Tenar potrząsnęła głową.

— Pójdę jej powiedzieć — rzekł starzec, zachwycony, że będzie pierwszy z wiadomością, i poczłapał przez podwórze. Zawrócił w pól drogi. — Nie pomyślałbym nigdy, że jesteś zdatny do wideł! — krzyknął do Geda, klepnął się w udo ze śmiechem i poszedł dalej.

Ged wyśliznął się z ciężkich getrów, zdjął zabłocone buty, postawił je na progu i w pończochach podszedł do ognia. Wełniane

spodnie, kaftan i koszula — gontyjski pasterz o sprytnym obliczu, jastrzębim nosie i czystych, ciemnych oczach.

— Zaraz będą tu ludzie — odezwał się. — Przyjdą, żeby opowiedzieć ci o tym wszystkim i jeszcze raz usłyszeć, co się tu stało. Tych dwóch, którzy uciekli, trzymają teraz zamkniętych w pustej piwnicy i pilnuje ich piętnastu czy dwudziestu ludzi, a dwudziestu czy trzydziestu chłopców próbuje na nich zerknąć… — Ziewnął, potrząsnął ramionami i rękoma, by je rozluźnić i spojrzawszy na Tenar zapytał, czy może usiąść przy ogniu.

Gestem wskazała na zydel przy kominku.

— Musisz być zmęczony — szepnęła.

— Spałem trochę, tutaj, zeszłej nocy. Nie mogłem oprzeć się senności. — Znów ziewnął. Podniósł na nią wzrok sprawdzając, jak się czuje.

— To była matka Therru — rzekła. Jej głos nie wzniósł się ponad szept.

Skinął głową. Siedział przechylając się nieco do przodu, oparłszy ręce na kolanach, jak czynił to Flint, wpatrując się w ogień. Byli bardzo podobni i krańcowo odmienni, tak różni jak zakopany kamień i szybujący ptak. Bolało ją serce, bolały ją kości, a jej umysł rozdarty był pomiędzy złym przeczuciem, żalem, pamiętnym strachem i kłopotliwą lekkością.

— Czarownica ma naszego człowieka — powiedział. — Związanego, na wypadek, gdyby poczuł się zdrowszy. Dziury w nim zapchała pajęczyną i zaklęciami tamującymi upływ krwi. Mówi, że będzie żył, żeby wisieć.

— Wisieć.

— To zależy od Sądów Królewskich, teraz, gdy znowu się zbierają. Zostanie powieszony albo zesłany do niewolniczej pracy. Potrząsnęła głową marszcząc brwi.

— Nie pozwoliłabyś mu odejść tak po prostu, Tenar — powiedział łagodnie, przyglądając się jej.

— Nie.

— Muszą zostać ukarani — rzekł, wciąż ją obserwując.

— Ukarani. To on tak powiedział. Ukarać dziecko. Jest złe. Musi zostać ukarane. Ukarać mnie za to, że je wzięłam. Za to, że jestem… — Mówiła z wysiłkiem. — Nie chcę kary! To nie powinno się było zdarzyć! Szkoda, że go nie zabiłeś!

— Robiłem, co w mojej mocy — odparł Ged.

Po dłuższej chwili roześmiała się drżącym głosem.

— Oczywiście.

— Pomyśl, jakie to byłoby łatwe — powiedział, ponownie zaglądając w węgle — kiedy byłem czarnoksiężnikiem. Mógłbym rzucić na nich zaklęcie związujące, tam na drodze, zanim by się

zorientowali. Mógłbym zaprowadzić ich prosto do Yalmouth, jak stado owiec. Albo zeszłej nocy, tutaj, pomyśl o fajerwerkach, jakie mógłbym wystrzelić! Nie wiedzieliby nawet, co ich ugodziło.

— I tak nie wiedzą — odrzekła.

Spojrzał na nią. W jego oku dostrzegła ledwo widoczny, niepowstrzymany błysk triumfu.

— Nie — powiedział. — Nie wiedzą.

— Zdatny do wideł — mruknęła. Ziewną} szeroko.

— Czemu nie wejdziesz i nie prześpisz się trochę? Chyba, że chcesz zabawić towarzystwo. Widzę, że nadchodzą Lark i Daisy z kilkorgiem dzieci. — Wstała, aby wyjrzeć przez okno.

— Zrobię tak — odrzekł i wymknął się.

Lark i jej mąż, Daisy — żona kowala i inni znajomi z wioski przychodzili przez cały dzień opowiadać i dowiadywać się wszystkiego, tak jak zapowiedział Ged. Tenar stwierdziła, że ich towarzystwo tchnie w nią nowe życie, odrywa ją od stałej obecności przerażenia ubiegłej nocy, aż mogła zacząć wspominać to jako coś, co się zdarzyło, a nie coś, co się działo, co musi się jej zawsze przytrafiać.

Therru również musiała nauczyć się to robić, pomyślała, lecz nie z jedną nocą — ze swoim życiem.

Kiedy inni odeszli, zwróciła się do Lark:

— Jestem na siebie wściekła za to, że byłam taka głupia.

— Przecież ci mówiłam, żebyś dobrze zamykała drzwi.

— Nie… A może… To właśnie to.

— Wiem — rzekła Lark.

— Ale chodziło mi o to, że kiedy tu byli — mogłam wybiec i sprowadzić Shandy i Clearbrooka — może mogłam zabrać Therru. Mogłam też pójść do przybudówki i sama wziąć widły. Albo nożyce do jabłoni. Mają siedem stóp długości i ostrze jak brzytwa. Czemu tego nie zrobiłam? Dlaczego nie zrobiłam czegokolwiek? Czemu po prostu się zamknęłam — choć nie warto było próbować? Gdyby jego — gdyby Sokoła tam nie było… Wszystkim, co zrobiłam, było uwięzienie siebie i Therru w pułapce. W końcu podeszłam do drzwi z rzeźnickim nożem i wrzasnęłam na nich. Byłam na wpół oszalała. Lecz to by ich nie odstraszyło.

— Nie wiem — odrzekła Lark. — To było szalone, ale może… Nie wiem. Co mogłaś zrobić poza zamknięciem drzwi? To jest tak, jak gdybyśmy przez całe nasze życie zamykały drzwi. To dom, w którym mieszkamy.

Spojrzały dokoła na kamienne ściany, kamienne podłogi, kamienny kominek, nasłonecznione okno kuchni Dębowej Farmy, domu Rolnika Flinta.

— Ta dziewczyna, ta kobieta, którą zamordowali — zaczęła Lark, spojrzawszy przenikliwie na Tenar. — To była ta sama. Tenar skinęła

głową.

— Jeden z nich powiedział, że była w ciąży. W czwartym albo piątym miesiącu. Obie milczały.

— Złapana w pułapkę — odezwała się Tenar. Lark wyprostowała się i siedziała tak, z dłońmi wspartymi na tęgich udach, ze znieruchomiałym, przystojnym obliczem.

— Strach — powiedziała. — Czego tak się boimy? Dlaczego pozwalamy im mówić nam, że się boimy? Czego oni się boją? — Podniosła pończochę, którą cerowała, obróciła ją w dłoniach, chwilę milczała, w końcu rzekła: — Po co oni się nas boją?

Tenar przędła i nie odpowiadała.

Do izby wbiegła Therru i Lark powitała ją:

— Oto i moje kochanie! Chodź, uściśnij mnie, moja kochana dziewczyneczko!

Therru przytuliła się do niej pośpiesznie.

— Co to za ludzi złapano? — zapytała swoim chrapliwym, bezbarwnym głosem, spoglądając to na Lark, to na Tenar. Tenar zatrzymała kołowrotek. Przemówiła powoli.

— Jednym był Handy. Jednym był mężczyzna imieniem Shag. Ten, który był ranny, nazywa się Hake. — Nie spuszczała wzroku z twarzy Therru. Ujrzała ogień, czerwieniejącą bliznę. — Zdaje się, że kobieta, którą zabili, nazywała się Senny.

— Senini — szepnęło dziecko. Tenar skinęła głową.

— Zabili ją na śmierć? Ponownie skinęła głową.

— Tadpole mówi, że byli tutaj. Jeszcze raz skinęła głową.

Dziewczynka rozejrzała się po izbie, tak jak uczyniły to kobiety; lecz jej spojrzenie było zupełnie niewidzące, nie dostrzegała ścian.

— Zabijecie ich?

— Mogą być powieszeni.

— Na śmierć?

— Tak.

Therru kiwnęła głową, niemal obojętnie. Znowu wyszła z izby, dołączając do dzieci Lark przy obudowie studni.

Dwie kobiety nic nie mówiły. Przędły i cerowały, w milczeniu, przy ogniu w domu Flinta.

Po długim czasie Lark zapytała:

— Co się stało z twoim gościem, pasterzem, który przyszedł tu za nimi? Mówiłaś, że nazywa się Sokół?

— Śpi tam — odrzekła Tenar wskazując głową na tył domu.

— Aha — mruknęła Lark. Kołowrotek warkotał.

— Znałam go wcześniej.

— Aha.w Re Albi, tak?

Tenar skinęła głową. Kołowrotek warkotał.

— Żeby śledzić tych trzech i zmierzyć się z nimi w ciemności z

widłami, to wymagało trochę odwagi. Nie jest młodzieńcem, prawda?

— Nie. — Po chwili ciągnęła dalej: — Był chory i potrzebował pracy. Posłałam go, więc za górę, z wiadomością dla Clearbrooka, żeby go tu zatrudnił. Ale Clearbrook myśli, że może jeszcze robić wszystko sam, więc wysłał go nad Źródła do letniego wypasu. Wracał stamtąd.

— Wobec tego pewnie go tu zatrzymasz?

— Jeżeli będzie chciał — odrzekła Tenar.

Jeszcze jedna grupa przybyła z wioski na Dębową Farmę, by wysłuchać opowieści Gohy i opowiedzieć jej o swoim udziale w pojmaniu morderców, obejrzeć widły, porównać ich cztery długie zęby z trzema krwawymi plamami na bandażach człowieka imieniem Hake i przedyskutować to wszystko raz jeszcze. Tenar cieszyła się z nadejścia wieczoru, zawołała Therru do domu i zamknęła drzwi.

Podniosła rękę, by zamknąć je na zasuwę. Opuściła dłoń i zmusiła się, żeby odwrócić się od nich i pozostawić je nie zabezpieczone.

— W twoim pokoju jest Krogulec — poinformowała ją Therru, przynosząc do kuchni jajka z chłodni.

— Zamierzałam ci powiedzieć, że jest tutaj. Przepraszam.

— Znam go — odparła Therru myjąc w spiżarni twarz i dłonie. I kiedy wszedł Ged, z ciężkimi powiekami i rozczochrany, podeszła prosto do niego i uniosła ramiona.

— Therru — powiedział, podniósł ją i objął. Przylgnęła do niego na krótko, po czym wyrwała się na wolność.

— Znam początkową część Stworzenia — zwróciła się do niego.

— Zaśpiewasz mi ją? — Ponownie pytając Tenar wzrokiem o pozwolenie, usiadł na swym miejscu przy kominku.

— Mogę ją tylko powiedzieć.

Skinął głową i czekał, z dość surowym wyrazem twarzy. Dziecko wyrecytowało:

Tworzenie od niweczenia,
Kres od początku,
Któż odróżni z całą pewnością?
Tym, co znam, są drzwi pomiędzy nimi,
Które przekraczamy odchodząc.
Wśród wszystkich istot wiecznie wracających,
Najstarszy, Odźwierny, Segoy…

Głos dziecka przypominał dźwięk, jaki daje metal przeciągnięty po szkle, szelest suchych liści, syk płonącego ognia. Doszła do końca pierwszej strofy:

Wówczas z piany wynurzyła się jasna Za.

Ged skinął głową na znak zwięzłej, stanowczej aprobaty.

— Dobrze — pochwalił.

— Wczoraj wieczorem — powiedziała Tenar. — Nauczyła się jej wczoraj wieczorem. Wydaje się, jakby to było rok temu.

— Mogę nauczyć się więcej — rzekła Therru.

— Nauczysz się — odpowiedział jej Ged.

— Teraz proszę skończyć sprzątanie — wtrąciła Tenar i dziecko usłuchało.

— Co mam robić? — zapytał Ged. Tenar zawahała się, spoglądając na niego.

— Trzeba napełnić i podgrzać kociołek. Skinął głową i zaniósł kociołek do pompy. Przygotowali i zjedli kolację, a potem uprzątnęli ze stołu.

— Powiedz jeszcze raz Tworzenie tak daleko, jak umiesz — powiedział Ged do Therru, siedząc przy kominku — i będziemy kontynuować od tego miejsca.

Wyrecytowała drugą strofę raz z nim, raz z Tenar, a raz sama.

— Do łóżka — przynagliła Tenar.

— Nie opowiedziałaś Krogulcowi o królu.

— Ty mu opowiedz — rzekła Tenar, rozbawiona tym pretekstem do zwłoki.

Therru zwróciła się do Geda. Jej twarz, pokryta bliznami i nienaruszona, widząca i ślepa, była przejęta, gorejąca.

— Król przybył statkiem. Miał miecz. Dał mi kościanego delfina. Jego okręt frunął, aleja byłam chora, bo dotknął mnie Handy. Lecz król dotknął mnie tam i znak odszedł. — Pokazała swoje krągłe, szczupłe ramię. Tenar wytrzeszczyła oczy. Zapomniała o znaku.

— Któregoś dnia chcę polecieć tam, gdzie mieszka — powiedziała Therru Gedowi. Skinął głową. — Zrobię to — dodała. — Znasz go?

— Tak. Znam go. Odbyłem z nim długą podróż.

— Dokąd?

— Tam, gdzie nie wschodzi słońce i nie zachodzą gwiazdy. I z powrotem z tego miejsca.

— Leciałeś? Potrząsnął głową.

— Potrafię tylko chodzić — odrzekł.

Dziewczynka zadumała się, a potem, jak gdyby zadowolona, powiedziała „Dobranoc” i oddaliła się do swego pokoju. Tenar poszła za nią, ale Therru nie chciała, żeby śpiewano jej do snu.

— Mogę powiedzieć w ciemności Tworzenie — oświadczyła. — Obie strofy.

Tenar powróciła do kuchni i ponownie usiadła przy kominku naprzeciw Geda.

— Jak ona się zmienia! — westchnęła. — Nie mogę za nią nadążyć. Jestem za stara, żeby wychowywać dziecko. A ona… Jest mi posłuszna, ale tylko, dlatego, że tak chce.

— To jedyne usprawiedliwienie dla posłuszeństwa — zauważył Ged.

— Ale kiedy wpadnie na pomysł, żeby mi się sprzeciwić, co mam zrobić? Jest w niej dzikość. Czasami jest moją Therru, czasami jest czymś innym, nieosiągalnym. Pytałam Ivy, czy pomyślałaby o jej przyuczeniu. Beech podsunął mi tę myśl. Ivy odmówiła. „Czemu nie?" — zapytałam. „Boję się jej" — odparła… Lecz ty się jej nie lękasz. Ani ona ciebie. Ty i Lebannen jesteście jedynymi mężczyznami, którym pozwoliła się dotknąć. Ja pozwoliłam temu… temu Handy'emu… Nie mogę o tym mówić. Och, jestem zmęczona! Nic nie rozumiem…

Ged włożył wiązkę do ognia, aby płonął mały i powolny, i oboje przyglądali się skokom i migotaniu płomieni.

— Chciałabym, żebyś tu został, Ged — rzekła. — Jeśli zechcesz. — Nie odpowiedział od razu. Dodała: — Może wybierasz się do Havnoru…

— Nie, nie. Nie mam, dokąd iść. Szukałem pracy.

— Cóż, jest tu mnóstwo do zrobienia. Clearbrook nie chce się do tego przyznać, ale jego artretyzm czyni go niemal niezdatnym do czegokolwiek poza ogrodnictwem. Odkąd wróciłam, potrzebuję pomocy. Mogłam powiedzieć staremu durniowi, co o nim myślę, za to, że wysłał cię na górę, ale to nie ma sensu. Nie chciałby słuchać.

— To było dla mnie dobre — powiedział Ged — To był czas, którego potrzebowałem.

— Pasałeś owce?

— Kozy. Na samym szczycie pastwisk. Chłopak, którego mieli, zachorował i Serry zatrudnił mnie, wysłał mnie tam na górę pierwszego dnia. Trzymają je tam wysoko i do późna, więc wełna rośnie gęsto. W ostatnim miesiącu miałem górę niemalże dla siebie. Serry przysłał mi ten płaszcz i trochę zapasów i kazał utrzymywać stado najwyżej i najdłużej, jak będę mógł. Tak też robiłem. Było świetnie, tam na górze.

— Samotny — rzekła.

Skinął głową, lekko uśmiechnięty.

— Zawsze byłeś sam.

— Tak, byłem.

Nie odezwała się ani słowem. Spojrzał na nią.

— Chciałbym tu pracować — powiedział.

— Zatem załatwione — odrzekła. Po chwili dodała: — W każdym razie na zimę.

Tej nocy mróz przybrał na sile. Ich świat był doskonale cichy poza szeptem ognia. Milczenie było jak obecność między nimi. Podniosła głowę i spojrzała na niego.

— No? — rzekła. — W czyim łóżku mam spać, Ged? Dziecka czy

twoim?

Wciągnął powietrze. Przemówił niskim głosem.

— Moim, jeśli zechcesz.

— Zechcę.

Powstrzymywało go milczenie. Widziała wysiłek, jaki robił, aby się z niego wyrwać.

— Jeżeli będziesz miała do mnie cierpliwość — powiedział.

— Mam do ciebie cierpliwość od dwudziestu pięciu lat — odrzekła. Popatrzyła na niego i roześmiała się. — Chodź, no chodź, mój kochany. Lepiej późno niż wcale! Jestem tylko starą kobietą… Nic nie jest zmarnowane, nic nie jest nigdy zmarnowane. Ty mnie tego nauczyłeś. — Wstała, on również wstał; wyciągnęła ręce i on je chwycił. Padli sobie w objęcia i ich uścisk zacieśnił się. Obejmowali się tak szaleńczo, tak serdecznie, że zapomnieli o wszystkim poza sobą nawzajem. Nie miało znaczenia, w którym łóżku zamierzali spać. Tej nocy leżeli na obmurzu paleniska i tam Tenar nauczyła Geda misterium, którego nie mógł nauczyć go najmędrszy mężczyzna.

Raz podsycił ogień i przyniósł z ławy „dobrą robotę tkacką”. Tym razem Tenar nie miała nic przeciwko temu. Jej płaszcz i jego kaftan z owczej skóry zastępowały im koce.

Obudzili się ponownie o świcie. Nikłe srebrzyste światło padało na ciemne, na wpół bezlistne gałęzie dębów za oknem. Tenar wyprężyła się na całą długość, by czuć na sobie jego ciepło. Po chwili mruknęła:

— On tu leżał. Hake. Dokładnie pod nami… Ged wydał słaby pomruk protestu.

— Teraz naprawdę jesteś mężczyzną — powiedziała. — Po pierwsze: przebiłeś drugiego mężczyznę tak, że był pełen dziur, po drugie: leżysz z kobietą. Przypuszczam, że to właściwa kolejność.

— Cicho! — mruknął odwracając się od niej, kładąc głowę na jej ramieniu. — Nie mów już nic.

— Będę, Ged. Biedaku! Nie ma we mnie litości, tylko sprawiedliwość. Nie nauczono mnie litości. Miłość to jedyna łaska, jaką posiadam. Och, Ged, nie bój się mnie! Byłeś mężczyzną, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałam! To nie broń i nie kobieta może stworzyć mężczyznę, ani też magia, ani jakakolwiek moc, nic poza nim samym.

Leżeli w cieple i błogim milczeniu.

— Powiedz mi coś.

Zamruczał sennie na znak zgody.

— Jak to się stało, że usłyszałeś to, co mówili? Hake, Handy i ten trzeci. Jak to się stało, że byłeś właśnie tam, właśnie wtedy?

Uniósł się na jednym łokciu, by móc patrzeć na jej twarz. Jego własna twarz była tak otwarta i wrażliwa w swoim wyrazie spokoju, spełnienia i delikatności, że Tenar musiała sięgnąć w górę i dotknąć

jego ust tam, gdzie pocałowała go po raz pierwszy, przed miesiącami. I to doprowadziło do tego, że znowu wziął ją w ramiona i rozmowa potoczyła się dalej bez słów.

Należało dopełnić formalności. Najważniejszą z nich było powiadomienie Clearbrooka i innych dzierżawców z Dębowej Farmy, że Tenar zastąpiła „starego pana" pracownikiem najemnym. Zrobiła to niezwłocznie i bez ogródek. Nie mieli na to wpływu ani też nie stanowiło to dla nich żadnej groźby. Posiadanie przez wdowę własności jej męża uwarunkowane było nieistnieniem męskiego dziedzica lub pretendenta. Spadkobiercą był syn Flinta, żeglarz, a wdowa po Flincie jedynie opiekowała się farmą pod nieobecność dziedzica. Gdyby umarła, prawo sprawowania zarządu nad farmą przeszłoby na Clearbrooka; gdyby zaś Spark nigdy jej nie zażądał, przypadłaby dalekiemu kuzynowi Flinta z Kahedanan. Dwie pary, które nie posiadały ziemi, lecz były żywo zainteresowane działaniem i zyskownością gospodarstwa, nie mogły być usunięte przez żadnego mężczyznę, z którym wiązała się wdowa, nawet gdyby go poślubiła. Tenar obawiała się jednak, że mogliby czuć się urażeni jej brakiem wierności Flintowi, którego przecież znali dłużej niż ona. Na szczęście nie mieli nic przeciwko jej decyzji. „Sokół" zdobył ich aprobatę jednym dźgnięciem wideł. W dodatku to, że kobieta chciała mieć w domu mężczyznę, by ją chronił, świadczyło tylko o jej zdrowym rozsądku. A skoro wzięła go do łóżka, cóż, apetyty wdów były przysłowiowe. I była przecież cudzoziemką.

Stanowisko wieśniaków było podobne. Trochę szeptów i chichotania, lecz niewiele więcej. Wyglądało na to, że bycie szanowaną było łatwiejsze, niż sądziła Moss. A może to używane dobra straciły swoją wartość.

Czuła się tak samo zbrukana i poniżona przez akceptację ze strony ludzi, jak byłaby przez ich dezaprobatę. Jedynie Lark uwolniła ją od wstydu nie wydając żadnych sądów i nie używając słów — mężczyzna, kobieta, wdowa, cudzoziemka — zamiast tego, co widziała, lecz po prostu patrząc, przyglądając się jej i Sokołowi z zainteresowaniem, ciekawością, zazdrością i wielkodusznością.

Albowiem Lark nie dostrzegała Sokoła poprzez słowa „pastuch", „pracownik najemny", „mąż wdowy", lecz spoglądała na niego samego i zauważyła wiele rzeczy, które ją zaintrygowały. Jego powaga i prostota nie były większe niż te, które cechowały innych mężczyzn, jakich znała, lecz różniły się od nich gatunkiem. Widziała w nim jakąś wielkość, na pewno nie wzrost i obwód w pasie, lecz duszę i umysł. Zwróciła się do Ivy:

— Ten człowiek nie mieszkał wśród kóz przez całe życie. Wie więcej o świecie niż o farmie.

— Powiedziałabym, że jest czarownikiem, który został przeklęty

lub w jakiś sposób utracił swoją moc — odrzekła wiedźma. — To się zdarza.

— Aha — mruknęła Lark.

Jednak słowo „arcymag" było zbyt wielkie i wzniosłe, aby sprowadzać je z dalekich parad i pałaców i dopasowywać do ciemnookiego, szarowłosego mężczyzny z Dębowej Farmy, nigdy też tego nie robiła. Gdyby to uczyniła, nie mogłaby być z nim tak swobodna. Nawet myśl o tym, że był czarownikiem, trocheja niepokoiła, gdyż słowo to wchodziło w drogę mężczyźnie, dopóki nie ujrzała go ponownie. Siedział na jednej ze starych jabłoni w sadzie obcinając martwe gałęzie i pozdrowił ją głośno, kiedy zbliżyła się do farmy. Pomyślała, że jego imię dobrze pasowało do niego, usadowionego tam w górze; pomachała w jego stronę i uśmiechnęła się idąc dalej.

Tenar nie zapomniała pytania, które zadała mu na obmurzu paleniska pod płaszczem z owczej skóry. Zadała je powtórnie, kilka dni lub miesięcy później — czas upływał im słodko i beztrosko w kamiennym domu, na skutej zimą farmie.

— Wcale mi nie powiedziałeś — zaczęła — jak doszło do tego, że usłyszałeś ich rozmowę na drodze.

— Chyba ci mówiłem. Zszedłem na bok, ukryłem się, gdy usłyszałem, że idą za mną ludzie.

— Dlaczego?

— Byłem sam i wiedziałem, że w okolicy grasują bandy.

— Tak, oczywiście. Ale czy w chwili, gdy cię mijali, Hake mówił o Therru?

— Zdaje się, że powiedział: „Dębowa Farma".

— To wszystko jest całkiem możliwe. Tylko wydaje się takie dogodne.

Wiedząc, że mu wierzy, położył się i czekał.

— Takie rzeczy przytrafiają się czarnoksiężnikom — powiedziała.

— I innym.

— Być może.

— Moja droga, chyba nie próbujesz… przywrócić mnie na stanowisko?

— Nie. Nie, wcale nie. Czy rozsądnie byłoby to czynić? Gdybyś był czarnoksiężnikiem, czy byłbyś tutaj?

Leżeli w wielkim łożu o dębowej ramie, dobrze przykryci owczymi skórami i pierzynami, jako że izba nie posiadała kominka, a nocą chwycił tęgi mróz i spadł śnieg.

— Lecz oto, co chcę wiedzieć. Czy istnieje coś poza tym, co nazywasz mocą, co — być może — ją poprzedza? Albo coś, czego tylko pewnym sposobem używania jest moc? Coś w tym rodzaju. Ogion powiedział kiedyś o tobie, że zanim zdobyłeś jakąkolwiek wiedzę czy praktykę jako czarnoksiężnik, byłeś magiem. Urodzony

mag — powiedział. Wyobraziłam, więc sobie, że, aby mieć moc, człowiek musi najpierw mieć na nią miejsce. Pustkę do zapełnienia. I im większa jest ta pustka, tym więcej mocy może ją zapełnić. Lecz jeśli wcale nie ma się mocy albo została odebrana, albo rozdana — ona wciąż tam będzie.

— Ta pustka — wtrącił.

— „Pustka" to jakieś słowo na jej określenie. Może niezbyt właściwe słowo.

— „Możliwość"? — zapytał i potrząsnął głową. — To, co może być… stać się.

— Sądzę, że znalazłeś się na tym trakcie, właśnie tam i właśnie wtedy, z tego powodu — ponieważ właśnie to ci się przytrafia. Nie sprawiłeś, że to się zdarzyło. Nie spowodowałeś tego. Nie stało się to z powodu twojej „mocy". To przydarzyło się tobie. Z powodu twojej… pustki.

Po chwili odrzekł:

— Nie jest to dalekie od tego, czego uczono mnie jako chłopca na Roke: że prawdziwa magia tkwi w czynieniu tego, co musi się uczynić. I tylko tego. Ale to, co mówisz, sięga dalej. Nie czynić, lecz doświadczyć uczynienia.

— Myślę, że nie całkiem o to chodzi. Przypomina to bardziej coś, z czego wyrasta prawdziwe czynienie. Czyż nie przybyłeś i nie uratowałeś mi życia — czyż nie przeszyłeś Haka widłami? To było „czynienie", w porządku, czynienie tego, co musi się uczynić…

Znowu się zamyślił i w końcu zapytał ją:

— Czy tę mądrość wpojono ci, kiedy byłaś Kapłanką Grobowców?

— Nie. — Przeciągnęła się, wpatrując się w mrok. — Arhę uczono, że aby być potężną, musi złożyć ofiarę. Poświęcić siebie i innych. Transakcja: dać, żeby dostać. I nie mogę powiedzieć, żeby było to niezgodne z prawdą. Lec? moja dusza nie może żyć w tym ciasnym miejscu — coś za coś, ząb za ząb, śmierć za życie… Wolność jest poza tym. Poza zapłatą, nagrodą, wykupem — poza wszystkimi transakcjami i równowagami jest wolność.

— Drzwi pomiędzy nimi — powiedział miękko.

Tej nocy Tenar miała sen. Śniło jej się, że ujrzała przejście ze Stworzenia Ea. Było to małe okno z chropowatego, zamglonego, ciężkiego szkła, osadzone nisko w zachodniej ścianie starego domu ponad morzem. Okno było zamknięte. Zostało zaryglowane. Chciała je odemknąć, lecz było jakieś słowo czy klucz, coś, czego zapomniała, słowo, klucz, imię, bez którego nie mogła go otworzyć. Szukała go w izbie z kamienia, która malała i mroczniała, dopóki nie poczuła, że Ged obejmuje ją, próbując ją zbudzić i pocieszyć słowami:

— Już dobrze, moja kochana, wszystko będzie dobrze!

— Nie mogę się uwolnić! — krzyknęła, przywierając do niego.

Uspokoił ją, głaszcząc jej włosy; leżeli razem, a on szepnął:

— Spójrz.

Wszedł sędziwy księżyc. Jego biały blask odbijał się od śniegu i wpadał do wnętrza izby, gdyż z powodu zimna Tenar nie zamknęła okiennic. Całe powietrze nad nimi było rozświetlone. Leżeli w cieniu, lecz wydawało się, że sufit jest tylko woalem pomiędzy nimi a bezkresnymi, srebrnymi, niezmąconymi głębiami światła.

Była to na Goncie zima ciężkich śniegów. Długa zima. Zbiory były dobre. Było pod dostatkiem pożywienia dla zwierząt i ludzi i niewiele roboty poza jedzeniem i wygrzewaniem się przy ogniu.

Therru znała Stworzenie Ea od początku do końca. W dniu Powrotu Słońca recytowała Zimową Kolędę i Czyny Młodego Króla. Wiedziała, jak obchodzić się ze spieczoną skórką na placku, jak prząść na kołowrotku i jak robić mydło. Znała nazwę i zastosowanie każdej rośliny, jaką widać było ponad śniegiem, i posiadała sporo innej wiedzy, o ziołach i słowach, którą zgromadził Ged podczas swojego terminu u Ogiona i długich lat spędzonych w Szkole na Roke. Nie zdjął on jednak z półki nad kominkiem Runów ani Ksiąg Wiedzy, nie nauczył też dziecka żadnego słowa Języka Tworzenia.

Rozmawiał o tym z Tenar. Opowiedziała mu, jak uczyła Therru jednego słowa — tolk, a później zaniechała tej nauki, gdyż nie wydawało jej się to właściwe, choć nie wiedziała dlaczego.

— Myślałam, że to może dlatego, że nigdy naprawdę nie mówiłam tym językiem, nigdy nie wykorzystywałam go w magii. Mysiałam, że może powinna nauczyć się go od kogoś, kto naprawdę nim włada.

— Nie jest nim żaden mężczyzna.

— Tym bardziej żadna kobieta.

— Chodziło mi o to, że tylko smoki używają go jako swej mowy.

— Czy one się go uczą?

Nie spieszył z odpowiedzią, najwyraźniej przypominając sobie wszystko, co mu opowiadano i co wiedział na temat smoków.

— Nie wiem — odrzekł wreszcie. — Cóż my o nich wiemy? Czy uczą tak jak my: matka — dziecko, starszy — młodszego? Czy też są jak zwierzęta, uczą się niektórych rzeczy, lecz rodząc się posiadają większość swojej wiedzy? Nawet tego nie wiemy. Domyślani sią jednak, że smok i mowa smoka stanowią jedność. Jedną istotę.

— I nie władają żadnym innym językiem. Skinął głową.

— Nie uczą się — rzekł. — Są.

Przez kuchnię przeszła Therru. Jednym z jej zadań było napełnianie skrzyni na drewno do podpałki i tym właśnie była zajęta. Okutana w skrócony kaftan z jagnięcej skóry i czapkę, biegała tam i z powrotem, z drewutni do kuchni. Wrzuciła swój ładunek do skrzyni w kącie przy kominku i ponownie wyruszyła w drogę.

— Co ona śpiewa? — spytał Gei.

— Therru?

— Kiedy jest sama.

— Ależ ona nigdy nie śpiewa. Nie umie.

— Na swój sposób. „Na zachodzie dalszym niż zachód…”

— Ach! — zawołała Tenar. — Ta historia! Czy Ogion nigdy nie opowiadał ci o Kobiecie z Kemay?

— Nie — odrzekł. — Opowiedz mi.

Przędąc opowiedziała mu historię, a cichy warkot kołowrotka towarzyszył słowom opowieści. Na jej zakończenie rzekła:

— Kiedy Mistrz Wiatrów powiedział mi, że przybył poszukując „kobiety na Goncie”, pomyślałam o niej. Ale ona na pewno już nie żyje. I, tak czy owak, w jaki sposób rybaczka, która była smokiem, mogłaby zostać arcymagiem?!

— Cóż, Mistrz Wzorów nie powiedział, że kobieta na Goncie ma zostać arcymagiem — zauważył Ged. Cerował paskudnie rozdarte spodnie, siedząc na parapecie okna, aby wykorzystać tyle światła, ile dostarczał pochmurny dzień. Od Powrotu Słońca minęło pół miesiąca i nastała najmroźniejsza pora.

— Co zatem powiedział?

— „Kobieta na Goncie”. Tak mi mówiłaś.

— Ale oni pytali, kto ma być następnym arcymagiem.

— I nie otrzymali na to pytanie żadnej odpowiedzi.

— Nieskończone są spory magów — odparła Tenar raczej oschle. Ged odgryzł nitkę i okręcił niewykorzystany kawałek wokół dwóch palców.

— Na Roke nauczyłem się trochę posługiwać kalamburami — przyznał. — Lecz myślę, że to nie jest kalambur. „Kobieta na Goncie” nie może zostać arcymagiem. Żadna kobieta nie może być arcymagiem. Zostając nim zniweczyłaby to, czym się stała. Magowie z Roke to mężczyźni — ich moc jest męską mocą, ich wiedza — męską wiedzą. Zarówno męskość, jak i magia zbudowane są na jednej skale: moc należy do mężczyzn. Gdyby kobiety posiadały moc, czymże byliby mężczyźni, jeśli nie kobietami, które nie mogą rodzić dzieci? A czym byłyby kobiety, jeśli nie mężczyznami, którzy to potrafią?

— Ha — zawołała Tenar. I zaraz zapytała sprytnie: — Czyż nie było królowych? Czyż nie były one kobietami posiadającymi moc?

— Królowa to tylko król-kobieta. Parsknęła.

— Chodzi mi o to, że mężczyźni dali jej moc. Pozwolili jej korzystać ze swojej mocy. Lecz nie należy do niej, prawda? To nie, dlatego, że jest kobietą, posiada moc, lecz na przekór temu.

Skinęła głową. Przeciągnęła się, prostując zgięte przy kołowrotku plecy.

— W takim razie, czym jest kobieca moc?

— Nie sądzę, żebyśmy to wiedzieli.

— Kiedy kobieta posiada moc dlatego, że jest kobietą? Przypuszczam, że przy swoich dzieciach. Na chwilę…

— Może w swoim domu. Rozejrzała się po kuchni.

— Ale drzwi są zamknięte — rzekła. — Zamknięte na klucz.

— Ponieważ jesteś cenna.

— O, tak. Jesteśmy drogocenne. Jak długo jesteśmy bezsilne?… Pamiętam, kiedy po raz pierwszy to zrozumiałam! Kossil groziła mi — mnie, Jedynej Kapłance Grobowców. I uprzytomniłam sobie, że jestem bezradna. Oddawano mi honory, lecz to ona posiadała moc, od Boga-króla, mężczyzny. Och, to mnie rozzłościło! I przeraziło mnie… Rozmawiałam kiedyś o tym z Lark. Powiedziała: „Dlaczego mężczyźni boją się kobiet?”

— Jeśli twoja siła jest tylko słabością innych, żyjesz w strachu — stwierdził Ged.

— Tak, to prawda. Ale kobiety chyba boją się własnej siły, boją się samych siebie.

— Czy nigdy nie uczy się ich, aby sobie ufały? — zapytał Ged, a kiedy mówił te słowa, ponownie weszła Therru, zajęta swoją pracą. Ged i Tenar wymienili spojrzenia.

— Nie — odrzekła. — Zaufanie nie jest tym, czego nas uczono. — Przyglądała się, jak dziecko układa drewno w skrzyni. — Gdybyż moc była zaufaniem — westchnęła. — Lubię to słowo. Gdyby nie było wszystkich tych układów — jeden po drugim — królowie, mistrzowie, magowie i posiadacze. Prawdziwa moc, prawdziwa wolność, tkwiłaby w zaufaniu, nie w przemocy.

— Tak jak dzieci ufają swoim rodzicom — powiedział. Oboje zamilkli.

— W obecnym stanie rzeczy — odezwał się — nawet zaufanie ulega zepsuciu. Mężczyźni na Roke ufają sobie samym i sobie nawzajem. Ich moc jest czysta, nic nie plami jej czystości, biorą więc tę czystość za mądrość. Nie mogą sobie wyobrazić czynienia źle.

Podniosła na niego wzrok. Nigdy dotąd nie mówił tak o Roke, całkowicie spoza niej, wolny od niej.

— Może potrzebują tam kilku kobiet, by wskazały im tę możliwość — powiedziała, a on zaśmiał się. Ponownie puściła w ruch kołowrotek.

— Wciąż nie rozumiem, dlaczego, jeśli mogą istnieć królowie-kobiety, nie może być kobiet-arcymagów. Therru słuchała.

— Gorący śnieg, sucha woda — przytoczył Ged gontyjskie powiedzenie. — Królowie obdarzani są mocą przez innych. Moc maga należy do niego — do niego samego.

— I jest to męska moc. Gdyż nie wiemy nawet, czym jest moc kobiety. W porządku. Rozumiem. Ale mimo to, dlaczego nie potrafią

znaleźć arcymaga — arcymaga-mężczyzny?

Ged badał wzrokiem postrzępiony szew spodni.

— No cóż — odrzekł. — Jeżeli Mistrz Wzorów nie odpowiadał na ich pytanie, odpowiadał na to, którego nie zadali. Być może tym, co muszą zrobić, jest postawienie tego pytania.

— Czy to zagadka? — spytała Therru.

— Tak — powiedziała Tenar. — Ale nie znamy zagadki, znamy tylko jej rozwiązanie. Brzmi ono: Kobieta na Goncie.

— Jest ich wiele — odrzekła Therru po chwili namysłu. Najwidoczniej zadowoliwszy się tym, wyszła po kolejny ładunek drewna na podpałkę. Ged śledził ją wzrokiem.

— „Wszystko się zmieniło" — powiedział. — Wszystko… Czasami myślę, Tenar… Zastanawiam się, czy panowanie Lebannena nie jest jedynie początkiem. Drzwiami… A on — odźwiernym. Który nie przechodzi…

— Wydaje się być taki młody — rzekła czule Tenar.

— Równie młody jak Morred, kiedy zmierzył się z Czarnymi Okrętami. Równie młody jak ja, kiedy… — Przerwał, wyglądając przez okno na szare, zamarznięte pola, poprzez bezlistne drzewa. — Albo ty, Tenar, w tym mrocznym miejscu… Czym jest młodość czy wiek? Czasami myślę, że moje życie jest jak lecąca jaskółka widziana przez szparę w murze. Umarłem i odrodziłem się, jedno i drugie w suchej krainie i tu, pod słońcem, niejeden raz. I Tworzenie mówi nam, że powróciliśmy wszyscy i wiecznie wracamy do źródła i że źródło to jest niewyczerpane. Tylko w umieraniu życie… Myślałem o tym, kiedy byłem na górze z kozami, a dzień trwał wiecznie i nie minął jeszcze czas, zanim nadszedł wieczór i znów poranek… Pojąłem kozią wiedzę. Pomyślałem więc: „Po cóż się smucę? Jakiego człowieka opłakuję? Geda-arcymaga? Czemu So-kół-pasterz jest chory z żalu i wstydu? Cóż takiego uczyniłem, czego powinienem się wstydzić?"

— Nic — zawołała Tenar. — Nic, nigdy!

— O, tak — powiedział Ged. — Cała wielkość człowieka oparta jest na wstydzie, zbudowana z niego. Więc Sokół-pasterz opłakiwał Geda-arcymaga. I doglądał kóz, czego należałoby oczekiwać od chłopca w jego wieku…

Po chwili Tenar uśmiechnęła się. Powiedziała, trochę wstydliwie:

— Moss mówiła, że miałeś około piętnastu lat.

— To byłoby bliskie prawdy. Ogion nadał mi imię jesienią; a następnego lata odpłynąłem na Roke… Kim był ten chłopiec? Pustka…wolność.

— Kim jest Therru, Ged?

Nie odpowiadał, aż pomyślała, że nie zamierza odpowiedzieć, a później rzekł:

— Po tym, co jej zrobiono — jaka wolność ją czeka?

— Zatem jesteśmy naszą wolnością?

— Myślę, że tak.

— Zdawałeś się być, w swojej mocy, tak wolnym, jak tylko może być człowiek. Lecz jakim kosztem? Co czyniło cię wolnym? A ja… zostałam stworzona, urobiona jak glina, wolą kobiet służących Dawnym Mocom lub służących mężczyznom, którzy stworzyli wszystkie służby, drogi i miejsca, nie wiem już którym. Potem uwolniłam się — z tobą, na moment, i z Ogionem. Ale to nie była moja wolność. Tylko dawała mi wybór; i wybrałam. Postanowiłam ukształtować siebie jak glinę na użytek gospodarstwa, rolnika i naszych dzieci. Uczyniłam się naczyniem. Znam jego kształt. Lecz nie glinę. Życie zatańczyło ze mną. Znam tańce. Ale nie wiem, kim jest tancerz.

— A ona — rzekł Ged po długim milczeniu — jeśli kiedykolwiek będzie tańczyć…

— Będą się jej lękać — szepnęła Tenar. Wtedy do izby powróciła Therru i rozmowa zeszła na ciasto chlebowe rosnące w skrzyni obok pieca. Rozmawiali tak, cicho i długo, przechodząc od jednej rzeczy do drugiej, przez pół krótkiego dnia, przędąc i zszywając razem swoje żywoty za pomocą słów; lata, czyny i myśli, których nie dzielili. Później znowu zamilkli, pracując, rozmyślając i marząc, a milczące dziecko było z nimi.

Tak minęła zima, aż nadeszła pora kocenia się owiec i praca stała się bardzo ciężka, podczas gdy dni wydłużały się i rozjaśniały. Potem jaskółki przyfrunęły z wysp pod słońcem, z Południowych Rubieży, gdzie gwiazda Gobardon świeci w konstelacji Kresu; ale wszystkie rozmowy między jaskółkami dotyczyły początku.

13. GOSPODARZ

Podobnie jak jaskółki, wraz z powrotem wiosny, pomiędzy wyspami zaczęły krążyć statki. We wsiach mówiono, a była to wiadomość z drugiej ręki z Yalmouth, że królewskie okręty złupiły łupieżców, doprowadziły majętnych piratów do ruiny, skonfiskowały ich statki i fortuny. Sam Lord Heno wysłał swoje trzy najświetniejsze, najszybsze okręty, pod dowództwem czarownika-wilka morskiego imieniem Taiły, którego obawiały się wszystkie statki handlowe od Solca po Andrady; jego flota miała wciągnąć okręty królewskie w zasadzkę z dala od Oranća i zniszczyć je. Ale to właśnie jeden z królewskich statków wpłynął do Zatoki Yalmouth z Tallym w kajdanach na pokładzie i z rozkazem eskortowania Lorda Heno do Portu Gont, by został osądzony za piractwo i morderstwo. Heno zabarykadował się w swym kamiennym dworze na wzgórzach za Yalmouth, lecz zaniedbał rozpalenia ognia, jako że była ciepła wiosenna pogoda; więc pięciu lub sześciu młodych królewskich żołnierzy wpadło do niego przez komin i cały oddział poprowadził go skutego przez ulice Yalmouth, a następnie oddał w ręce sprawiedliwości.

Dowiedziawszy się o tym, Ged rzekł z miłością i dumą:

— Wszystko, co może zrobić król, zrobi on dobrze.

Handy'ego i Shaga bezzwłocznie wyprowadzono na północną drogę do Portu Gont, a kiedy rany Haka wystarczająco się zagoiły, został on tam przewieziony statkiem, aby być osądzonym w sądzie królewskim za morderstwo. Wiadomość o ich skazaniu na galery wywołała w Dolinie Środkowej wiele zadowolenia i wzajemnych gratulacji, którym Tenar, a obok niej Therru, przysłuchiwały się w milczeniu.

Przypłynęły inne statki, przywożąc ludzi wysłanych przez króla. Nie wszyscy cieszyli się popularnością wśród mieszczan i wieśniaków prymitywnego Gontu; szeryfowie królewscy, przysłani, aby złożyli sprawozdania na temat systemu bailirfów i urzędników pokoju oraz aby wysłuchali skarg i zażaleń pospolitego ludu; sekretarze i poborcy podatkowi; szlachetnie urodzeni wizytatorzy małych władców Gontu, dyskretnie zasięgający informacji co do ich wierności Koronie w Havnorze oraz czarnoksiężnicy, którzy chadzali tu i tam, zdając się robić mało, a mówić jeszcze mniej.

— Myślę, że w gruncie rzeczy oni poszukują nowego arcymaga — rzekła Tenar.

— Albo tropią nadużycia sztuki — odparł Ged. — Magii, która zeszła na manowce.

Tenar zamierzała powiedzieć: „Powinni zatem zajrzeć na dwór Re

Albii", ale zająknęła się przy tych słowach. „Co ja chciałam powiedzieć? — pomyślała. — Czy opowiadałam Gedowi o… Robię się zapominalska. Co to ja chciałam powiedzieć Gedowi? O tym, że lepiej będzie, jeśli naprawimy bramę niższego pastwiska, zanim krowy uciekną."

Zawsze było mnóstwo rzeczy, o których musiała pamiętać — sprawy farmy. „Nigdy nie robisz jednej rzeczy" — powiedział kiedyś Ogion. Nawet z pomocą Geda, wszystkie swoje myśli i dni poświęcała sprawom farmy. Dzielił z nią domowe prace, tak jak nie czynił tego Flint, lecz Flint był rolnikiem, a Ged nie. Uczył się szybko, ale też wiele było do nauczenia. Pracowali. Teraz niewiele pozostawało czasu na rozmowę. U schyłku dnia jedli razem kolację, razem słali łóżko, spali, budzili się o świcie i wracali do pracy i tak w kółko, niczym koło młyna wodnego, wznoszące się pełne i opróżniające się pośród dni przypominających wodospad jasnej wody.

— Witaj, matko — odezwał się szczupły mężczyzna stojący przy bramie. Pomyślała, że to najstarszy syn Lark, i rzekła:

— Co cię sprowadza chłopcze? — Po czym przyjrzała mu się ponad gdaczącymi kurami i paradującymi gęsiami.

— Spark! — krzyknęła i ruszyła biegiem do niego, rozpędzając drób.

— No, no — powiedział. — Nie przesadzaj. Pozwolił jej się objąć i pogłaskać po twarzy. Wszedł do domu i usiadł w kuchni przy stole.

— Jadłeś? Widziałeś się z Apple?

— Mógłbym coś zjeść.

Przetrząsała dobrze zaopatrzoną spiżarnię.

— Na jakim statku jesteś. Ciągle na „Mewie"?

— Nie. — Uśmiechnął się bez humoru. — Załoga się rozpadła. Przejęli go ludzie króla.

— Ale… to nie był piracki statek…

— Nie.

— To dlaczego?

— Powiedzieli, że kapitan przemycał jakieś towary, których szukali — odrzekł niechętnie. Był chudy jak zawsze, ale wyglądał bardzo dojrzale — opalony na ciemny brąz, z prostymi włosami i długą, wąską twarzą, podobną do twarzy Flinta, lecz jeszcze węższą, twardszą.

— Gdzie ojciec?

Tenar stanęła bez ruchu.

— Nie wstąpiłeś do swojej siostry.

— Nie — odrzekł, obojętny.

— Flint zmarł trzy lata temu — powiedziała. — Od udaru. Clearbrook znalazł go na polach, na ścieżce powyżej zagród dla jagniąt. To było przed trzema laty.

Zapadło milczenie. Nie wiedział, co powiedzieć albo nie miał nic do powiedzenia. Postawiła przed nim strawę. Zaczął jeść tak łapczywie, że natychmiast nałożyła mu więcej.

— Kiedy ostatni raz miałeś coś w ustach?

Wzruszył ramionami i jadł dalej. Usiadła przy stole naprzeciw niego. Późnowiosenny blask słońca zalał niskie okno po drugiej stronie stołu i padł na mosiężną kratę kominka. Wreszcie odsunął talerz.

— No to, kto zajmuje się farmą? — spytał.

— Jakie to ma dla ciebie znaczenie, synu? — zapytała łagodnie, ale oschle.

— Jest moja — odrzekł podobnym tonem.

Po chwili Tenar wstała i uprzątnęła naczynia.

— Rzeczywiście.

— Oczywiście, możesz zostać — powiedział niezręcznie, być może usiłując zażartować; nie był jednak dowcipnym człowiekiem. — tary Clearbrook jest jeszcze tutaj?

— Wszyscy wciąż tu są. I człowiek zwany Sokołem, i dziecko, które wychowuję. Tu w domu. Będziesz musiał spać na strychu. Ustawię drabinę. — Znowu stanęła naprzeciw niego. — A zatem, czy przyjechałeś tu na stałe?

— Możliwe.

W ten sam sposób Flint odpowiadał na jej pytania przez dwadzieścia lat, odmawiając jej prawa ich zadawania przez to, że nigdy nie mówił „tak” ani „nie”, zachowując wolność opartą na jej niewiedzy. „Ubogi i wąski rodzaj wolności” — pomyślała.

— Biedny chłopcze — rzekła — twoja załoga rozbita, twój ojciec martwy i obcy ludzie w twoim domu, a wszystko w ciągu jednego dnia. Będziesz potrzebował trochę czasu, by przyzwyczaić się do tego wszystkiego. Przykro mi, mój synu. Ale cieszę się, że tu jesteś. Często o tobie myślałam, na morzach, wśród sztormów, zimą.

Nie odezwał się ani słowem. Nie miał nic do zaoferowania, a nie potrafił przyjmować. Odsunął krzesło i właśnie miał wstać, gdy weszła Therru. Otworzył szeroko oczy, na wpół podniósłszy się z ławy.

— Co jej się stało? — spytał.

— Została poparzona. Oto mój syn, o którym ci opowiadałam, Therru. Żeglarz, Spark. Therru jest twoją siostrą, Spark.

— Siostrą!

— Przez adopcję.

— Siostrą! — powtórzył, rozejrzał się po kuchni jak gdyby w poszukiwaniu świadka i utkwił zdumiony wzrok w swojej matce. Odwzajemniła spojrzenie.

Wyszedł, omijając szerokim łukiem Therru, która stała bez ruchu. Zatrzasnął za sobą drzwi.

Tenar chciała przemówić do Therru, nie mogła jednak wydobyć z

siebie ani słowa.

— Nie płacz — rzekło dziecko, które nie płakało, podchodząc do niej i dotykając jej ręki. — Czy on cię zranił?

— Och, Therru! Niech cię uścisnę! — Usiadła przy stole z Therru w ramionach, choć dziewczynka stawała się zbyt duża, by ją przytulać i nigdy nie nauczyła się robić tego swobodnie. Tenar obejmowała ją i płakała, a Therru pochyliła swą pokrytą bliznami twarzyczkę ku twarzy Tenar, aż stała się ona mokra od łez.

Ged i Spark przyszli o zmierzchu z przeciwległych końców farmy. Spark najwidoczniej rozmawiał z Clearbrookiem i przemyślał sytuację, zaś Ged starał się ją ocenić. Bardzo niewiele mówiono przy kolacji, a i to ostrożnie. Spark nie uskarżał się na to, że nie odzyskał swojego własnego pokoju, lecz wdrapał się po drabinie na strych, jak na żeglarza przystało, i był najwidoczniej zadowolony z posłania, jakie przygotowała mu tam matka, gdyż nie wrócił na dół aż do późnego ranka. Zażądał wówczas śniadania i spodziewał się, że zostanie mu ono podane. Jego ojcu usługiwała matka, żona i córka. Czy był gorszym mężczyzną niż jego ojciec? Czy Tenar miała mu tego dowieść? Podała mu posiłek, uprzątnęła po nim ze stołu i powróciła do sadu, gdzie wraz z Therru i Shandy wypalała plagę gąsienic barczatki, która groziła zniszczeniem świeżo zawiązanych owoców.

Spark oddalił się, aby dołączyć do Clearbrooka i Tiffa. Odtąd przebywał głównie z nimi. Mijały dni. Ciężką pracę wymagającą muskułów, a także pracę fachową przy owcach i zbiorach wykonywali Ged, Shandy i Tenar, podczas gdy dwaj starcy, którzy spędzili tam całe życie, robotnicy ojca Sparka, oprowadzali go opowiadając, jak zarządzają farmą. Naprawdę wierzyli, że kierują tym wszystkim i dzielili się z nim tą wiarą. Tenar źle czuła się w domu. Jedynie pod gołym niebem, przy pracy w gospodarstwie, odczuwała ulgę w gniewie i wstydzie, jaki przynosiła jej obecność Sparka.

— Moja kolej — zwróciła się do Geda w rozgwieżdżonym mroku ich izby. — Kolej na mnie, by stracić to, z czego byłam najbardziej dumna.

— Co straciłaś?

— Swego syna. Syna, którego nie wychowałam na człowieka. Zawiodłam. Zawiodłam go. — Zagryzła wargę, wpatrując się w ciemność, nie uroniwszy łzy.

Ged nie próbował się z nią spierać ani odwodzić jej od żalu. Zapytał:

— Czy myślisz, że zostanie?

— Tak. Boi się spróbować powrotu na morze. Nie powiedział mi prawdy albo nie całą prawdę o swoim statku. Był drugim matem. Przypuszczam, że był zamieszany w przewóz kradzionych towarów. Piractwo z drugiej ręki. Nie dbam o to. Wszyscy gontyjscy żeglarze są

po trosze piratami. Ale on kłamie. Kłamie. Jest o ciebie zazdrosny. Nieuczciwy, zawistny człowiek.

— Raczej przestraszony — odrzekł Ged. — Nie nikczemny. A to jest jego farma.

— To niech ją sobie weźmie! I oby była dla niego tak szczodra, jak…

— Nie, kochanie — przerwał Ged, powstrzymując ją zarówno głosem, jak rękoma. — Nie mów, nie wypowiadaj złego słowa! — Był tak natarczywy, tak szczerze przejęty, że jej gniew przemienił się całkowicie w miłość, która była jego źródłem i kobieta zawołała:

— Nie przeklęłabym jego ani tego miejsca! Nie chciałam tego! Tylko sprawia mi to taką przykrość, przynosi taki wstyd! Tak mi przykro, Ged!

— Nie, nie, nie. Moja droga, nie dbam o to, co ten chłopak o mnie myśli. Ale jest bardzo surowy dla ciebie.

— I dla Therru. Traktuje ją jak… Powiedział, powiedział do mnie: „Co ona zrobiła, że tak wygląda?" Co ona zrobiła…!

Ged pogłaskał ją po włosach, jak czynił to często. Lekka, powolna, powtarzająca się pieszczota usypiała ich oboje miłosną przyjemnością.

— Mógłbym znowu wyruszyć pasać kozy — rzekł wreszcie. — To by ci tu wszystko ułatwiło. Oprócz pracy…

— Wolałabym iść z tobą.

Pogłaskał ją po włosach i zdawał się rozważać jej słowa.

— Chyba moglibyśmy — powiedział. — Tam, na górze, nad Lissu, było parę rodzin wypasających owce. Ale później nadchodzi zima…

— Może zatrudniłby nas jakiś rolnik. Znam się na pracy… i owcach… a ty znasz się na kozach… i szybko uczysz się wszystkiego.

— Zdatny do wideł — mruknął. Odpowiedział mu jej przerywany śmiech.

Następnego ranka Spark wstał wcześnie, aby zjeść z nimi śniadanie, ponieważ wybierał się na ryby ze starym Tiffem. Wstał od stołu, mówiąc z większym poczuciem przyzwoitości niż zwykle:

— Przyniosę mnóstwo ryb na kolację.

Minionej nocy Tenar podjęła decyzję. Powiedziała:

— Czekaj. Możesz sprzątnąć ze stołu, Spark. Włóż naczynia do zlewu i polej je wodą. Zmyje sieje razem z naczyniami po kolacji. Gapił się przez moment, po czym rzekł zakładając czapkę:

— To babska robota.

— To robota każdego, kto je w tej kuchni.

— Nie moja — odparł stanowczo i wyszedł. Podążyła za nim. Stanęła na progu.

— Sokoła, a nie twoja? — zapytała.

Kiwnął tylko głową, przechodząc przez podwórze.

— Za późno — westchnęła, zawracając do kuchni. — Nie udało

mi się. — Czuła zmarszczki na swej twarzy, ściągające skórę wokół ust, pomiędzy oczyma. — Można podlewać kamień — rzekła — lecz on nie urośnie.

— Trzeba zaczynać, kiedy są młodzi i niedojrzali — odparł Ged. — Jak ja.

Tym razem nie mogła się zaśmiać. Wracając do domu po całodziennej pracy, ujrzeli człowieka rozmawiającego ze Sparkiem przy bramie frontowej.

— To ten typek z Re Albi, prawda? — zapytał Ged, cieszący się doskonałym wzrokiem.

— Chodź, Therru — ponagliła Tenar, gdy dziecko stanęło w miejscu. — Jaki typek? — Była raczej krótkowidzem, więc spojrzała na podwórze mrużąc oczy. — Ach, to ten, jak mu tam, sprzedawca owiec, Townsend. Po co tu wrócił, padlinożerny kruk!

Przez cały dzień była w wojowniczym nastroju, więc Ged i Therru roztropnie zachowywali teraz milczenie.

Zbliżyła się do mężczyzn stojących przy bramie.

— Czy przyszedłeś w sprawie jagniąt, Townsend? Spóźniłeś się o rok, ale kilka tegorocznych jest jeszcze w owczarni.

— Tak też powiedział mi gospodarz — rzekł Townsend.

— Doprawdy? — burknęła Tenar.

Pod wpływem jej tonu, twarz Sparka pociemniała jeszcze bardziej.

— W takim razie, nie będę przeszkadzać tobie i gospodarzowi — stwierdziła i właśnie zbierała się do odejścia, kiedy Townsend powiedział:

— Mam dla ciebie wiadomość, Goha.

— Do trzech razy sztuka.

— Stara czarownica, wiesz, stara Moss, jest w złej formie. Powiedziała, jako że szedłem do Doliny Środkowej, powiedziała: „Powiedz pani Gosze, że chciałabym ją zobaczyć, zanim umrę, jeśli jest szansa, że przyjdzie".

„Kruk, padlinożerny kruk" — pomyślała Tenar, spoglądając z nienawiścią na zwiastuna złych wieści.

— Jest chora?

— Śmiertelnie chora — odrzekł Townsend z głupim uśmiechem, który mógł wyrażać współczucie. — Zachorowała zimą i szybko traci siły, więc kazała ci powiedzieć, że bardzo chce cię zobaczyć, zanim umrze.

— Dziękuję ci za przyniesienie wiadomości — rzekła powściągliwie Tenar i odwróciła się, aby pójść do domu. Townsend poszedł ze Sparkiem do owczarni.

Kiedy przygotowywali obiad, Tenar powiedziała do Geda i Therru: — Muszę iść.

— Oczywiście — zgodził się Ged. — Cała nasza trójka, jeśli zechcesz.

— Naprawdę? — Po raz pierwszy tego dnia jej twarz pojaśniała, chmura burzowa rozwiała się. — Och — westchnęła — to… to dobrze… nie chciałam prosić, myślałam, że może… Therru, czy miałabyś ochotę wrócić do małego domku, domu Ogiona, na jakiś czas?

Therru stanęła nieruchomo, zastanawiając się.

— Mogłabym zobaczyć moje drzewko brzoskwiniowe — powiedziała.

— Tak. I Heather, i Sippy, i Moss — biedna Moss! Och, tęskniłam, pragnęłam wrócić tam, na górę, ale nie wydawało mi się to słuszne. Trzeba było prowadzić farmę… i w ogóle…

Zdawało się jej, że istniała jakaś inna przyczyna, z powodu której nie wróciła, nie pozwoliła sobie na myślenie o powrocie, aż do teraz nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że pragnęła powrotu; lecz jakikolwiek był to powód, wymykał się jak cień, zapomniane słowo.

— Ciekawa jestem, czy ktokolwiek opiekuje się Moss, czy ktokolwiek posłał po znachora. Jest jedyną znachorką na Overfell, lecz z pewnością na dole, w Porcie Gont są tacy ludzie, którzy mogliby jej pomóc. Ach, biedna Moss! Chcę iść… Jest zbyt późno, ale jutro, jutro wczesnym rankiem. A gospodarz sam może sobie zrobić śniadanie!

— Nauczy się — powiedział Ged.

— Nie, nie nauczy. Znajdzie jakąś idiotkę, która będzie to robić za niego. Ach! — Rozejrzała się po kuchni z bystrą i srogą miną. — Z przykrością zostawiam jej dwadzieścia lat, w ciągu których szorowałam ten stół. Mam nadzieję, że to doceni.

Spark przyprowadził Townsenda na obiad, lecz sprzedawca nie chciał zostać na noc, choć oczywiście zaproponowano mu nocleg ze zwykłą gościnnością. Byłoby to jedno z ich łóżek i Tenar nie podobał się ten pomysł. Z przyjemnością obserwowała, jak odchodzi do swoich gospodarzy w wiosce, w błękitnym półmroku wiosennego wieczoru.

— Jutro z samego rana wyruszymy do Re Albi, synu — zwróciła się do Sparka. — Sokół, Therru i ja. Wyglądał na trochę przestraszonego.

— Ot, tak sobie, wyruszycie?

— Tak też i ty odszedłeś, tak też i wróciłeś — odrzekła matka. — Teraz spójrz tutaj, Spark: to jest skarbonka twojego ojca. Znajduje się w niej siedem kawałków kości słoniowej i żetony kredytowe od starego Bridgemana, ale on nigdy nie zapłaci, nie ma, czym zapłacić. Te cztery andradzkie kawałki zarobił Flint sprzedając owcze skóry okrętowemu dostawcy konfekcji w Yalmouth przez cztery lata z rzędu, kiedy byłeś małym chłopcem. Tymi trzema havnorskimi zapłacił nam Tholy za farmę High Creek. Kazałam twojemu ojcu kupić tę farmę i

pomogłam mu ją uprzątnąć i sprzedać. Wezmę te trzy kawałki, bo je zarobiłam. Reszta i farma — są twoje. Jesteś gospodarzem.

Wysoki, szczupły młodzieniec stał nieruchomo, ze spojrzeniem utkwionym w skarbonce.

— Weź to wszystko. Nie chcę tego — powiedział niskim głosem.

— Nie potrzebuję tego. Ale dziękuję ci, mój synu. Zatrzymaj cztery kawałki. Kiedy się ożenisz, uważaj je za mój podarunek dla twojej żony.

Odłożyła pudełko na miejsce pod wielkim talerzem, na najwyższej półce kredensu, gdzie zawsze trzymał je Flint.

— Therru, spakuj teraz swoje rzeczy, bo wyruszymy bardzo wcześnie.

— Kiedy wracacie? — zapytał Spark, a brzmienie jego głosu przywiodło jej na myśl niespokojne, chorowite dziecko, jakim był kiedyś. Ale odrzekła tylko:

— Nie wiem, mój drogi. Jeśli będziesz mnie potrzebował, przyjdę. Zajęła się wyciąganiem ich podróżnego obuwia i tobołków.

— Spark — odezwała się. — Możesz coś dla mnie zrobić? Siedział na zydlu przy kominku, niepewny i przygnębiony.

— Co?

— Zejdź w najbliższym czasie do Yalmouth i odwiedź swoją siostrę. Powiedz jej, że wróciłam na Overfell. Powiedz jej, żeby wysłała wiadomość, kiedy będzie mnie potrzebować.

Skinął głową. Przyglądał się Gedowi, który spakował już swój niewielki dobytek ze zręcznością i szybkością kogoś, kto dużo podróżował, i ustawiał teraz naczynia, aby pozostawić kuchnię w należytym porządku. Zrobiwszy to, usiadł naprzeciwko Sparka i zaczaj przeciągać nowy sznurek przez oczka swojego tobołka, żeby go zawiązać.

— Używają do tego specjalnego węzła — odezwał się Spark. — Marynarskiego węzła.

Ged bez słowa wręczył mu paczkę i przypatrywał się, jak Spark w milczeniu demonstruje węzeł.

— Zobacz, przesuwa się — powiedział, a Ged kiwnął głową.

Opuścili farmę w mroku i chłodzie poranka. Światło słoneczne docierało późno na zachodnią stronę Góry Gont i tylko marsz pozwalał im zachować ciepło, dopóki wreszcie słońce nie wynurzyło się zza wielkiego masywu południowego szczytu i nie zaświeciło im w plecy.

Therru była dwakroć lepszym piechurem niż zeszłego lata, niemniej jednak była to dla nich dwudniowa wyprawa. Po południu Tenar zapytała:

— Czy będziemy próbowali dotrzeć dzisiaj do Oak Springs? Jest tam coś w rodzaju gospody. Wypiłyśmy tam kubek mleka, pamiętasz, Therru?

Ged wpatrywał się w górski stok z nieobecnym wyrazem twarzy.

— Znam takie miejsce…

— Świetnie — rzekła Tenar.

Na krótko zanim doszli do wysokiego zakrętu traktu, z którego można było ujrzeć Port Gont, Ged skręcił z drogi do lasu, który porastał strome zbocza wznoszące się ponad traktem. Zachodzące słońce wysyłało ukośne, czerwono-złote promienie w mrok panujący tam wśród pni i gałęzi. Wspinali się przez jakieś pół mili, ścieżką, której Tenar nie mogła dostrzec, aż wyszli na niewielki stopień czy też półkę górskiego stoku, łąkę osłoniętą przed wiatrem przez rozciągające się za nią urwiska i otaczające ją drzewa. Można było stamtąd zobaczyć wzniesienia góry na północy, a pomiędzy wierzchołkami olbrzymich jodeł roztaczał się widok na zachodnie morze. Całkowitą ciszę przerywał tylko wiatr szumiący w jodłach. Górski skowronek śpiewał długo i słodko, hen, w górze, w blasku słońca, po czym opadł do swego gniazdka w trawie nie tkniętej ludzką stopą.

Cała trójka jadła chleb z serem. Patrzyli, jak ciemność podnosi się z morza. Urządzili sobie posłanie z płaszczy i ułożyli się do snu, Therru obok Tenar, Tenar tuż przy Gedzie. Tenar obudziła się w środku nocy. W pobliżu pohukiwała sowa, dźwięczna, powtarzająca się nuta przywodziła na myśl dzwon, a w oddali, na szczycie góry, jej towarzysz odpowiadał niczym duch dzwonu. Tenar pomyślała: „Popatrzę, jak gwiazdy zachodzą za morze”, lecz natychmiast usnęła ze spokojnym sercem.

Zbudziwszy się szarym świtem ujrzała, że Ged siedzi wyprostowany obok niej, w płaszczu naciągniętym na ramiona, spoglądając ku zachodowi. Jego śniada twarz była nieruchoma, przepełniona ciszą, taką, jaką ujrzała kiedyś, dawno temu, na plaży Atuanu. Nie opuszczał wzroku, jak wtedy; wpatrywał się w bezkresny zachód. Podążając za jego wzrokiem zobaczyła nadchodzący dzień, rozlewający się po niebie różowo-żółtym blaskiem.

Odwrócił się do niej, a ona powiedziała:

— Kocham cię, odkąd po raz pierwszy cię ujrzałam.

— Dawczyni życia — rzekł i przechylił się do przodu, całując jej pierś i usta. Objęła go na moment. Wstali, obudzili Therru i wyruszyli w drogę; kiedy jednak weszli między drzewa, Tenar obejrzała się na małą łąkę, jak gdyby polecając jej dotrzymać danej sobie obietnicy szczęścia.

Pierwszego dnia podróży ich celem była wędrówka. Tego dnia mieli dotrzeć do Re Albi. Więcej uwagi poświęcała Tenar Cioteczce Moss, zastanawiając się, co jej się przytrafiło i czy rzeczywiście jest umierająca. W miarę jednak upływu czasu i drogi, jej umysł nie chciał skupić się na myśli o Moss czy też na jakiejkolwiek myśli. Była

strudzona. Nie chciała jeszcze raz zamęczać się tą drogą do śmierci. Minęli Oak Springs, zeszli do wąwozu, po czym znowu podjęli wspinaczkę. Przez ostatni, długi, stromy odcinek drogi na Overfell, Tenar z trudem podnosiła nogi, a jej myśli były otępiałe i pogmatwane, przyczepiały się do jednego słowa lub wyobrażenia, dopóki nie utraciło ono sensu — do kredensu w domu Ogiona albo słów: kościany delfin, które przyszły jej do głowy na widok torebki z zabawkami Therru i powtarzały się bez końca.

Ged szedł naprzód wielkimi krokami, swym swobodnym chodem wędrowca, a Therru mozolnie stąpała tuż obok niego, ta sama Therru, którą nie dalej niż przed rokiem wyczerpała ta długa wspinaczka i którą trzeba było nieść. Lecz tamto zdarzyło się po dłuższym dniu marszu, a dziewczynka wracała jeszcze do zdrowia po karze, jaką jej wymierzono.

Tenar starzała się. Stawała się zbyt stara, aby odbywać tak długą drogę tak szybko. Trudno było iść pod górę. Stara kobieta powinna siedzieć w domu, przy kominku. Kościany delfin, kościany delfin. Kościany, związany, zaklęcie związujące. Kościany człowiek i kościane zwierzę. Szli na przedzie. Czekali na nią. Była powolna. Była zmęczona. Z trudem pokonała ostatni odcinek wzgórza i zbliżyła się do nich, kiedy droga wyszła na poziom Overfell. Na lewo były dachy Re Albi, nachylone w kierunku krawędzi urwiska. Na prawo — droga wznosiła się do dworu.

— Tędy — powiedziała Tenar.

— Nie — zaprotestowało dziecko, wskazując w lewo, na miasteczko.

— Tędy — powtórzyła Tenar i skręciła w prawo. Ged poszedł za nią.

Szli pośród orzechowych sadów i porosłych trawą pól. Było ciepłe, późne popołudnie wczesnego lata. Ptaki śpiewały w drzewach sadu w pobliżu i w oddali. Droga z wielkiego domu wyszedł im na spotkanie ten, którego imienia nie mogła sobie przypomnieć.

— Witam! — rzekł i przystanął, uśmiechając się do nich. Zatrzymali się.

— Cóż za wielkie osobistości przybyły, by zaszczycić dom Władcy Re Albi — powiedział. Tuaho to nie było jego imię. Kościany delfin, kościane zwierzę, kościane dziecko.

— Jaśnie Pan Arcymag! — Pochylił się i Ged złożył mu ukłon.

— I Jaśnie Pani Tenar z Atuanu! — Skłonił się jej nawet niżej, a ona uklękła na drodze. Głowa jej opadła, aż położyła dłonie na ziemi i schylała się, dopóki jej usta również nie znalazły się w pyle drogi.

— Teraz czołgaj się — rozkazał i kobieta zaczęła pełznąć w jego kierunku.

— Stój — powiedział, a ona zatrzymała się.

— Możecie mówić? — zapytał. Milczała, gdyż żadne słowa nie przychodziły jej do głowy, lecz Ged odpowiedział swym normalnym, spokojnym głosem:

— Tak.

— Gdzie jest potwór?

— Nie wiem.

— Myślałem, że wiedźma przyprowadzi ze sobą swoją krewną. Lecz zamiast niej przywiodła ciebie. Lord Arcymag Krogulec. Cóż za znakomity zastępca! Wszystko, co mogę zrobić z wiedźmami i potworami, to oczyścić z nich świat, Ale z tobą, który byłeś niegdyś człowiekiem, mogę rozmawiać; ty jesteś przynajmniej zdolny do rozsądnej rozmowy. I zdolny pojąć karę. Myślałeś, jak mniemam, że jesteś bezpieczny, skoro osadziłeś na tronie swego króla i zniszczyłeś mego pana, naszego pana. Sądziłeś, że postąpiłeś według swojej woli i zniweczyłeś obietnicę wiecznego życia, nieprawdaż?

— Nie — odrzekł głos Geda.

Nie widziała ich. Mogła dostrzec jedynie pył drogi i czuć jego smak w ustach. Usłyszała, jak przemówił Ged. Powiedział:

— W umieraniu jest życie.

— Kwacz, kwacz, cytuj Pieśni, Mistrzu z Roke. Nauczycielu! Jakiż to zabawny widok, wielki arcymag wystrojony jak pastuch, a w nim ani krzty magii, ani słowa mocy. Czy możesz rzucić czar, arcymagu? Choćby mały czar — choćby maleńkie zaklęcie iluzji? Nie? Ani słowa? Mój pan cię pokonał. Czy teraz to wiesz? Nie zwyciężyłeś go. Jego moc żyje! Mógłbym utrzymać cię tu przy życiu przez jakiś czas, abyś ujrzał tę moc, moją moc. Abyś ujrzał starca, którego chronię przed śmiercią. I mógłbym wykorzystać do tego twoje życie, gdybym go potrzebował — i abyś ujrzał, jak twój wścibski król robi z siebie głupca, ze swoimi mizdrzącymi się lordami i głupimi czarodziejami szukającymi kobiety! Kobieta ma nami władać! Lecz panowanie jest tutaj, władza jest tutaj, tu, w tym domu. Przez cały ten rok gromadziłem wokół siebie ludzi, którzy znają prawdziwą moc. Sprowadzałem ich też z Roke sprzed nosów nauczycieli. A także z Havnoru, sprzed nosa tak zwanego Syna Morreda, co chce, żeby rządziła nim kobieta, twego króla, który uważa, iż jest tak bezpieczny, że może być znany pod swym prawdziwym imieniem. Czy znasz moje imię, arcymagu? Czy pamiętasz mnie, sprzed czterech lat, kiedy byłeś wielkim Mistrzem Mistrzów, a ja skromnym uczniem na Roke?

— Nazywałeś się Aspen — odpowiedział cierpliwy głos.

— A moje prawdziwe imię?

— Nie znam twego prawdziwego imienia.

— Co? Ty go nie znasz? Nie umiesz go odkryć? Czyż magowie nie znają wszystkich imion?

— Nie jestem magiem.

— O, powtórz to.
— Nie jestem magiem.
— Lubię słuchać, jak to mówisz. Powtórz to.
— Nie jestem magiem.
— Ale ja jestem!
— Tak.
— Powiedz to!
— Jesteś magiem.

— Ach! To lepsze niż myślałem! Chciałem złowić węgorza, a złapałem wieloryby. Chodźcie, zatem, chodźcie poznać moich przyjaciół. Ty możesz iść. Ona może się czołgać.

Poszli, więc drogą do dworu Władcy Re Albi i weszli do środka, Tenar — na rękach i kolanach po trakcie i po marmurowych stopniach, wiodących aż do drzwi, i po marmurowych posadzkach sal i komnat.

Wewnątrz domu było ciemno. Wraz z ciemnością mrok wkradł się w umysł Tenar tak, że coraz mniej rozumiała z tego, co mówiono. Niektóre tylko słowa i głosy docierały do niej wyraźnie. Rozumiała to, co mówił Ged, i kiedy przemawiał, pomyślała o jego imieniu i przylgnęła do niego w duchu. Odzywał się jednak bardzo rzadko i tylko, aby odpowiedzieć temu, którego imię nie brzmiało Tuaho. Ten przemawiał teraz do niej, nazywając ją Suką.

— To moje nowe zwierzątko — powiedział do innych mężczyzn, kilku z tych, którzy znajdowali się w ciemności, gdzie świece rzucały cienie. — Widzicie, jak dobrze jest wytresowana? Fikaj kozły, Suko! — Przekoziołkowała, a mężczyźni zaśmiali się.

— Miała szczenię — rzekł — którego ukarania zamierzałem dokończyć, jako że pozostawiono je na wpół spalone. Lecz zamiast tego przyprowadziła mi ptaszka, którego złapała — krogulca. Jutro nauczymy go latać.

Inne głosy wypowiadały jakieś słowa, lecz nie rozumiała już więcej słów.

Zaciśnięto jej coś wokół szyi i zmuszono do wczołgania się po dalszych schodach do izby przesiąkniętej wonią moczu, gnijącego mięsa i słodkich kwiatów. Głosy przemówiły. Dłoń zimna niczym kamień uderzyła ją lekko w głowę, podczas gdy coś śmiało się: „Eh, eh, eh”, jak stare skrzypiące drzwi, otwierane i zamykane. Później kopnięto ją i kazano czołgać się po salach. Nie potrafiła pełzać dość szybko, więc kopano ją w piersi i usta. Potem drzwi, które zamknęły się z hukiem, i cisza, i ciemność. Usłyszała czyjś płacz i pomyślała, że to dziecko, jej dziecko. Nie chciała, aby dziecko płakało. W końcu przestało.

14. TEHANU

Dziewczynka skręciła w lewo i zanim się obejrzała, skryła się w cieniu kwitnącego żywopłotu.

Człowiek zwany Aspenem, którego imię brzmiało Erisen, a którego widziała jako rozwidloną i pokręconą ciemność, związał jej matkę i ojca, rzemieniem przez jej język i rzemieniem przez jego serce, i poprowadził ich w kierunku miejsca, w którym się ukrył. Woń tego miejsca przyprawiała ją o mdłości, ale dziewczynka ruszyła za nimi, aby sprawdzić, co się stanie. Człowiek wprowadził ich i zamknął za nimi drzwi. Nie mogła tam wejść. Wiedziała, że musi lecieć, ale nie potrafiła latać; nie była jedną ze skrzydlatych.

Najszybciej jak mogła, pobiegła przez pola, obok domu Cioteczki Moss, obok domu Ogiona i obory, na ścieżkę wzdłuż urwiska i na jego skraj, gdzie nie wolno jej było chodzić, ponieważ widziała je tylko jednym okiem. Była ostrożna. Spojrzała uważnie tym okiem. Stała na krawędzi. Woda była daleko w dole, a hen, w oddali zachodziło słońce. Spojrzała na zachód drugim okiem i zawołała innym głosem imię, które słyszała we śnie swojej matki.

Nie czekała na odpowiedź, lecz odwróciła się i pobiegła z powrotem — najpierw za dom Ogiona, aby zobaczyć, czyjej drzewko brzoskwiniowe urosło. Stare stało obwieszone mnóstwem małych, zielonych brzoskwiń, lecz nie było ani śladu sadzonki. Zjadły ją kozy. Albo uschła, bo nikt jej nie podlewał. Dziewczynka stała chwileczkę spoglądając w ziemię, po czym wzięła głęboki oddech i pobiegła dalej, przez pola, z powrotem do domu Cioteczki Moss. Kurczęta wracające na noc do kurnika popiskiwały i trzepotały skrzydełkami, protestując przeciwko jej wejściu. Mała chata stała mroczna i przesycona zapachami.

— Cioteczka Moss? — zapytała głosem, który przeznaczony był dla tych ludzi.

— Kto tam?

Stara kobieta leżała skulona w łóżku. Była przestraszona i próbowała otoczyć się kamieniem, aby trzymać wszystkich z dala od siebie, lecz nie udało się jej; nie miała dość siły.

— Kto to? Kto tam? Och, kochanie. O, drogie dziecko, moja mała spalona, moja śliczna, co ty tu robisz? Gdzie ona jest, twoja matka, och, czy jest tutaj? Czy ona przyszła? Nie wchodź, nie wchodź kochanie, ciąży nade mną klątwa, przeklął starą kobietę, nie podchodź, bo mnie! Nie zbliżaj się!

Płakała. Dziecko wyciągnęło rękę i dotknęło jej.

— Zimno ci — powiedziało.

— Jesteś jak ogień, dziecko, twoja dłoń mnie parzy. Och, nie

patrz na mnie! On sprawił, że moje ciało gnije i usycha, i znowu gnije, ale nie pozwoli mi umrzeć — powiedział, że cię tu sprowadzę. Próbowałam umrzeć, próbowałam, ale utrzymał mnie, utrzymał mnie przy życiu wbrew mojej woli, nie pozwolił mi umrzeć. Och, pozwól mi umrzeć!

— Nie powinnaś umierać — rzekło dziecko, marszcząc brwi.

— Dziecko — wyszeptała stara kobieta. — Kochanie, nazwij mnie moim imieniem.

— Hatha — powiedziało dziecko.

— Ach! Wiedziałam… Uwolnij mnie, kochanie!

— Muszę zaczekać — odrzekło dziecko. — Aż przybędą. Czarownica leżała spokojnie, oddychając bez bólu.

— Aż, kto przybędzie, kochanie? — szepnęła.

— Mój lud.

Wielka, zimna dłoń czarownicy leżała jak wiązka chrustu w dłoni dziewczynki. Trzymała ją mocno. Na zewnątrz chaty było teraz równie ciemno jak wewnątrz niej. Hatha, którą nazywano Moss, spała; i wkrótce dziecko siedzące na podłodze przy jej łóżku, z kurą usadowioną nie opodal, również spało.

Mężczyźni przyszli o świcie. Powiedział:

— Wstawaj, Suko! Wstawaj!

Wsparła się na rękach i kolanach. Zaśmiał się, mówiąc:

— Całą drogę na nogach! Jesteś mądrą suką, potrafisz chodzić na tylnych łapach, prawda? O to chodzi. Udajesz człowieka! Mamy teraz sposób na chodzenie. Dalejże!

Rzemień otaczał wciąż jej szyję i mężczyzna szarpnął go. Poszła zanim.

— Masz, ty ją prowadź — powiedział i teraz właśnie ten, którego kochała, lecz nie znała już jego imienia, trzymał pasek.

Wyszli z mroku. Kamień rozstąpił się, by ich przepuścić, i zawarł się za nimi. Był zawsze tuż obok niej i tego, który trzymał rzemień. Inni szli z tyłu, trzech lub czterech mężczyzn.

Pola były szare od rosy. Góra odcinała się ciemną plamą na tle bladego nieba. Ptaki zaczynały coraz głośniej śpiewać w sadach i żywopłotach. Dotarli do krawędzi świata i szli przez chwilę wzdłuż niej, dopóki nie doszli do miejsca, gdzie jedyny grunt stanowiła skała, a krawędź była bardzo wąska. W skale była jakaś linia i kobieta przyjrzała się jej.

— Może ją zepchnąć — powiedział. — A potem może pofrunąć sokół, zupełnie sam.

Odwiązał rzemień z jej szyi.

— Idź i stań na brzegu — rozkazał. Podążyła za znakiem w skale aż do krawędzi. Pod nią było morze i nic innego. Poza nią było powietrze.

— Teraz Krogulec ją zepchnie — odezwał się. — Ale przedtem być może chciałaby coś powiedzieć. Ma tak wiele do powiedzenia. Kobiety zawsze mają. Czy chciałabyś nam coś powiedzieć, pani Tenar?

Nie mogła mówić, ale wskazała na niebo ponad morzem.

— Albatros — powiedział.

Zaśmiała się głośno.

W otchłaniach światła, od bramy nieba, nadlatywał smok, a za wijącym się, opancerzonym cielskiem ciągnęła się smuga ognia. Wtedy Tenar przemówiła.

— Kalessin! — krzyknęła, po czym, odwróciwszy się, chwyciła Geda za rękę i pociągnęła go w dół, na skałę. Przetoczył się nad nimi ryk ognia. Zagrzechotała kolczuga i wiatr zagwizdał w uniesionych skrzydłach. Przypominające ostrza kos pazury zaszczekały o skałę.

Wiatr wiał od morza. Maleńki oset, rosnący w szczelinie skały obok jej dłoni, poruszał się na wietrze. Przy niej był Ged. Kulili się ramię przy ramieniu, mając za sobą morze, a przed sobą — smoka. Ged przemówił ochrypłym, drżącym głosem, w smoczym języku. Tenar zrozumiała słowa, które brzmiały:

— Dziękujemy ci, Najstarszy.

Patrząc na Tenar Kalessin odezwał się potężnym głosem przypominającym dźwięk, jaki wydaje gong pocierany metalową miotłą:

— Aro Tehanu?

— Dziecko — rzekła Tenar. — Therru! — Zerwała się na nogi, aby biec, szukać swojego dziecka. Ujrzała, jak nadchodzi wzdłuż krawędzi skały, między górą a morzem, w kierunku smoka.

— Nie biegnij, Therru! — krzyknęła, lecz dziewczynka dostrzegła ją i biegła wprost do niej. Przylgnęły do siebie.

Smok odwrócił swoją ogromną, ciemnordzawą głowę, by przyjrzeć się im obydwoma oczyma. Jamy nozdrzy, wielkie jak kotły, jarzyły się od ognia i unosiły się z nich wstęgi dymu. Żar smoczego cielska przebijał się przez zimny morski wiatr.

— Tehanu — powiedział smok.

Dziecko odwróciło się, żeby na niego spojrzeć.

— Kalessin — rzekło.

Wówczas Ged, który pozostawał na klęczkach, wstał, aczkolwiek na drżących nogach, chwytając ramię Tenar, by odzyskać równowagę. Roześmiał się.

— Teraz wiem, kto cię wezwał, Najstarszy! — zawołał.

— Ja — powiedziała dziewczynka. — Nie wiedziałam, co innego mogę zrobić, Segoyu.

Wciąż spoglądała na smoka i przemawiała w języku smoków, słowami Tworzenia.

— To dobrze, dziecko — odrzekł smok. — Długo cię szukałem.

— Czy polecimy tam teraz? — zapytało dziecko. — Tam, gdzie są inni, na inny wiatr.

— Porzuciłabyś ich?

— Nie — odparła dziewczynka. — Czy oni nie mogą polecieć?

— Nie mogą polecieć. Ich życie jest tutaj.

— Zostanę z nimi — oświadczyło dziecko z nieco zapartym tchem. Kalessin odwrócił łeb, by wydać ogromny, gorący podmuch śmiechu, lekceważenia, radości czy też gniewu.

— Hah! — Po czym, ponownie spoglądając na dziecko, rzekł: — To dobrze. Masz tu coś do zrobienia.

— Wiem — odparło dziecko.

— Wrócę po ciebie — powiedział Kalessin. — W swoim czasie. — A do Geda i Tenar: — Oddaję wam swoje dziecko, jak wy oddacie mi swoje.

— W swoim czasie — rzekła Tenar.

Kalessin nieznacznie skinął swoją olbrzymią głową i długa paszcza o szablastych zębach wykrzywiła się nieco.

Ged i Tenar odsunęli się na bok wraz z Therru, gdy smok odwrócił się, wlokąc swój pancerz po skalnej półce, ostrożnie stawiając szponiaste stopy, zbierając swój czarny zad niczym kot, aż wzbił się w powietrze. Skrzydła strzeliły w górę, karmazynowe w nowym świetle, kolczasty ogon zadźwięczał na skalistej powierzchni urwiska i stwór odleciał, zniknął — mewa, jaskółka, myśl.

Na jego miejscu leżały przypalone strzępy materiału i skóry i inne rzeczy.

— Chodźmy stąd — powiedział Ged.

Ale kobieta i dziecko stały i przyglądały się tym rzeczom.

— To kościani ludzie — rzekła Therru. Po czym odwróciła się i wyruszyła w drogę. Szła wąską ścieżką przed mężczyzną i kobietą.

— Jej mowa ojczysta — powiedział Ged — Język jej matki.

— Tehanu — odrzekła Tenar. — Ma na imię Tehanu.

— Chodźcie! — zawołało dziecko, oglądając się na nich. — Cioteczka Moss jest chora.

Zdołali wynieść Moss na światło i powietrze, obmyć jej rany i spalić cuchnące prześcieradła z jej łóżka, podczas gdy Therru przyniosła czystą pościel z domu Ogiona. Przyprowadziła także ze sobą Heather, dziewczynę od kóz. Z pomocą Heather ułożyli starą kobietę wygodnie w jej łóżku, z jej kurczętami; i Heather obiecała wrócić do nich z czymś do jedzenia.

— Ktoś musi zejść do Portu Gont — powiedział Ged — po tamtejszego czarodzieja. Żeby zaopiekować się Moss; można ją uzdrowić. Ktoś musi również pójść do dwom. Teraz starzec umrze. Wnuk mógłby żyć, jeżeli oczyści się dom… — Siedział na progu chaty Moss. Oparł głowę o framugę drzwi, w blasku słońca, i zamknął

oczy. — Dlaczego robimy to, co robimy? — zapytał.

Tenar myła twarz, dłonie i ręce w miednicy czystej wody, której nabrała z pompy. Skończywszy toaletę, obejrzała się za siebie. Krańcowo wyczerpany Ged zapadł w sen z twarzą lekko podniesioną do światła poranka. Usiadła obok niego na progu i położyła głowę na jego ramieniu. „Zostaliśmy oszczędzeni? — pomyślała — Jak to się stało, że zostaliśmy oszczędzeni?”

Opuściła wzrok na dłoń Geda, rozluźnioną i otwartą na glinianym stopniu. Pomyślała o oście poruszającym się na wietrze i szponiastych stopach smoka o czerwonych i złotych łuskach. Była na wpół pogrążona we śnie, kiedy usiadło obok niej dziecko.

— Tehanu — mruknęła.

— Małe drzewko uschło — rzekło dziecko. Po chwili znużony, senny umysł Tenar zrozumiał i przebudził się wystarczająco, by dać odpowiedź.

— Czy na starym drzewie są brzoskwinie?

Mówiły szeptem, żeby nie obudzić śpiącego mężczyzny.

— Tylko małe, zielone.

— Dojrzeją po Długim Tańcu. Już niedługo.

— Czy możemy jakąś zasadzić?

— Niejedną, jeśli chcesz. Czy dom jest w porządku?

— Jest pusty.

— Czy mamy tam zamieszkać? — Rozbudziła się jeszcze bardziej i otoczyła dziecko ramieniem. — Mam pieniądze — rzekła. — Dość, by kupić stado kóz i zimowe pastwisko Turby'ego, jeżeli jest jeszcze do sprzedania. Ged wie, dokąd zabrać stado na górę, latem… Ciekawe, czy wełna, którą gręplowałyśmy, jeszcze tam jest… — Mówiąc te słowa, pomyślała: ” Zostawiliśmy księgi, księgi Ogiona! Na kominku na Dębowej Farmie — dla Sparka, biedny chłopiec, nie umie odczytać z nich ani słowa”!

Nie wydawało się to jednak ważne. Bez wątpienia trzeba było nauczyć się nowych rzeczy. Mogła wysłać kogoś po księgi, gdyby Ged ich potrzebował. I po swój kołowrotek. Mogła też pójść sama, jesienią, odwiedzić syna, pogawędzić z Lark i zostać jakiś czas z Apple. Musiały na nowo obsiać ogródek Ogiona, jeśli chciały mieć tego lata jakiekolwiek własne warzywa. Pomyślała o rzędach fasoli i zapachu jej kwiatów. Pomyślała o małym oknie wychodzącym na zachód.

— Sądzę, że możemy tu zamieszkać — powiedziała.